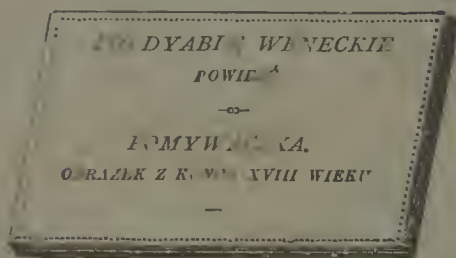


WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM XIII.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatów.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA.
ulica Nowolipki, Nr 3,

1879.



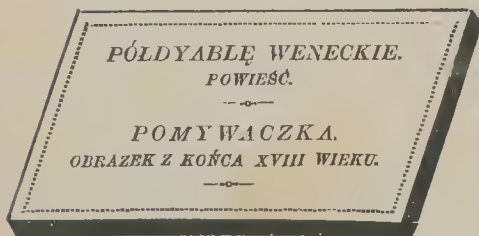
WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



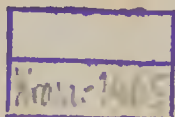
TOM XIII.

Wydawnictwo na korzyść Jubilatów.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki, Nr. 3.

1879.



Дэзколеяо Пензуроу.
Варшава, 20 Іюня 1879 г



PÓŁDYABLE WENECKIE.



L' amor comincia con suoni e con cant
Et poi finisce con dolori e pianti...

Piosnka ludowa

Cofnąć się potrzeba aż w przeszłość, chcąc pocieszyć oryginalnością ludzkich charakterów, samoistnością człowieka, który dawniej nraiał się mniej do formy jednój, swobodniej jakoś wedle żyjącej w sobie fantazyi, i był czém go Pan Bóg stworzył, nie wstydząc się siebie... Dzisiaj Enropę z końca w koniec prze-wędrowawszy, nie trafi się na wybitniejszą postać, i żadna fizyognomia wyrazistsza nie przejrzy przez skorupę cywilizacyi. Wewnątrz zapewne jest zawsze toż samo, co tam i dawniej bywało, człowiek w gruncie jeden od początku świata; ale po wierzchu wygląda dziś jak migdał cukrem oblany, i trudno zgadnąć, czy słodki czy gorzki, świeży czy nadgniły, a nawet czy to migdał tam siedzi, czy kawałek suchój skorupki bez smaku.

Dawne czasy i u nas, i wszędzie obfitsze były w oryginały, i nie było jeszcze tój łatwości przebiegania świata, która dziś ściiera piętna, oglądza ohyzaje, przenosi ludzi, a z nimi jakiś ogólny ton europejski, który w istocie zależy na tém, żeby być podobnym do wszystkich, a jak najmniej do siebie samego. Nawet twarze tracą powoli charakter dawny, wybitniejszy, przywdziewając jakąś maskę tandetną, którą staranne wychowanie nadaje... Wszyseśmy do siebie podobni, z małemi różnicami...

Śmiano się przed niewielu jeszcze laty z ekscentryczności Anglików, z Hiszpanów i Niemców oryginalności; terazby się dziwić potrzeba, że już w tłumie nikogo z nich rozpoznać nie można. Anglicy wyuczyli się po franenzku bez akcentu, a Niemcy zapuściwszy bokobrody sążniste, tak udają obywateli Wielkiej Brytanii, jakby się nimi urodzili.

Życie też i obyczaj nie wyrabia się jak dawniej własnym kunsztem i doweipem, ale według pewnej recepty przyzwoitości, ogólnie za najlepszą przyjętej.

Dla tego i nieszczęśliwy bajarz, który wodyby warzyć nie chciał, musi malowniczego wątku szukać w skryzalizowanej przeszłości, bo terażniejszość staje ledwie na materyał do rachunku i na temat do karykatury...

Wszystko to cel mieć musi, i jest to widocznie stan jakiegoś przejścia, przerabiania się i cichój fermentacyi, z którego coś zapewne wyrośnie bardzo ładnego i bardzo pożytecznego dla świata... ale z tego co terazżywamy (ni kwaśno, ni słodko) nlepisz chyba tylko bezbarwny i bezwonny placek... Trzeba więc, pożegnawszy świat rachmistrzów i gazeciarzy,

gieldę i bankierskie elegancje ozłoczone na wszystkie boki, puścić się na wędrówkę.... kędy pieprz rośnie.

Przysłowie to oznacza, że pieprz nieblizko rośnie, a pieprz jest tém co osmacza, podbndza, piecze, zachęca do życia.... tego potrzeba szukać w przeszłości. Klimat dzisiejszy dla niego za zimny; pójdziemy więc w tę przeszłość osławioną i uwielbioną... prze-rzucimy spleśniałe rękopismów karty, zajrzymy do zbut-wiałych trumien, na których wieku przegniłemu siedzi uśpiona poezja z zeschłym wieńcem w ręku.

Niech się tylko czytelnicy nasi nie ulęką bardzo, jeśli niestara tę historję rozpocząć będziemy mnsieli od bardzo dawnych przypomnień: są one niezbędne dla zrozumienia następnych wypadków. Uznał to już i dowiódł ksiądz kanonik Ciampi, że pomiędzy Polską a Włochami stosunki bardzo były ożywione, wymiana ludzi bardzo czynna. Myśmy im tam posyłali bogatych suchotników, znudzonych wielkich panów, umierające panie i pobożnych a zamożnych prałatów; oni nam oddawali pożyczkę w niedoneczonych doktorach, w niefortunnych malarzach, w nieszczęśliwych prawnikach, niekiedy wszakże w artystach całc znakomitych i rzemieślnikach niepospolitěj wprawy.

Żart na bok: dużo naszēj młodzieżyńczyło się w Padwie, wyświęcało w Rzymie, bawiło w Wenecyi, a leczyło potem pod ciepłym słońcem Neapolu.

Ci co w Padwie przesiadywali, pociągali za sobą z powrotem do kraju jadąc, współuczniów lub nancy-cieli. Słynęła Polska z zamożności, a z bojności jeszcze bardziěj. Każdy się tu cudzoziemiec czegoś dorobił, a niejeden, *per pedes apostolorum* przyszedłszy,

powracał poszóstno. Trafia się to przybyszom i dzisiaj: my tylko jedni poszóstno wyjeżdżamy, żeby powrócić z torbami, często jeszcze wstydu pełniami...

Łatwo sobie wytłómaczyć, jak przodek mojego bolutera dostał się do Polski.

Był on doktorem przy królu Stefanie, któremu w wojnach i obozach towarzyszył. Drugi z téj rodziny Franciszek ożenił się z siostrą lekarza Bnecelego, nadwornego przy Zygmuncie III.

Trzeci się także w Padwie medycyny wyuczył, aby ją w Polsce praktykować, i za Zygmunta III panowie Lippowie de Bnecelis otrzymali indygenat i szlachectwo polskie, a do rodowitych ich tarczy dwubarwnych, przez szczególną przyjaźń dla Lippiego, Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, starosta sandomierski, dodał im górą w czerwonym polu swojego białego Nalęcza.

Lippowie więc tu osiedli, i z ubogich niegdy mieszkańców Belluna i Padwy, gdzie mieli dwie stare kamieniczki, przeszli na zamożną polską szlachtę, posesyonatów co się zowie. Gdy przyszło do tego indygenatu, o którym wspomniałem, na sejmie 1597 roku, innsieli panowie Lippowie produkować się jako szlachta wenecka; ale nie zrobił trudności doża Marino Grimano, i wydał im na pergaminie malowanym ze srebrną pieczęcią dyplom tak wspianialy, iż mogli go śmiało pokazać najwybredniejszemu szlachcicowi. U góry stały dwie tarcze, jedna wzdłuż podzielona na dwoje, druga dwoma w poprzek palami przecięta, z głową czarnego jastrzębia czy orla o złotym dziobie, wcale pokązną *).

*) Oryginalne przywileje i indygenat są w posiadaniu piszącego.

Lippi, syn doktora, już ożeniwszy się z Polką, poszedł na zagon gospodarzyć. Powoli z Lippich zrobili się nawet Lipiūsey de Buccelis; a wnuki już mało co po włosku umiały. Przechowywała się jednak tradycja o weneckiem szlachectwie, o kamieniczce w Bellunie i domu w Padwie.

Dziad mego bohatera był nieco dziwaczny umysłu. Ubierał się z włoska, niekiedy bardzo bogato, czasem bardzo dziwnie, jeździł w powozie alias kolehee malowanój pstro, sprowadził sobie murzynka, którego stroił po wschodniemu i nieodstępnie miewał zawsze przy sobie... Coś tam we krwi jego włoskiej było fantazyi, która się z Polską butą mieszała, i pan Bernard, którego po prostu Bernatem zwano, choć wielkopolski szlachcie, urodzony z Polki, z Polką żonaty, mało co włoszczyzny umiejący, bawił się w senatora weneckiego i patrycyusza. Przez całe życie wybierał się jechać do Padwy i Belluna dla rewindykowania dziedzictwa, które mu, jak on dowodził, niesłusznie wydarto. Ale z roku jakoś na rok odkładając wyjazd to dla słoty, to dla nieurodzaju, to dla niedobrego zdrowia, to z obawy, aby tam w Wenecyi i wschodniego moru i zarazy nie zastał — dożył na zagonie rodzinnym do dni końca.

W dziedzicznym jegomości Roblinie było piękne jezioro, a na niem wysepka mała, u brzegów trzcina-
mi porośła, w środku piaszczysta. Otoż z tego ostrowu Bernat sobi małą uczynił był Wenecyę, zmurowawszy tam parę domków na palach, dosyć okazałej z dala struktury. Nikt tam nie mieszkał, prócz jednego rybaka; ale dziedzic często różne zabawy wyprawiał, gości spraszając, i gondolami ich czarnymi, na sposób wenecki zbudowanymi, przewoził do swój *Isola Bella*,

jak ją nazywał. Na te dni stroił się w lamy i brał czapkę, która zakrawała na książęcą doży, oryginalnym kształtem; murzynek nosił nad nim purpurowy parasol, złotemi frendzlami przyozdobiony, a dwoje pałohat facolet na poduszce i worek staroświeckiój formy, z którego jałmużnę rozdawał między dziady cheiwie na niego czekające. Był na wyspie i możdierz, z którego na przybycie gości i gospodarza ognia dawano, i wieża z wywieszoną chorągwią, pomalowaną w herby Lippich z Nałęczem owym Gostomskich.

Wszystkie te niewinne dziwactwa pana Bernata sprawiły, że mu okoliczni wieśniacy, ba! i bracia szlachta dali przydomek: — Póldyablę Weneckie. Wiedział on sam o nim, ale się z niego śmiał i prawie mu był rad; a gdy na humor mu przyszło, pytał się czasem z cicha sąsiadów — „A co? prawda? póldyablę? hę? póldyablę weneckie?” I brał się za boki śmiejąc, tak mu się ten przydomek podobał.

Ale żadne w świecie, by najniewinniejsze dziwactwo i fantazyja, płazem człowiekowi nie przechodzi. Mimo jejmości, która była zapobiegliwą i oszczędną, mimo pięknej wsi posagiem wziętą, mimo kapitałów dziadowskich jeszcze, Bernat dobrze majątności naderwał; a gdy życie skończył, wierzycieli obliczono, syn jegomości i pozostała wdowa przestraszyli się, aby im ojcowizny zbywać nie przyszło.

Jednak pracą i oszczędnością jakoś się to polatało.

Tylko się zaraz wyrzekli wszelkich owych pańskich fantazyj, budynków na Isola Bella, które opustoszały zupełnie i poszły w ruinę, gondoli, którym próchnieć dozwolono, i murzynka. Tego przyjął do służby swój wojewoda Jabłonowski.

A że za pana Bernata dużo się ludzie byli rozpróżnowali i opuścili, musiał syn jego spreżyście się brać do gospodarstwa, co się nie podobało; ochrzczono go więc znowu owem spadkowém—Póldyablęciem Weneckiem.

Weale to nie był zły człowiek, i szatańskiego w sobie nic nie miał; ale ściślej pilnując sprawiedliwości, nie pobłażając nikomu, naraził się wielu. Surowego był nader obyczajny, posępnego oblicza, a pod starość księgi lubiał i chętnie się w nie wezytywał. Mając zaś tak prawie jak dwie ojczyzny, obu się uczył, obu wspomnienia cenił i zbierał.

Był on właśnie ojcem bohatera naszego Konrada Lippiego, pospolicie Lipińskim zwanego.

Po upadku konfederacyi barskiej, wielu z tych, co w nią czynny udział mieli, zniechęconych stanem rzeczy obecnym lub spodziewających się rychłej jego zmiany, rozpiezchło się po Enropie. Niektórzy z sercem osmiatuałem a piersią pełną poczyi téj uroczystej doby, która religijnego dnea podniosła, powrócili do domów, aby przy roli i pracy zapomnieć o tém, co bolało. Odpasane szable zawisły nad łóżem przy ryngarafach z Matką Bozką Częstochowską, a żołnierz w kitlu płociennym i skórzniach po kolana, poszedł za plugiem, odśpiewując pieśń księdza Marka do Matki Bożkiej i Królowej... niebios.

Do tych rozbitków, którzy się waleśać po obczyźnie z razu nie chcieli, należał i Konrad Lippi.

Dziedziczył on po ojcu i dziadzie wieś ową w Poznanińskim, Robuin, na której jeziorze jeszcze w ruinach stały fantazyje dziadowskie, a razem spadło na niego niezasłużenie i przezwisko owo—Póldyablę Weneckie,—które już szło z ojca na syna.

Konrad wychowany był bardzo troskliwie i starannie przez ojca, który też chciał, aby choć jeden z synów jego włoskie pochodzenie rodziny miał i w dalszy, więc go obok łaciny, języka włoskiego wyuczyć dobrze kazał. Ojciec Jezuita, Włoch, który się Konradem zajmował, wywiązał się z tego nader szczęśliwie, tak, że młodzieniec i język, i dzieje drugiey Rzeczypospolitej znał jak własne polskie. Ale sercem jakoś więcej był przyrósł do tej ziemi, na której się narodził i wychował.

Konrad, gdy konfederacya się zawiązała, przystąpił do niej, i jako prosty żołnierz bić się poszedł; potem nieprześladowany jakoś, do rodzinnego kąta mógł powrócić.

Ale na niego tam nikt nie czekał... Konrad dawno był rodziców stracił, siostrę miał zamężną aż w Kaliskiem, brata rodzzonego osiadłego w Prussiech około Chelmną, a w domu z rodziny żywego ducha. Wyruszając na wyprawę, powierzył gospodarstwo, mienie i zarząd interesami, staremu Pukale. Pukalo, Litwin, kędyś od Kowna rodem, pacholeciem się był jeszcze przybłąkał do dworu w Robninie do rodziców Konrada, służył najprzód przy pokoju, potem przy gminie, pomagał ekonomowi, wyręczał pisarza, ale że wyrobił się z niego człowiek bardzo poczciwy, stateczny, rozsądny, w końcu mu powierzono tak jak wszystko: klucze, rejestra, pieniądze i nowy dziedzie weale mu ich odbierać nie myślał, boby sam pewnie tak jak on rady nie dal.

Pukalo był wzorem tych starego autoramentu rządców, co się tak z rodziną zjednoczyli, iż swojego własnego interesu nie mieli, a w panach swych żyli cali. Wynosił na rękach Konradka, pannę Annę i pana

Bolesława, pogrzebał oboje starych Lipińskich, wydał potem za mąż Anusię, naostatek na wojaczkę wyprawił Konrada, którego najwięcej kochał... i oto on jeden witał go teraz z powrotem.

Dla niego w Robninie nie było kąta, człowieka, rzeczy, którójby nie znał z gruntu i historyi jej nie wiedział. Ledwie już pamiętał miejsce rodzinne, mało co wiedział o swoich nad Niemnem; ale tu... tu mu się trawa spowiadała, gdy rosła; znał genealogię wszystkich gniazd bocianich; ludzie więcej niepewni metryki do niego się ndawali po objaśnienie, kiedy się kto rodził. Pamięć też miał doskonałą, a serce chyba jeszcze lepsze. Dla czego się był nie ożenił dotąd, chociaż już tego poszpakowaciał, to tylko Pann Bogu było wiadomo.

Dosyć niemłody, wyglądał jeszcze raźnie, zdrowo, trzymał się prosto, i weale lat, które miał w istocie, nie pokazywał.

Nie brzydził się też niewiastami, i owszem, wzdychywał do wielu, ale ile razy snuł się do kobierca, zawsze mu coś na drodze stało. Woli bożej jakoś nie było i nie było. Pukało to sobie w kòhen wyperswadował, bo był pobożny, a z wolą bożą godzić się naucezył, i mawiał, gdy się go pytano: — „Musi to tak być lepij, kiedy się nie udaje... człowiek często pragnie mocno tego, czego potem ma żalować... zatem stań się wola Twoja! Wie Pan Bóg co robi.”

Z Litwy jedną tylko rzecz wyniósł z sobą Pukało: przysłowie stare, dawniej snadź używane w miejscu zwykłego dalibóg, aby Imienia bożego nie nadużywać, powtarzał często bardzo *Dalifur*, i z tego poszło nawet, że go potem więcej nazywano panem Dalifurem niż Pukałą.

Gdy panicz sobie mnndur sprawił, a karabełę oj-cowską przypasał i gniadósza najlepszego ze stajni wziął pod kulbakę, Dalifur się uplakawszy, przeżegnał go Karawaką i poszedł z nią i z koronką okolo gospodarstwa jak zwyczajnie. We dworze ani znaku nie było, że panicza zabrakło. Pilnował Pukało, żeby tam wszystko było na swojém miejscu i w porządku. O południu regularnie chodził zegar gdański nakręcać, żeby nie stanął; w piękne dni sam okna odmykał, garderobę wietrzył, pyły ścierał i przechadzając się po pastych komnatach, nawzdychał się i naplakał nieraz do syta.

Bo dla niego od wielu lat nie a nie się tu nie zmieniło na jotę jedną w losach, zajęciach i nadziejach. Kapota jego szara przeżyła starego Lipińskiego; dzień dzisiejszy podobny był do wczorajszego jak brat rodzony; w izdebce, którą zamieszkiwał lat dwadzieścia, patrzył na jedną szybę z rysą i pięć popekany... a tymczasem na świecie ile doli ludzkich, i żywotów, i szczęścia rozprysło się w tym młyńskim ruchu gotętszej wrzawy!...

Nieraz to sobie przemyślał Pukało: czemu ludzie nie starają się o ten spokój, na którym jak na wygodnej łódce przepływa się ów burzliwy ocean życia i dobija do brzegu, prawie nie poczuwszy podróży? ale trudno nim było zrozumieć wszystko na świecie, a i pretensyi do tego nie miał.

Zaraz po ostatnich klęskach konfederatów, napisał do niego pan Konrad, że przybędzie, i już oczekano na niego w Robuinie. Cieszył się Pukało, że panicz choć z życiem ocalał, i zabierał się z nim rozmówić o przyszłości w ten sposób, aby do dalszych niebezpiecznych wycieczek odjąć ochotę.

Robnin był co się zowie porządną posiadłością szlachecką; nie zbywało jej na niezemi, rola była wysmienita, lasn i łąk dostatek, jezioro rybne, rzeczka spokojna a wygodna płynęła doliną, zabudowania gospodarskie były fundamentalne... a i Indzie zamieszkujący na grnatach od wieków już zespoleni z Lipińskimi, przywiązali się do nich, i choć swych panów dziedziczuem imieniem: Póldyablę Weneckie, nazywali, kochali ich przecię. Był i kościółek, i plebania mała, i nicopodal gościniec bity do miasta, które niezbyt odlegle leżało, i austerya intratna, z której arendarz, też przyjaciół dworu, zwany Parnesem opłacał ze trzy tysiące złotych rocznie, nie licząc kawy, enkrn, mięsa i świece lojowych, dodawanych tytułem porękawicznego. Porządny mlynek rzeczny także coś znaczył.

Nietylko rodzice pana Konrada, Indzie porządni, gospodarni i lubiący ład, przyłożyli się do zbudowania bardzo pięknego folwarku, ale i dziadowskie fantazyc daly się na coś pożytecznego poprzerabiać, oprócz ruin na wyspie. Lamns wyglądał jak baszta mrowiana; dwór z drzewa, pruskiego muru i cegły w przybudówkach, mógłby się być nazywać pałacikiem... tak z daleka dobrze się prezentował. Wszystko zresztą szło z nim w parze.

Chlubił się ojciec pana Konrada, że n niego chlewka nawet byle jak skleconego nie zualazł. Folwark, w którym Pnkalo mieszkiał, a naprzeciwko stara kłecznicia Mnrzynowska, tak był wygodny, że drngiem szlachecowi mógłby być za dwór służyć, i nie powstydzilby się pewnie.

Sąsiad Robnina, niejaki Pyszewski, pocziwy człek,

ale szalaowała niezmierny, powiadał, że u Lipińskich bydło lepij mieszkało, niż u niego ludzie.

Słynęli też ostatni z Lippich Lipińskich z ładu i dostatku. Nie było to bogactwo, nie zwało się państwem, ale na téj jednéj wsi odłużonéj przez nieboszczyka Bernata, ojciec Konrada dokupił drugą dla Bolesława, zebrał posag dla Anusi i zostawił synom znaczne kapitały. Ale żyło się skromnie bardzo, wygodnie, zdrowo, a weale nieszumnie. Pamięć starego owego, co się bawil w patrycynsza weneckiego, była skutecznym przykładem. Nigdzie chleba smaczniejszego nie znalazłeś niż u Lipińskich, ale marcypana tam nikt nie powąchał. Poszło to już w obyczaj, i obaj synowie byli ludzie, choć dobrze wychowani, do prostoty przywykli, do twardego życia i wielkiego porządku.

Pan Bolesław mieszkający w Kaliskiem zupełnie się wdał w ojca, ożenił, zagospodarował, roli patrzył, a było mu tego co miał bardzo dosyć, i więcéj nie pożądał. Anna też poszła w ślady matki, wydano ją za mąż, życie jéj wiejskie smakowało, dziatki ją zajmowały; krętanina około apteczki bawila ją i była szczęśliwą.

Konradowi już z młodu — choć go najlepij lubili i ojciec, i matka, i Pukalo, i wszyscy we dworze, był chłopak stateczny — choć jakoś nie na hreczko-sieja i domatora z oczu patrzyło. Gorączka był, ciekawy, i jak to mówiono dawniej, smakował mu światek.

Ale ojciec postrzegłszy to, jeszcze gorliwiej pracował nad nim niż nad innemi dziećmi, i potrafil tyle, że z żywego srebra, jak powiadał — zrobił srebro żywe...

Po śmierci rodziców, gdy się Konrad został samuteńki jeden w owym wielkim dworze robbińskim, z zegarem wybijającym pomaluteńku jednostajne godziny, ze ścieżkami wydeptanemi przez starych, których zabrakło, z pamiątkami młodości brata i siostry, co się ztąd powynosili — bardzo mu się tęskno zrobiło.

Ani polowanie, ani sąsiedzi, ani gawęda z proboszczem, ani nawet ukochany Dalifur rozerwać go nie mógł i rozweselić. Najlepiej to widział i najwięcej się tём gryzł Pukało; ale jego rady panicz nie chciał słuchać. Bywało, przyszedłszy wieczorem na kolacyę — bo obiad jadał wcześnić na folwarku lub jak tam gospodarstwo pozwoliło, a wieczercę zawsze z paniczem, — Pukało po kieliszku gorzalki, jak się rozgadał, namawiał pana Konrada na ożenek, i sam mu nawet bogdanki swatał. Ale panicz na to milczał.

— Już, dalifur—mawiał—takie życie jak to panicz prowadzi, toby się i świętemu uprzykrzyło. Cóż to teraz ten dwór, jeśli nie grób! Gdzie stąpisz to po nieboszczyku, a nie ma do kogo żywego słowa przemówić... Ale też sam Pan Bóg nakazał i przypomina, aby tu nowe życie wprowadziła niewiasta, a zaraz będzie inaczej.

— Daj mi ty stary pokój! odpowiadał Konrad: na to jeszcze czasu dosyć; a jakbym tu albo trzpiota wwiódł, eoby mi do góry nogami stary dwór przewrócił, albo biedę, niepokój... pierwszybyś pewnie płakał i narzekał... Ożenienie, ty to wiesz najlepiej, nie człowiek sam zarządza, ale Opatrzność. Jak się go zbyt zachce komu, niechże się ma na baczności, bo pewnie będzie potём pośpiechu żałował.

Ale to były słowa bardzo rozsądne, a nie ze wszystkiém szczere; wiedział Pukalo, że pan Konrad nie dla tego się nie żenił, aby się obawiał, ale że mu żadna do serca nie przypadła, a po głowie jakieś złotoskrzydłe latały bogdanki.

Pan Konrad lubiał po polsku i po włosku czytywać, a najwięcej czytywał poetów, i od młodych lat przyplątały się mu marzenia dziwaczne... więc powszedni chleb i ludzie powszedni nie smakowali.

Tego się też stary lękał bardzo, i radby go był co prędzej ożenił, aby ostudzić, bo wiedział, że gdy w świat prychnie, nie powróci do gniazda bez złotopiórój ptaszyny. Tych to piór złotych strachał się pocziwy Pukalo, myśląc, jak one często niezlota okrywają duszę...

W sąsiedztwie panien hożych było podostatkiem, ale wszystkie szyły w krosnach, robiły sery przedziwne, piekły baby doskonałe, a żadna jakoś nie kwalifikowała się na ową boginię.

Gdy pan Konrad poszedł na wyprawę, Pukalo na intencję zdrowia jego, powodzenia, i też by go tam, jak mówił, czupiradło gdzie jakie nie nłowiło, odmawiał regularnie koronkę do Przemienienia... Jakoż jednego szczęśliwego wieczoru doczekał się panicza... Ale ów żołnierz strojny powracał z szablą w bryce, bez munduru, a co gorsza, bez gniadosza. Leżł pocziwy wierzehowice od kuli. Konradowi też druga poprapała nogę, ale nieszkodliwie.

Pukalę wyściskawszy w progn, panicz znów wszedł z nim do dworu, do pustych komnat, w których tylko zapach zeszlój lawendy powkładanej od molów przez Murzynowską, czuć się dawał i jakoś pustkę przypominał. Dziwnie smutno, grobowo wy-

dała mu się ta siedziba, której każde krzesło, stół, sprzęt przypominały pogrzebanych: ojca, matkę,— oddalonych: brata i siostrę. Starnszek zegar wystukiwał swe wiekuiste *memento*. Nic się tu nie zmieniło, tylko śmierć powymiała kąty.

Dalifur rozradowany powrotem, pytał, odpowiadał sam, śmiał się; dla niego teraz dwór ożył, gdy paniec powrócił.

Ale Konrad powrócił tak smutny, przygnębiony, zrozpaczony prawie, milczący, że się aż Pukale wkrótce też weselości przebrało. Co otworzył usta, to z nich ból leciał i lal się, albo czarne przeczucia.

— Że niewesoło nam, dalifur, rzekł Pukalo po kilku odezwaniach się swojego panieza — no, to prawda; ale na Boga milego, póki człek żyw, truć się nie powinien temi myślami, które mn życie i ochotę do niego odbierają... Niech-no jegomość wypocznie, odje się trochę, rozpatrzy po gospodarstwie, a o jakiejś pracy pomyśli. Czémś się trzeba zająć... w słowach pociechy mało, ale w robocie lekarstwo jedyne. Gdybyś pan choćby wyżła służyć uczył, jużby lepiej niż tak siedzieć i stękać... Pan wiesz jak to stary nasz jegomość mawiał, że na żelezie, co leży w kącie, rdza w końcu porosnąć musi, a stary nóż nieustannie w robocie, to też się i świeci...

Rozśmiał się pan Konrad.

— Dajże mi robotę, mój stary nożn... rzekł z uśmiechem.

— Jak ja ją dam — odparł Pukalo — to się ona, dalifur, na nie nie zda. Dla człowieka praca tylko ta dobra i zdrowa, którą on sobie sam znajdzie i wyjmuje ją z pod serea.

Ale młody już i nie słuchał—chodził a wzdychał.

Przesiedział tak w téj pustce miesiąc, trochę zapołował, nieco czytał, wieczorami czasem o gospodarstwo popytał, niekiedy konno się przejechał, to na ranku siedząc poświstał, żeby przechadzającemu się po dziedzińcu Pukałę dać wyobrażenie o swéj wesołości, ale mu był z twarzy widny taki ucisk serdeczny, że się staremu aż żal młodzieńca schnącego tak marnie robiło.

Już późną jesienią, coraz chłodniej, rzadziej z domu wyglądając i wychodząc, pan Konrad zachorzał; a była to choroba, której i nazwać trudno, i leczyć niepodobna. Nie bolało go nic, nie umiał powiedzieć co mu jest, a wychudł, zmizerniał, zbłądł tak, że widocznie każdego dnia życia z niego ubywało. Ani ochoty do jadła, ani do snu chęci, ani do zabawy popędu; siedział w oknie, wzrok miał wlepiony gdzieś, bodaj w ścianę, a gdy się kto do niego odezwał, porывał się nagle przestraszony, jakby go ze snu przebudzono. Na twarzy skóra poprząsychała do kości, oczy mu błyszczały jakoś szklisto, a bez życia...

Pukałę aż na płacz się zbierało. Wspomnił coś o doktorze, ale się Konrad nań ofuknął, dowodząc, że jest zupełnie zdrow i weale się chorym nie czuje.

Trzeba było fortelu zażyć: namówili się więc z Murzynowską, która stękając położyła się w łóżko, a folwarczne konie posłano po doktora do miasteczka, niby dla niej. Obrachował się tak Pukałę, aby doktor być musiał na obiedzie we dworze i paniecia widział; umówił się też z nim wprzód o co chodziło. Nie było naówczas u nas prawie innych doktorów nad Niemców; ten też rodem z nad Renu zwał się Werner, i mało co, ale bardzo źle mówił po polsku, a mniéj jeszcze życia naszego rozumiał. Doktor to

był dobry, ale téj szkoły, która w człowieku widziała tylko mięso i leczyła mięso — sprawy ducha były dla niego wcale niezrozumiałe...

Co duch zbroił w człowieku, zwałało się na nerwy, a na te były też lekarstwa; i gdy nerwy spętało, że się dusza niemi posłużyć nie mogła, zdawało się, że i ona być musi zdrowa.

Werner pod pozorem obiadu zaszedł do dworu, umiał nawet nieznacznie dopytać się języka chorego i pulsu, ale znalazłszy go wycieńczonym, z gorączką, po długim badaniu, odjeżdżając, powiedział Pukało:

To jest choroba... i to nie jest żaden choroba... jemu trzeba żonka... zabawa... wesołości... będzie jemu zdrowa...

— To także mi nowinę powiedział za mój czerwony złoty! rzekł Pukało. Niby to ja tego nie wiem, że jak będzie wesoło, to nie będzie smutno! Jak mu tę żonkę sprokurować... dalifur... to sek...

Mozolił się i kłopotał Pukało, i naradzał z Murzynowską, która bardzo jakieś skuteczne ziółka uspakajające z dodatkiem szafranu zalecała... ale pan Konrad w żadne leki wdawać się nie chciał, sechł i trybu życia zmieniać nie myślał.

Rok też cały w okropnym niepokoju strawił Pukało. Posyłał do siostry, ale ta dla bliżkiej słabości przybyć nie mogła; dawał wiedzieć bratu, który na krótko zjechał i przerwał trochę jednostajność Robnina; ale gdy za bramę wyruszył, znown Konrad pograżony w myślach, na ścianę począł patrzeć.

W końcu potrzeba było nareszcie uwierzyć, czego od początku domyślała się i dowodziła stara klucznica Murzynowska, że na pana Konrada jakiś fatalny urok rzeciono. Chodziło tylko o to, gdzie wyszukać baby,

któraby naturę tego czaru rozpoznawszy, umiała mu go skutecznie odjąć — i żeby pan Konrad nie opierał się doświadczeniom, jakicby na nim uczynić chciało... a poddał się odczarowaniu z pokorą.

— Że to są uroki, mówiła nparcie Murzynowska — na tobym gardło dała... Młody człowiek... to nie jest żadna choroba... ludzka tylko przewrotność, zemsta, nasłanie. Ale jak go tu na babę namówić!!

Pukało nawet wniosku tego uczynić się nie podejmował. Tymczasem Murzynowska po baby znałchorki od wsi do wsi, dowiadując się, latała... Ale czarownice jakoś już naówczas były rzadkie. Do drobnych posług można było znaleźć je jeszcze, nawet do zdjęcia nroku i zrzucenia go na psa... ale z pana szlachcica żadna się nie podejmowała *odczynić* nasłania.

Już Pukało miał księdza namówić, aby pod pozorem jakiego błogosławieństwa, duchownych użył egzorcyzmów, a to opętanie zdjął z niego — gdy nagle niespodziewana zupełnie zaszła zmiana.

Było to jakoś wczesną wiosną, a właśnie owies siać miano i Pukało z nim pośpieszał, bojąc się, ażeby rola do zbytku nie oschła, pamiętny na przysłowie: „Kto rzuca w błoto, ten zbiera złoto,” — gdy z największym podziwieniem swém, mając siadać na stępaka, odebrał ze dworu wezwanie, ażeby niezwłocznie do pana przyszedł.

Przestraszył się starowina, bo od czasu jak tak zachorzał, nigdy go pan Konrad nie wzywał, a mało kiedy nawet wieczorem się z nim rozgadał..

— Cóż to tam takiego? zapytał chłopca, który przybiegl po niego, — czy nie przyjechał kto?

— Nie, nie ma nikogo, pan sam, proszę jegomości — odpowiedział tak zwany węgrzynek, w istocie Maciek ze wsi rodem, — tylko od wczorajszego wieczoru, cości panicz jakby to zdrowszy... Trochę nawet se podśpiewuje, krząta się po pokojach, ubrał się jakoś i czuprynę do góry zaczesal...

O! o! dalifur... a to chyba cud!... krzyknął stary. I zaraz stępaka oddawszy stajennemu, pośpieszył.

Zastał pana Konrada w ganku, i aż mu się, spojrzawszy nań, lić też rozpromieniło... Był ubrany, twarz miał nieco bladą, ale świeżą, w oczach powrócona młodość świeciła, jakby inny, odrodzony wyglądał człowiek...

— „Pan Jezus przy dziecięciu!—zawołał w duchu — a cóż to się święci?...“ I podszedł ostrożnie, a z cicha, jakby się obawiał spłoszyć tę odrobinę wesela, tego zwiastuna lepszej przyszłości.

— Czy pan mnie kazał wołać? spytał udając obojętnego, choć mu serce biło.

— A! chciałem cię prosić, mój pocziwy stary przyjacielu — wdzięcznym głosem odpowiedział panicz, — miałbym z tobą co do pomówienia.

— Aby dobrze! zawołał Pukalo: toć ja zawsze na usługi pańskie... Choć w tej chwili chciałem przypilnować jak tam oni owies się będą, ale niech tam gumieny idzie... On nie ma konia... nasienia nie ukradnie przecię, — a nim zabronują, to i ja dośkoczę...

— Siadajże-no na ławie... sam siadając, rzekł Konrad. Nie napiłbyś się wódki?... ranek chłodny...

— Ba! a z kim? sam wódki nie piję — odparł Dalifur.

— No, to ja do was przypiję...

— O! to z miłą chęcią...

— Wiesz co, po kieliszku staruszki... dodał, uśmiechając się młody człowiek.

— Już zgoda, choćby na witryol... rzekł uradowany Pukało.

Węgrzynek pobiegł na skinienie do apteczki, i powrócił z flaszką, chlebem, solą... ba! i z piernikiem.

Patrzył Pukało jak on też będzie pił, ale zobaczywszy, że szczerze wychylił kieliszek, aż mu się lżej na duszy zrobiło, od roku bowiem panicz nie powąchał żadnego napoju.

— To już chyba ktoś zdjął czary! rzekł w duchu.

— No, mój Pukało, będziesz ty na mnie gderał może — odczuwał się po chwili Konrad, — ale już tak dłużej marnieć nie chcę... trzeba mi się trochę rozruszać... myślę w podróż się wybrać.

— A to Duch Święty natchnął! zawołał Dalifur, składając ręce. Albożbym to ja temu oponować się śmiał! Jedź pan, jedź, ino nam wesoło powracaj. Czy do siostry, czy do brata, czy wreszcie choćby do Warszawy, do Krakowa... toć się pan rozerwie, a i wszystko dobrze będzie.

— Ale ba! zaśmiał się Konrad: ty myślisz, że ja na taką małą wybieram się wędrowkę?

— No? a dokądże?

— Pomyślałem sobie... ot... zobaczę moją, a raczej moich dziadów ojczyznę Wenecję, a zamtąd łatwo mi się będzie i do Grobu Pańskiego, do Jerozolimy dostać.

Pukało struchlał...

— To źle — rzekł w duchu — to źle! Próżnom się za wezasu ucieszył... gorszem to jeszcze pachnie niż siedzenie w domu.

Nie śmiał się wyraźnie sprzeciwiać Pukało po-bożnej intencji; wiedział, że do Jerozolimy pielgrzymów jeździ siła; znał to, że się nie godzi od takiego aktu odciągać; słyszał, że księżę Radziwiłł był tam Sierotka i wielu panów świeckich i duchownych; a Wenecyi też, do której jakiś instyunkt ciągnął serdeczny, nie wypadało odradzać. Ale gdzie znów włodemu i nie tak bardzo bogatemu chłopcu — myślał — na taką się puszczać imprezę?

Z razu więc zamyslił ni tém ni owém.

— A czemuż nie! czemuż nie! rzekł — tylko że to oboje, choćby i ta Wenecya, cóż dopiero Jerozolima... daleko strasznie, a podróż kosztowna... i do licha, niebezpieczna... W Ziemi Świętej z pogany sprawa... z morzem, z okrętami... z fluktem niepewnym, z nawą kruchą... E! gdyby tylko intenecya pielgrzymki, tobym wotował za Kałwaryą naszą albo Częstochową.

— Zapominasz o Wenecyi, mój miły — odpart Konrad — i o tém, że ja jechać chcę właśnie dla widzenia krajów, dla poznania świata... dla...

Pukało niedobrze i tę ciekawość i tę żądzę zrozumiał — ale jak się było opierać?... niżby znów w tę niebezpieczną popadł chorobę?

— Może-ć to taka podróż i nie ruina — odpart — ale zawsze... bez jakich tysiąca czerwonych złotych ani myśleć się ruszyć... a może i drugi zaczepić wypadnie... dodał, kiwając głową. Ono-ci się to tam

i znajdzie... dalifur... ale... prawdę rzekłszy... posypać to po drodze, trochę szkoda...

— Myślę, że się to i mniejszym kosztem obejdzie, odparł pan Konrad. Dwa razy do roku albo i więcej, jakem czytał, odpływają z Wenecyi okręty do Ziemi Świętej, pielgrzymów tam jeździwa dużo i nie bardzo dostatnich... przecież się ważą na to... no, i cali powracają. Wystaw sobie, kochany Pukalo—dodał z zapalem i uśmiechem — zobaczyć naszą dawną ojczyznę, Włochy, Wenecję, morze... Palestynę i gród uświęcony przez Zbawiciela...

-- Daj tylko Boże calo i jak najrychlej powrócić! westchnął stary... Czemuż nie! czemu nie! Ale za pozwoleniem pana, nie obrazisz się gdy zapytam: zkąd to pannu ta myśl przyszła?..

— Nie naturalniejszego, odpowiedział Konrad: myślałem o naszej ojczystej Wenecyi... czytałem o podróżach... i ot...

Stary głową pokiwał...

— Jeśli to ma posłużyć panu, orzeźwić, dodać do życia ochoty... potrzeba natchnienia słuchać... Tylko dobrodzieju mój — rzekł ciszej — jak tam z tymi Arabami czy Turkami? czy bezpieczni to ludzie? czy pogany te lada kogo nie zaczepiają?

— Tylko się im oplacać potrzeba, odparł uśmiechając się Konrad. W najgorszym razie, częściej obędra, niż na życie się targną.

— No to tak niby jak i z Niemcami! zawołał stary. Jeszcze to pół biedy, byle na krew chrześcijańską chciwi nie byli i na nią nie czyhali.. a znów do kata w niewolę nie uprowadzili, bo z niej się wykupować to i wioski mało... Wszak-ci to dziad nieboszczyka pana podkomorzego był u Turka w Ca-

rogrodzie w niewoli, a familia go ledwie za wielkiem staraniem OO. Trynitarzy dostala, na wage srebra zań oplaciwszy... Jeszcze oprócz tego co prezentów nadawali dragonom, a co fundacyj na tę intencyę, a i pół klasztoru Trynitarzom przez wdzięczność budowali tak, że się niemal na pół wiekn zrujnowali.

— O to się nie lękaj stary! wesoło zawolał Konrad: nie ja pierwszy jadę, nie ja jeden... siła tam co rok pątników, powracają przecię cali i zdrowi.

— No, niech i tak, dalifur, niech i tak! potakując począł Pnkało. Teraz co do grosiwa wypadnie konferować. Co do tego krótką zdam sprawę. Jest tysiąc czerwonych złotych tych, co się zawsze nazywały jeszcze za życia nieboszczyka ojca pańskiego *zakłętmi*, tych jabym nie ruszał. Złoto węgierskie i obrączkowe, dukat w dukat dobrane jak perły; szkoda by je było puścić marnie... Okolo tysiąca zbierze się różnej monety okolo domu, a tysiąc pożyczyłem knpcowi do Poznania tak, abym je mógł na każde zawołanie odebrać. Placą od nich prowizyi pół procentu co miesiąc i dają kawę i cukier. Człek tantry... napiszę tylko do niego, za dziesięć dni będą.

— A na Boga, po cóż mi tyle! wykrzyknął Konrad.

— No, bez okrągłego tysiąca ja pana nie puszczę, odpowiedział stary — już jak tam sobie chcecie. Gdy się jedzie w kraj daleki, między ludzi, nie można się ladajako pokazać, zwłaszcza w tój Wenecyi, bo to się tam przybywszy z Polski należy i postawić, aby nie myślała szlachta wenecka, że my tu samym razowym chlebem żyjemy. Koło domu to tam ezlowieka znają i nie sądzą go z miny; ale po za krajem mieszek nabity, to najlepsze *testimonium* i *litte*

rae passus. Nie przystoi, aby mego dobrodzieja wzięli tam za jakąś hetkę pętelkę. No, nie pojedzieć się też — dodał stary — bez czeladzi, bez pacholika, bez dworzanina... a no człek do koni jeden i drugi, i koni też...

— Stój! stój! mój Pukało! śmiejąc się przerwał Konrad. Co znowu! co ci się śni! Ja myślę lub sam jeden, lub najwięcej samowtór z węgrzynkiem. Czy to ja taki wielki pan? a teraz już i nie te czasy. Konie mi żadne potrzebne nie są, przyborów nie wiele; te więcej ciężą niż pomagają.

— A! no, to jak wy tam sami rozporządzicie.. szepnął Pukało. Przecież w taką drogę tak z kopyta ruszyć niepodobna, trzeba się przygotować. Obmyślimy wszystko; a ja do mojego Kasperowskiego dziś jeszcze o dukaty napiszę.

Poskrobał się stary po łysinie, bo mu się żał zrobiło onych zapaśnych tysiąca czerwonych złotych, ale pocieszył się w duchu, mówiąc sobie: „Pal ich dyabli! aby panicz był zdrów, a nie nudził się, dałbym i dwa. To się odrobi... aby życie i siła...”

Piorunem poszły przygotowania do podróży, bo raz myśl tę powziąwszy, gorączkował się Konrad, chodził, napędzał, śpieszył, aby co najprędzej wyruszyć. W tydzień istotnie Kasperowski złoto owo z Poznania przywiózł, a choć były między nićm i obrzezańce, w ogóle jednak niezłą wagę trzymały. Pięćset najdorodniejszych, tłustych, tuczonych, jak mówił stary, karmionych, dodawał Kasperowski, opieczętowano osobno, na ostateczny jakiś wypadek, gdyby już jaka bieda przyszła. Trzos uszyto umyślnie zamszowy, mocny; Murzynowska bieliznę, suknie, niektóre kordyały nieodzownie w drodze potrzebne zbie-

rać poczęła. Sam Pukalo dobierał suknie, pasy i w czémby się przystojnie okazać można. Koniec końców, rupieci się aż do zbytku wiele nazwłóczyło, bo ludziom co mało po świecie się kręcili, wszystko zdawało się bardzo potrzebne. Chcieli nawet koniecznie namówić panieza, aby wziął koldrę, losią skórę i poduszek choć ze dwie, ale temu się stanowczo oparł Konrad, i kontentował jedną skórą.

Wszystkie te węzelki, puzderka, sepeciki, sakwy byłyby objuczyły wielbłąda, ale Murzynowska i Pukalo zakłmali się, że bez tego stąpić za próg nie było można. Kłecznicza nie wyobrażała sobie nawet, aby bez domowej mięty pieprzowej i melisy puścić się w świat godzilo. Trudnoż było nie mieć flaszki wódki w zapasie, trochę chociażby wędliny, kawałka sera z kminkiem i słodkiej jakiegobądź przekąski.

Pukalo ledwie się zgodził na to, aby na jednym poprzestać węgrykn, myślał dać starszego i stateczniejszego sługę; ale chłopak się panu do nóg rzucił i wyplakał, że go wzięto.... Tak mu się chciało Grób Pański oglądać!

Ten węgrynek, w istocie, jak mówiliśmy, prosty Maciek, dla czego się węgrynkim mianował nie było dobrze wiadomo; to pewna, że w Węgrzech się nie urodził i ani ich powąchał.... Węgrem był domowego chowu, tyle tylko, że go ubierano z węgierska. Czapurny malec, wesoly, roztropny, odważny, wygadany, był, jak to dawniej mawiano, eiekawy bardzo. Sam się czytać prawie nauczył i do książek się rwał strasznie, był też do panieza swojego przywiązany balwochwalsko; wadę miał przecie jedną, lat siedemnaste, a z téj przyczyny nie słychanie czule serce dla pleci niewieściej, za którą szalał. Oplacało mu się to nie-

ustannemi kłopotami, gżzami nawet i tysiącem nieprzyjemności, ale cierpiał wesoło i weale się tём nie zrażał.

Zwrócił uwagę pańską na ten defekt węgrzynka Pukalo, ale pan Konrad się rozśmiał i ramionami ruszył.

— Za granicą — rzekł — nie znając języka, trudno mu będzie wdać się w jakie miłosne konszachty...

— Ale ba! odparł Dalifur: to takie stworzenie zajądło, że się gotów pannom na migi oświadczyć; ale ja go zreflektuję na odjeździe tём — dodał — że mu przyrzeknę pięćdziesiąt odlewanych, jeśli mi najmniej-sze głupstwo zrobi. A że ojciec jego nieboszczyk przełł na mnie swą władzę umierając, dotrzymam świątce.

Węgrzynek wysłuchał wprawdzie tój obietnicy wyszczerzając zęby, ale go ona nie ustraszyła... Szczęśliwy był, że jedzie z panem, tak, że gdyby mu Pukalo *anticipative* wypłatę należności zaproponował, byłby ją przyjął, byle jechać.

Nadszedł nareszcie wielki dzień rozstania. Pakunek jeszcze się zwiększył troskliwością sług a roztrzepaniem węgrzynka. Rano do kapliczki dworskiej przybył ze mżzą świętą pleban staruszek dla pobenedykowania na drogę pobożną tego, któremu błogosławił już raz, gdy na świat przychodził.

Cały dwór przytomny był temu obrządkowi uroczystemu, a stary Pukalo splakał się biedaczysko, myśląc o niebezpieczeństwach, które czekały panicza, choć mu ks. pleban starał się wytłómaczyć, że elementa straszniejsze są od ludzi, bodaj pogan, nawalnie groźniejsze od Arabów i Turków, choroby zjadliwsze nad węże i padalce. Skutkiem trafnych tych perswazyj proboszcza było, że głowę sobie nabił

stary i morzem, i burzą, i ludźmi, i chorobami, i padalcami razem... a więcej się jeszcze trwożył niż wprzód.

— Żeby przynajmniej mnie z sobą wziął, mówił Pukalo: jabym mu jakoś rady dawał... tylko, że któżby tu znowu bezemnie gospodarzył?

Przeżegnany, oplakany, ale z myślą rzeźwą, z ciekawością wielką widzenia dziadowskiej ojczyzny z krain dalekich, wyruszył Konrad ku nieznanym krajom; a we wrotach Robnina Pukalo, Murzynowska, ks. pleban, czeladka, nawet psy podwórzowe, długo stali patrząc na tuman kurzu, który pędził drogą i nareszcie znikł im z oczu.

Zapomnieliśmy dziś, jak się to ongi podróżowało; mamy ułatwień tyle, że dawnych trudności dziś jakoś i pojąć nie umiemy... Ale kto się choćby teraz nawet puszczał na mało udeptane drogi, w pustą Kalabryę, po wybrzeżach Elhy i Korsyki, choćby w Abruzzo lub inną okolicę, której nie przerzypają gościeńce, na których jeszcze nie czatują oberżyści, ten nocując pod gołym niebem, żyjąc spleśniałym chlebem i zgęstniałym winem, powziąłby wyobrażenie, czém były wędrówki za dawniejszych czasów, gdy niebezpiecznym i nie w wielkim towarzystwie puścić się nawet nie było podobna, a ciekawość lub nieopatrzość często się zdrowiem i życiem opłacała.

Nie było już tak bardzo źle po wielkich traktach w końcu XVIII wieku, i tam gdzie poczty same lub pod eskortą siły zbrojnej ehadzały; ale na uboczu podróżny samotny musiał się dobrze oglądać, wzbudzał bowiem apetyt nawet w ludziach zwykle na cudze kieszenie i życie niełakomych.

Za to podróż była nierównie więcej zajmująca niż teraz, gdy innego przypadku nad pęknięcie kotła lub wywrócenie wagonów i skrócenie karku prozaiczne, spodziewać się nie można... Spotkania, znajomości, awantury niezmierne urozmaicały wędrówkę; wszystkie niemal romanse stare na gościńcach się poczynają, ciągną i rzadko gdzieindziej kończą niż w gospodzie.

Dla zadowolonego człowieka, który świat nieco był sobie przywykł wyobrażać na wzór swojego kraju, nowe strony nieco się mnsiały wydawać dziko. Węgrzynek ledwo za granicę wyruszywszy, i śniał się, i dziwił, i narzekał, i aż prawie od rozumu odechodził. Najwięcej go to niecierpliwiło, że powszechnie ludzie szwargotali niezrozumiałemi językami, z których nie dojść nie było można... i że mowa polska nie była tak powszechnie znana, jak sobie wyobrażał.

Pan Konrad o to przynajmniej kłopotu nie miał, mówiąc nieźle po francuzku, *expedite* po łacinie i po włosku, a nawet odrobinę po niemiecku. Ostatnim z tych języków gdy był zmuszony dłużej mówić, spluwał potem, jakby sobie czém niedobrem usta porzydził.

Po Europie naówczas jeszcze z francuzczyzną a z łaciną łatwo było można wędrować.

Na Szlaku byli jak w domu. Przejeżdżając Czechy, węgrzynek utrzymywał, że i tam po polsku mówiono, ale jakimś spieszczonym językiem. Dalej wpadli w niemiecтво, a dojechawszy do Wiednia, chłopak już tylko na migi rozmawiał.

Nim ztąd do Tryestu potrafili się dostać przez ogromne góry, nadziwił się ich urodzie i wielkości, nastrachał przepaści, które mu się po nizinach i równinach przeraźliwie ogromnemi wydawały... a dopie-

roż gdy zobaczyli morze.. otworzył gębę i stanął jak wryty!

Ta woda bez końca i pływające po niej lupiny od orzechów, myśl, że się w kruchój łodzi przyjdzie puścić na te bezdenne obszary przepaści — odjęła odwagę chłopakowi, i zmusiła go prawie żalować, że spokojny kąt w Robbinie za pieccem tak lekkomyślnie i porywczo opuścił.

Pan Konrad był wesół, w najlepszym w świecie humorze, radował się wszystkianą, znosił niewygody heroicznie, a zajmowała go najmniejsza rzecz do tego stopnia, że się aż zapominał. Węgrzynek często go za rękaw pociągnąć musiał, aby godzinę spóźnioną przywieść na pamięć.

Już w Wiedniu pan Konrad bardzo się poczał przypatrywać niewiastom, wyglądającym nieco żywiej i fantazyjniej od tych, które dotąd spotykał; ale niemieckie owe pulchne a białe piękności, choć na młodego chłopaka oczyma niebieskimi rzuciły, jeszcze mu były za flegmatyczne, za nadto do ziemi zdawały się przyrosłe.

W Tryeście jeszcze Włoch tak prawie jak nie było. Włościauki z okolic, gdyby nie osielki, na których na targ przyjeżdżały, przypomnialyby mu domorosłe wieśniaczki, nawet nieco językiem... ale tu już na okręt przyszło siadać i do Wenecyi płynąć. Bilo serce coraz żywiej Konradowi do starłej dziadowskiej ojczyzny...

Nie było pogotowiu innego statku nad jedną barkę kupiecką kapitana Weneta, powracającą od Wschodu, która do Wenecyi odpływała; na tę się tedy wybrali podróżni nasi. Gdy przyszło życie zdradliwemu powierzyć żywiołowi, znaczenie spoważnieli oba.

Statek ów, który się zwał *Padre Antonio*, spory był i pokaźny, ładowny kupią, którą wiozł ze Wschodu. Burza go była zmusiła szukać chwilowo przytulku w porcie, z czego korzystając zabierał nieco podróżnych z sobą. Ale już na pokładzie ledwie było cokolwiek miejsca wolnego zostało; towary, ludzie, skrzynie, powrozy, różna gawiedź w leczbie wielkiej go zalegała.

Zgodziwszy się z owym kapitanem Weneccyaninem, który mimo polityki usługę swą wyświadczoną podróżnym na ciekawie dobrze obliczyć potrafił, Konrad na łódkę zabrawszy pakunek i węgrzynka, puścił się, polecając się Matce Miłosierdzia, do statku.

Jeździł-ci to i on i węgrzynek jego nieraz po jeziorze w Robninie, ba! i po Gople — ale tam się nigdy woda tak nie ruszała jak tutaj. Rzekłbyś, że ją kto w kotle warzył. Zdawało się, że co chwila łódka się ochylnie i zanurzy, słone wody pluśkały w twarz, a trzymać się potrzeba było dobrze za burt, aby nie wylecieć.

Statek szczęściem niezbyt odlegle stał od brzegu, i ta krótka pierwsza przeprawa poszła szczęśliwie. Wdrapał się chłopak na okręt po drabinie jak kot, pan Konrad też dosyć zręcznie; rzeczy poweiągano bez szwanku, a na szerszym pokładzie i serca przybyło. Zdawało się też jakoś bezpiecznieć.

Gdy rzeczy w kątku złożono, siadł węgrzynek na tłomoczku i począł się rozglądać po okręcie, a było się też czemu przypatrzeć, i Konrad też ciekawie oczynna strzelał, bo dla nich wszystko to było nowe.

Okręt płynął aż z Carogrodu, a po drodze do różnych portów przybijał, nabrał też i wędrowców siła wszelkiego rodzaju, począwszy od tych, co do czyś-

ciejszego miejsca mieli prawo, aż do biedaków pęścisiskanych na dnie i na tyle okrętu.

Twarzy ogorzałych, zawojów zbrukanych, strojów dziwnych było podostatkiem.

Kapitan, niestary jeszcze człowiek, ale obeznany z morzem i bywalec, wesołego usposobienia, czuwał pilno nad swym statkiem, a gdy mu się wypocząć godziło, brał za gitarę i podśpiewywał, albo z podróżnymi baraszkował. Mężczyzna wzrostu tegiego, barczysty, ogorzały od słońca i morskich wyziewów, wyglądał po trosze na korsarza, choć nie zabawiał się tym rzemiosłem i uczeiwie towarem handlował. Z *Dugang* czasem miał małe zatargi, ale to była domowa sprawa.

Oprócz niego obfite było towarzystwo i urozmaicone: dwóch brudnych Turków, którzy podesławszy sobie kilnki, siedzieli z nogami pod się podknezcenami i palili fajki, niustannie im nakładane przez malego murzynka, bardzo zwinnego chłopaka; dwie Turczynki zawinięte w muślin i okryte rodzajem namiotu, aby ich ludzkie nie dopatrzyło oko; kilku czarnych, ogorzałych Greków z nożami za pasem, i — co niezmiernie dziwiło węgryzyna — w białych spódnicach; kilku Włochów; dwóch naostatek bogatych Żydów, którzy na uboczu obstawili się swojemi pakami, siedzieli osobno.

Był i braciszek Kapucyn, chudy nieczmiernie, bosy, w habicie latanym, łysy zupełnie, który sobie w kątku się modlił.

Gdy kapitan obliczył się, że mu już nikogo nie braknie, dano znak do odjazdu. Wiatr był pomyślny i obiecywał statkowi podróż niedługą, łatwą, koło brzegów ciągle, tak, że prawie lądu z oczu tracić

nie mieli. Pogoda też po gwałtownej burzy ustąpiła się prześliczna, powietrze było wonne, świeże, chciało się je pić i łykać piersią pełną... Widok na sinzielone fale zachwycał. Zakolysał się wkrótce okręt po wyrwaniu kotwic, rozpięto szeroko żagle; powiał w nie wiaterek lekki.

Padre Antonio unoszony falami pędził już z dobrą myślą ku królowej Adryatyki...

Już się byli nieco odsunęli od brzegów i tryesteński amfiteatr wzgórzy piękną ich oczom malował się panoramą, gdy z pod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z hałasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczej, stając jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych.

Wszystkich też wejrzenia na nią się obrócili: Turcy podnieśli zwieszane głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykręcali twarze, węgrzynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie.

Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo nieziemsko wyglądające? — Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, zręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwnie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiał.

Wszyscy zresztą patrzyli na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizernek Beatryczy Cenci w jednej z galeryj rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobnutki regularne rysy niezmiernego wdzięku, któremi się uśmiechała mała czarownica.

Usteczka jęj rumiane podobne były do rozkrojonej wisienki, czy do dwóch świeżych róży listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistemi strzałami, pleć białą jak śnieg, włosy... no! włosy — niestety! — były rude. Nie była to jednak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś nakształt bronzu i złota, jak u Wenery Tycyana—drogi ów kolor Wenecyankom ulubiony, który sobie nadawać umiały sztuką, jeśli poskapila im tej ozdoby natura.

Na dziewczęciu wszakże znać było, że sobie główki nie wypiekala na słońcu, i nie wymęczyła warkoczy, które były aż do zbytku obfite, ogromne i długie, tak, że zdawały się ciężać małej główce, którą opasywały kilkakroć węzłem wielkim, misternie uplecionym, spadając na pulchny karczek biały.

Dziewczę ubrane było nie wiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach pantofelki żółte złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie, na to rzucona sukienka z muślinu, potem płaszczyk cięższy aksamitny galonami bramowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik rozpięty, szyty bogato, i pas z frendzlą złocistą, spływający do kolan, i czapeczkę na główce, a na rękach pierścieni, obręczy, a na szyi łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo.

Znać było, że się czula piękną i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obudzi, bo się jałkoś zaraz zwycięzko obejrzała dokoła, i z uśmiechem zwróciwszy się do kapitana, spytała go włoszczyzną wenecką, wskazując na Konrada: coby był za jeden?

— *E un signore Polacco...*

Zdaje się, że wiadomość o pochodzeniu podróżnego zaciekała dziewczę, które śmiało podeszło do Kon-

rada, wzięwszy się jedną ręką w bok, i poczęło mu się przypatrywać uśmiechając.

Mówiliśmy już, że Konrad był bardzo przystojnym młodzieńcem, rycerskiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, nie wypadło mu też ładajako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał na sobie suknię z węgierska adamaszkową z pętlcami złotemi, a na niej płaszcz brązowany bogato, który go dobrze osłaniał, czapkę z czapłém piórem, szablę piękną u pasa, i turecki szal zamiast zwykłego przepasania.

Twarz jego smutna, poważna, zamyślona, oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające, tworzyły z niego piękny wzór dla malarza. Dolabella byłby go mógł pochwycić na jeden z tych szkiców, których tyle na papier wyrzucał.

Dziewczę zdawało się to uzuawać, bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał można powiedzieć od jęj wzroku. Gdyby chwilę dłużej, byłby go może nie wytrzymał, bo mu krew falami do piersi biła i do głowy, a rumieniec krwawy oblewał całego. Nie wiedząc co z sobą robić, bo mu i ręce zawadzać zaczęły, i nogi drżeć, i suknie dolegać, sięgnął ręką do pasa i pokręcił go machinalnie.

Dziewczę widąc samo zrozumiało, że tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło, i rozśmiewszy się, pierzeło ku kapitanowi, który z boku pooglądał wesolo na stworzeńko kapryśne, ale nie okiem kochanka... raczej troskliwego ojca i opiekuna.

Sarneczka poczęła potém przebiegać pokład, przeskakując liny, paki, wymijając siedzących, przypatrując się nieznanym twarzom, uśmiechając się do

jednych, krzywiąc na inne, jak pieszczone dziecię, któremu wszystko wolno.

Przybiegła do namiotiku Turczynek, odchyliła opone, włożyła główkę, coś poszeptala, rozśmiała się głośno, i znowu poczęła skakać po pokładzie.

Węgrzynek, który aż był wstał, wodząc oczyma za tēm zjawiskiem, pociągnął z lekka za płaszcz swego pana i zapytał go:

— Co to jest, proszę jegomości? Czy to kobieta? czy... tak sobie?

Konrad się rozśmiał, nie dziwiąc się pytaniu, bo istotnie dziwowisko to było prześliczne, cudowne, a nielatwo określić się dające — tak sobie.

— To dziecko! rzekł do węgrzyuka...

— Dziecko! a jakiegoż to narodu? cicho zapytał chłopak, oczu oderwać od niej nie mogąc.

— Narodu? ano Włoszka i WeneCYanka pewnie być musi, odparł Konrad.

— „Ot! ot! półdyablę weneckie też!” rzekł w dachn Maciek; „ale chyba cały dyabel!”

Dziewczę obiegłszy statek, powróciło na środek, zbliżyło się do kapitana jakby szukając u niego opieki, ale twarzą zwróciło się ku Polakowi i zapatrzyło na niego dłużej i poważniej.

— Cazità! szepnął Włoch do niej: nie patrz się tak na tego młodzieńca, bo gotów oszaleć...

— O! kiedyż bo mi się bardzo... bardzo podobał! śmiało odpowiedziała dziewczyna. Jestem nawet pewna tego, że i ja mu się też musiałam podobać bardzo... bardzo...

— Cóż dziwnego? z lekka klepiąc ją po ramieniu, rzekł kapitan: a komużbyś się ty nie podobała, miły

ty mój szatanku? Ciebie i twoje oczy potrzebaby chować jak bazyliuszka, żeby ludzi nie zabijały.

— Mój ty miły — odparła dziewczyna — czyż ja zabijać mogę? ja co w życiu jeszcze nikogo nie nawidzieć się nie nauczyłam. bo mnie wykołysała miłość... a tak mi dobrze było zawsze, że dałabym szczęście całemu światu, aby wszystek ze mną śpiewał...

Kapitan wciąż na nią patrząc, nśmiechał się czule; nareszcie powoli usta zbliżył do białego jej czoła i pocałował ją... prędko lę ocierając, która się na mężkiem oku znalazła.

— Taka była pocziwa, śliczna, dobra, kochana matka twoja... i tak nam z nią na świecie dobrze było; ale Pan Bóg mi jej pozazdrościł i wziął ją do swoich niebios...

— Wszak my się tam kiedyś wszyscy razem znajdziemy? szepnęła Cezita — nie prawdaż? Matka Bozka, przed którą lampę palę co sobota, wstawi się za nami... zlego nie robimy tak bardzo wiele... a Pan Bóg dobry i łaskaw... my pobożni i prawi chrześcianie... nie prawdaż? Ja ufam, że Matka Bozka z otwartemi rękoma wyjdzie przeciwko nam...

Kapitanowi znowu łzy kręciły się po powiekach, pocałował córkę.

— Nie mówmy o tém — rzekł cicho — nie mówmy... patrzaj-no lepić... jak piękne to morze nasze.

— E! morze! znam je dobrze, odpowiedziało dziewczę. Wszakżem się to ja z szumem jego oswoiła jeszcze w kolebce... Przez cały ten czas, cośmy w Tryście były z ciotką, chodziłyśmy ciągle nad brzeg albo na wschody katedry, i pasłyśmy się tym widokiem, po którym tęskno nam było, wyglądając

Padre Antonio. Ale tu morze wydawało się nam inne niż w Wenecyi, tameśmy je wzięli w niewolę, a tu ono szumi swobodnie, i śpiewa, i ryczy, i śmieje się, i gniewa... O! miły Boże! gdyby żywy człowiek... Ojcie — dodała ciszżej, zwracając ku niemu twarzyczkę — pozwól ty mi popatrzeć na twarz tego Polaka... nie widziałam jeszcze Polaka nigdy, nigdy, a ten jest bardzo ładny! Gdyby zagadać do niego, jakimby on mówił językiem?

Kapitan się uśmiechnął.

— Gdybyś ty do niego przemówiła dziewczyno, to zrozumiałby po włosku i po włosku odpowiedział... Tobie cudów dokazywać nie trudno.

Caziti rozśmiała się, patrząc mu w oczy.

— Umie po włosku? zapytała cicho.

Kapitan nie chciał snadź odpowiedzieć ani przecząc, ani potakując, milczał.

— Chodź ty ze mną, odezwiała się: będę śmielsza, ty za mnie przemówisz do niego; chcę tylko posłyszeć dźwięk jego głosu... jestem ciekawa, bardzo a bardzo ciekawa... a taką mam naturę, że człowieka nie znam póty, póki mi głos jego nie zaszemrze w uchu i nie odbije się w sercu... Głos więcéj mówi niż słowo...

— Ale na cóż ci go bliżej poznawać? przerwał jéj ojciec ze smutkiem. Jutro ci z oczu zniknie ta twarz smutna... i zapomnisz o niéj. Tak w życiu naszym przesuwają się ludzie jak te fale szumiące: musną, zaszumią, i okręt je minie, a fala o brzeg się rozbije gdzieś daleko.

— Nie chcesz? spytała tęsknie.

— Chodź... rzekł kapitan,—chodź, tobie nie odmówić nie podobna... I prowadził ją za sobą ku Kon-

radowi, który ujrzawszy ich zbliżających się ku sobie, poczerwieniał znowu i mocno się zakłopotał.

Gdy stanęli przed nim, sama grzeczność wymagała ukłonu; zdjął więc kolpaczek z czapłóm piórem i pozdrowił dziewczę mileżące, które się wciąż wpatrywało jak w tęczę.

— To córka moja, począł kapitan trochę polamaną włoszczyzną, w której wenecki dyalekt i mieszaninę różnych języków czuć było... Znalazłem ją wypadkiem trochę w Tryeście i odwożę do Wenecyi. Dziecko, jak widzicie, jeszcze trzpiotowate, a już ciekawe podwójną ciekawością dziecka i kobiety... Otoż się wam przypatruje, bo Turków już widziała dużo, Greków dosyć, nawet Francuzów i Tedesków, ale z waszego narodu goście u nas rzadcy.

Pan Konrad zdawał się zbierać trochę na odpowiedź, i z podziwem wielkim Cazity, rzekł wreszcie czystą tokańską włoszczyzną, ślicznie brzmiącą w jego młodych ustach.

— Jestem Polakiem i zarazem Włochem, rzekł z wolna, — a szczerę się tém, że należę do szlachty weneckiej i polskiej zarówno... Widzicie więc we mnie signorino istotną osobliwość, bo Polaka-Włocha... a ja w was, dodał, większe daleko cudo, bom takiej piękności jakem żyw i nie oglądał, i nie marzył...

Cazita słuchala cała drżąca, zarumieniona, z biciem serca... ale już słów na odpowiedź nie znalazła: stała się nagle trwożliwą, prawie smutną; głos, który tak usłyszeć pragnęła, niezmiernie głębokie, prawie bolesne uczynił na nią wrażenie...

Spojrzała z jakimś strachem na Konrada, i nieśmiało wyrzekła po chwili:

— Jedziecie do Wenecyi... a! zobaczycie tam daleko, daleko piękniejsze nademnie... i żywe signory na gondolach, i nieśmiertelne na obrazach naszych mistrzów... Od tych pewnie oczu nie oderwiecie.

— Choćbym najendniejsze widział, odparł grzeczenie Polak — pierwszój Wenezyanki widzianej w życiu do śmierci nie zapomnę.

Cazitą bardzo była zaczerwieniona i zakłopotana, bawiła się frendzlą swojego płaszczyka, z pod długich rzes kilka razy rzuciła nań oczyma czarnemi, uśmiechnęła się dziękując, ale ojeiec ją odciągał, i sama czuła się dziwnie znieszana, pożegnała go więc lekkim ukłonem... Ale żegnając, zdrajczyni jeszcze raz wpoila w niego wejrzenie, a co mu niem powiedziała nieopatrna, o tém prócz Konrada nikt, nawet kapitan nie wiedział.

Zrozumiał tę mowę biedny młodzieniec, bo się nią upił od razu; potarł ręką po czole, jakby chciał oprzytomnieć; a gdy znowu tęskne oczy podniósł ku nićj, kapitan i jego córka znikli.

Szmer tylko jój sukni posłyszał za sobą i dźwięczny, cichy uśmieszek dziewczęcia.

Wtém węgrzynek za płaszc go pociągnął.

— A! panie! panie! zawolał: jeszczeż też jakim żyw podobnej kobiety nie widział. Żeby człowiek umiał, toby ją sobie namalował, aby się na nią nieustannie patrzeć.

Konrad uśmiechnął się tylko.

Statek gnany wiatrem pomyślnym, wydawszy szare żagle, ślizgał się po falach morza, jakby igrając z niemi; słońce złocono zielone wód bałwany, obwieszając je strzępkami złotemi... W oddaleniu to płaskie, to najeżone górami jakby z ehmur tkanemi

siniały wybrzeża, malując barwami powietrznemi... Widok był zachwycający.

Na statku panowała ejsza, ledwie przerywana rzecanemi niekiedy rozkazami kapitana i wykrzykami majtków.

Cazità znikła była, wsunęła się do namiotu kobiet tureckich i bawila się temi spowitemi w białe obslony mumiami, usiłując z nstich zakwefionych do być jakie słówko. Znudzone Turezynki, równie eiekawe a radc jój, uśmiechały się, przypatrując dziecku, które brały za jakąś alme. Dwaj Turcy z za dymn fajek poglądali kn namiotowi, z pod którego opony maleńkie nóżki Cazity w pantofelkach żółtych migwały się dziwną pokusą. Obaj cmokali ustami i głowami kiwali kn sobie znacząco. Z namiotu szalone śmiechy słyhać tylko było.

W téj chwili z pod pokładu, od wschodków wiodących do izby kapitana, ukazała się niespokojna głowa kobiety, która w innym rodzaju, ale nie mniej-sze mogła uczynić wrażenie nad pierwsze zjawisko.

Głowa ta, której oczy zdawały się czegoś szukać po pokładzie, należała widocznie do podżylój niewiasty, która może niegdyś była piękną, ale teraz stała się po prostu okropną.

Podobnych spotyka się wiele i w Wenecyi, i po całych Włoszech, gdzie kobieta dojrzewa prędko, starszeje wcześniej i brzydnie niesłychanie. Zdaje się, że za karę może, te, które słyneły niegdyś z piękności, stają się potem najpoezwarniejszemi.

Ciotka Cazity, jakkolwiek blisko spokrewniona z tą znakomitą pięknością, nie a nie do niej nie była podobna. Na szerokich ramionach i karku grnbym, pofaldowaną okrytym skórą, osadzone było to obli-

rze olbrzymich rozmiarów, kolorytu niepewnego, ciemnego, a rysów do zbytku wyrazistych.

Czarne niegdyś, kręcze włosy pani Anunziaty, których część niekła, a reszta wysiwiała, ułożone były dość niedbale, niepokryte niczem, ledwie z tyłu szpilką spięte. Wichrzyły się one w nieładzie wcale niemalowniczym. Duży nos, usta grube, cała dolna część twarzy porosła jak u dwudziestoletniego młodzieńca puchem czy mehami, okryta skórą zmarszczoną i dziwacznie pokrajaną, składały fizyognomicznie wybitną, niemiłą, chociaż wyraz jej dobrocią i łagodnością uderzał, tém dziwaczniejszą im mniej spostrzegana na takim obliczu.

W Wenecyi i Tryeście, gdzie pani Anunziata miała krewnych, utrzymywało się dotąd podanie o wielkiej i wspaniałej jej piękności; ale historie opowiadane o tém, sięgały już lat dwudziestu kilku. Ślady tych wdzięków pozostały chyba w oczach czarnych, wspaniale oprawnych, ale których wyraz bardzo przygasł. W téj chwili właśnie, oczy te niespokojnie biegały, szukając czegoś czy kogoś. Naostatek usta zniecierpliwione poruszyły się i tubalny głos odezwał:

— Cazità! Cazità! Cazità!

Za każdym powtórzeniem rósł on, potężniał i stawał się niecierpliwym.

Z pod opon namiotu jak ptaszę furkające z gniazda, wyleciało dziewczę, śmiejąc się przeskoczyło gruby zwój lin okretowych, i zatrzymało się dopiero na brzeżku nad samą głową signory Anunziaty, którą zjawieniem się swém widocznie rozpromieniło.

— Patrzę na pokład, po kątach, wszędzie — po skrzynkach, po dziurach... a nie mogę tego trzpiota znaleźć! zawołała ciotka, grożąc palcem po nosie.

E! ty balamencie jakiś niegodziwy, aż mi się serce ze strachu ścisnęło... nie wiedziałam gdzie cię szukać.

— Ależ ciotko Anunziato, śmiejąc się odparło dziewczę: jeszcze w Tryeście, gdyś wpadła do ogrodu signory Maryi, mogliście się trwożyć o mnie; ale tu... cóż mi się tu stać może na tym ciasnym statku, gdzie oko ojca czuwa nademną?

— Co ci się stać może! powtórzyła Anunziata; albo ja wiem, czego ja się boję? dosyć, że byłaś mi z oczu znikła, lękałam się o ciebie, nawet tu... nawet tu. Ot tak!

Rozczuliła się stara i uczuła potrzebę otrzeć rozczulenie fartuchem.

— Patrzaj-no, dodała zwracając rozmowę: już dobrze z południa, możeby się co zjeść dało... he? powietrze morskie zaostreza apetyt. Zapytaj-no ojca: i on może także nie od tego?

— E! e! mnie się wcale jeść nie chce, szepnęło dziewczę, i chcąc być bliżej ucha ciotki, przypadło na pokładzie, a nachyliwszy się nad starą, mówić poczęło:

— Ciotko Anunziato, czyście wy kiedy widzieli Polaka?

— Polaka? nie; zdaje mi się, że nigdy, odpowiedziała ciotka. Był jeden w Wenecyi niedawno, mówił, że bardzo bogaty, co zamiast pieniędzy wozil z sobą cegły złote, ale mi go nie pokazali...*)

— Otoż ja wam innego pokażę, szczebiotała Ca-zità. Jest tu jeden, i taki piękny, ciotko Anunziato, że się na niego nie mogę napatrzeć.

*) Książę Radziwiłł.

Ciotka z oburzenia nad tym bezwstydem aż splnęła, uderzając dziewczę po ręku.

— Wstydź-bo się ty jakaś... Już ty mi szukać będziesz oczyma i wybierać pięknych mężczyzn! patrzajcie-no ją! dam ja ci: ho! ho!

— Ciotko Anunziato — śmiejąc się wcale nicustraszona groźbami temi, mówiła Cazità — ciotko Anunziato, otwórz dobrze oczy... patrz, tam, za mną, na pokładzie w lewo... dalej, dalej, stoi mężczyzna w czapce z piórkiem. Powiedźże mi, jak kochasz Madonnę, czy nie piękny?

Ciotka przechyliła się nieco, podniosła się nawet o jeden wschód wyżej, grube swe ręce wsparła na pokładzie, przymrużyła powieki, dojrzała nareszcie czaple pióro, i aż westchnęła biedna.

— Przystojna bestya.. ale to pewnie heretyk, dodała chcąc Cazità odstręczyć. Ci obcy ludzie, zwłaszcza od północy, w piątek mięso jedzą, i do Matki Bożkiej nigdy się nie modlą.

— Ale ten to co innego, ciotko Anunziato, podchwyciła Cazità: to jest Polak i Weneccyanin razem, jego przodkowie wyszli od nas... tak, tak, sam mi o tém mówił najpiękniejszą włoszczyzną w świecie.

Ciotka aż ręce załamala.

— Patrzcie ją! niegodna, bezwstydna... toś już z nim gadala!

— Ciotko, śmiała się Cazità,—chodziłam z ojcem... ojciec był przy rozmowie...

— Stary dudek... szeptała ciotka; ale dziewczę nie zdawało się słuchać, i dodało szybko:

— Wypytywałam ojca o Polaków; są oni dobrzy katolicy jak my, nawet mówił mi ojciec, że u nich Królową całego kraju jest Matka Boża.

Anunziata pokiwała głową niedowierzająco.

— Może to i być zresztą, rzekła — wiesz przecie, że Signoria i lud, Chrystusa Pana dawno ogłosili królem Florenceyi... ale nie wiem czy oni są katolicy!!

— O! niezawodnie! niezawodnie, śpiesznie dorzuciło dziewczę. Ale jakże się on wam wydaje? powiedzcie?

— At, niczego! niczego sobie, kiwając głową rzekła Anunziata — ale widziało się piękniejszych; nieboszczyk dōża swojego czasu, kiedy go obnosili koło Prokuratoryi po placu Św. Marka... o, to żebyś była widziała jak wyglądał! No, a tak potēm zestarzał... ot, jak ja! Westchnęła Anunziata.—Cota piękność w czlowieku znaczy! nie warta cekina... dziś jest, jutro po niej ani śladu...

— Słuchaj, ciotko Anunziato, poczęła szezebiotać mała, zarzucając jēj ręce na ramiona:— piękność coś znaczy, mówi... Pan Bóg ją dał niedarmo... z rąk bożych wychodzimy wszyscy pięknymi... a świat nas męczy, męczy, aż się oczy wypłaczą i usta wykrzywią...

— Zkąd ty to bierzesz co mówisz? odparła ciotka. Czemu mnie to do głowy nie przyjdzie? Utrapię dziecko, mōzg tak sobie temi myślami wysusza. Oto chodź, nie patrz, nie myśl... a dam ci ryby, bulki, sera... zjesz, i będzie ci z tēm zdrowiěj!

Miała posłuchać Cazitā rozkazu, gdy ciotka zawołała podnosząc głowę:

— Kapitanie Zeno!

Kapitan wydawał rozkazy, ale odwrócił głowę do dobrze znanego mu głosu.

— Cóż tam każe signora Anunziata ?

— Każe, każe iść jeść, głód na morzu niedobry, a i wina szklanka ci nie zawadzi...

— A cóż ci podróżni jeść będą ? zapytała Cazità.

— Muszą tam mieć z sobą coś w sakwach, a co nam do tego ? żywo odparła ciotka, — przecież nie goździli się o jedzenie. Jeśli im głód dogryzie, niech poproszą i zapłacą... To są ludzie, których pieniądze już przeznaczone na to, aby się rozsypały po drodze; lepij, żebyśmy my je wzięli, niż kto inny. *Ecco*.

— A ja wiem, szepnęła cicho, ale żywo Cazità: że ojciec mi pozwoli zanieść polsko-weneckiemu szlachcicowi *fiascone* wina, a choćby sera i chleba...

— Nie pozwolę, nie, rzekł śmiejąc się kapitan; ale sam mu je zaniosę.

— A czemuż nie ja ? spytała córka.

— Dla tego, dziecko ty moje, zawołał Zeno — że z serem mógłby i ciębie zjeść.

Rozśmieli się, ale wtém Cazità bardzo zręcznie wyminawszy ciotkę, wśliznęła się na wschodki, spadła po nich jak kot w głąb statku, i w chwilę potem wydrapała się nazad po cichu z flaszką opłataną, serem i chlebem. Jednym susem stanęła przed Konradem, skłoniła mu się, uśmiechnęła, wskazała na ojca, tłómacząc pochodzenie darn... i zarumieniona, słowa nie rzekłszy, uciekla; wpadła nazad na wschodki, znikła... Kapitan Zeno uśmiechał się, ciotka gderała.

Tymczasem na pokładzie, ta postawiona fiasza, ten chleb i ser, niewykwindny dziecięcego serca podarek, pozostał przed Konradem, który go tknąć nie śmiał, tak był niezmiernie wzruszony dowodem współczucia i dobrego serca dziewczęcia. Lica mu gorzały, serce biło: przecież nie spotkało to nikogo innego,

tylko jego... jego jednego,—za tém... szły złotem tkane ludzkie marzenia. Cazītà była tak cudnie piękna, on tak młody!

Węgrzynek patrzył na to zdziwiony, ale trochę i dumny, że się na jego panu poznać umiano.

— Słuchaj-no chłopeze, rzekł do niego Konrad: rozwiąż-no mi ty zaraz ten sepecik, co jest w miechu skórzanym, a żywo...

Chłopak ukląkł i zabierał się do roboty, nie wiedząc o co chodziło, ale domyślając się, że pan po polsku miał zawdzięczyć ową flaszę wina i chleba kawałek.

Tak było w istocie. Panu Konradowi przyszło na pamięć, że na wyjeźdném poczeiwu Pukało, który niczego nie zaniedbał coby w podróży przydać się mogło (czytając różne opisy wędrówek dla informacji—jak powiadał), wynalazł tam, że wszędzie małemi datkami wiele zrobić było można. Za pozwoleniem więc pryncypała nakupił różnych *ad hoc* fraszek, to jest *ad captandum benevolentiam* wschodnich narodów służyć mogących, między innemi dosyć wyrobów bursztynowych. Te bursztyny przypomniał sobie pan Konrad. Nie chciał on zbyt kosztownym darem obrazić kapitana i jego córki, a chciał polskiemi sercem poczeiwem, czémś im przecię odwdziaczyć. Na wierzchu w sepeciku leżał właśnie piękny różaniec bursztynowy z Męką Pańską zgrabnie wyrobioną. Zdalo się Konradowi, że go przeznaczenie jakieś umyślnie położyło na okn, i dobył różańca, ściskając w dłoni, czekając tylko pory dogodnej, aby z niego ofiarę zrobić ślicznemu dziewczęciu.

Do Wenecyi daleko było jeszcze, wiatr ku wieczorowi zwolniał, statek posuwał się leniwo, miał

więc pan Konrad dosyć czasu, a gdyby nawet zawstydzona Cazità pokazać się nie chciała, postanowił go dla niej oddać ojcu. Tak, ze spokojniejszym już sumieniem wziął się do wina, chleba i sera.

Węgrzynek byłby się chętnie o swoją też część tej biesiady upomniął, bo go dosyć wewnątrz zwijało, ale Konrad postanowił nie zostawić ani prószynki, i z oczu mu było widać, że gotów był bić się o nie, gdyby mu je kto chciał odebrać.

Węgrzynek więc dobył swojego chleba kupionego w Tryeście, i pożywał go, odświeżając prozaiczną cebulą, która mu dość smakowała. Wzdychał jednak po ojczystej słonince przypiekaną, kto wie czy i nie po gorącej misie krupniku — ale te były daleko.

Nieszczęściem nawet cudowny widok zachodzącego słońca, które coraz jaskrawiej złościło fale i malowało niebo najczystszyimi farbami swojej palety, nie nasycił chłopaka, który mu się przypatrywać nie umiał.

Wieczór na Adryatyku był istotnie czarowny, niebo w świątecznych swych szatach, morze w atlasach drogiemi kamieniami sadzonych, powietrze przepojone wonią orzeźwiającą. Niekiedy wiatr od lądu przynosił jakby sny czeremch rozkwitłych i bzów rozpachniałych. Statek się ślizgał, niezbyt daleko trzymając się od brzegów; urozyste na nim panowało milczenie. Turycy odprawiali swe modlitwy; wielu zmęczonych podróżnych odpoczywało na pakach; kapitan patrzył opodal w stronę Wenecyi, ojczystego swojego miasta, które kochał bardzo, którego był zawsze wiernym dzieckiem, do którego tęsknił w podróży i pilno mu je ujrzeć było. Przy najpomyślniejszym jednak wietrze dopiero nazajutrz o dniu białym mieli ujrzeć z morza dobywające się campanille i płowe wybrzeże Lido,

na którym wśród ogródka i winnicy stał dom stary kapitana Zenona.

Cazità połajana przez Anunziatę usiadła w kątku, zasłoniła oczy paluszkami, i udając smutek wielki, śmiała się szczerze... jak dziecko.

Pocziwa ciotka ze swą rozczochraną głową stała nad nią wzięwszy się w boki, i dopelniała sumiennie, gderząc, obowiązków opiekunki.

— Madona del Salute! Madona delle Grazie! Otoż jak to dziś ta młodzież jest płocha! wołała. Tak! tak! to ci się niczém zdaje, nieznajomemu, obcemu człowiekowi okazać niby zimną grzeczność tylko. Tak! tak! nie w tém nie widzisz drożnego? prawda! Cazità! Cazità! Ależ to tak a nie inaczej gubią się wszystkie dziewczęta. Jedno spojrzenie, jeden uśmiech jeden, a szatan potrafi z tego korzystać. Zawiązał pętelkę i pociągnie cię nią do piekła! Tak! tak! *signorina mio*, tak! nie się to zdaje, mała rzecz na pozór, ale wielka być ona może w nieobrachowanych następstwach. Czytałaś historję pięknej Maryi Cervi, którą przedają na Riva dei Schiavoni: cóż ją zgubiło nieszczęśliwą? upuszczona rękawiczka. Dyabeł tę rękawiczkę pochwycił. Możesz być pewna, iż on na duszę twą nie czatuje w postaci tego pięknego młodzieńca, który, przyznając, że jest wcale przystojny. Przypomina mi nawet nieco mojego pocziwego Apostoła, choć o wiele ma mniej wdzięku, i dużo od niego niższy wzrostem. No! widzisz, przyznając, że piękny, bo uważam, że ruszasz ramionami — cóż z tego? Dyabeł się przebiera za anioła, gdy chce duszę ludzką na zagubę wyprowadzić.

Cazità nie mogąc już wytrzymać dłużej, parsknęła śmiechem. Ciotka rzuciła się prawie rozniewana;

mówię „prawie,” gdyż tusza i dobre serce nigdy się jęj bardzo gniewać nie dopuszczały.

— Tak to wy wszystkie młode dziewczęta, starszych słuchacie... jedném uchem wleci, a drugiem wyleci.

Cazita rzuciła się jęj na szyję.

— Droga moja, nie bój że się o mnie! zawołała. Szatan do mnie nie przystąpi... noszę krzyżyk na piersiach, pacierz mówię regularnie co rano, żegnam się przy obudzeniu zaraz...

— Wszystko to bardzo dobrze — odpowiedziała nieco uściskiem udobruchana ciotka, całując ją w czoło, — ale szatan mądrzejszy od ciebie.

— Ale Pan Bóg, ciociu, mocniejszy od szatana.

— Tak! ty masz zawsze na wszystko gotową odpowiedź! odparła ciotka.

Na tém skończyła się rozmowa. Dzieweczce się już bardzo na pokład iść chciało; zaczęła się skarżyć na duszność i gorąco. Ciotka groziła na nosie, ale pieszczoszcze oprzeć się było trudno, a gdy zażądała czego, straszliwie była uparta.

Po malutku Cazita przysunęła się ku wschodkom, skrycie wzięła za poręcz, cicho wstąpiła na próg ich, i skromnie, niby tylko dla odetchnięcia świeższem powietrzem, poczęła posuwać się ku górze.

Ciotka dobrze już wiedziała, na czém się to skończy; ale nie miała serca się sprzeciwiać. Udawiała, że nie uważa.

Gdy pan Konrad z utęsknieniem poglądał w stronę, od której mógł się spodziewać ukazania się dziewczeczki, główka jęj wychyliła się, pokazała, rozśmiała i znikła. I znowu wypłynęła ostrożnie raz, drugi, a z kobiecą przewrotnością zwróciła się ku oj-

cu, jakby ją tylko ku niemu tak ciągnęła tęsknica. Ojciec się jej też uśmiechał, tak dawno nie widział dziecka, a tak mu ono było drogie! I skinął. Na dole krzyknęła ciotka Anunziata; ale już było za późno, ptaszyna jednym skokiem na pokład furknęła.

Chciał zaraz korzystać z tego Konrad, ale bał się onieśmielić ją zbyt dużym pośpiechem, zaczekał. Dopiero gdy ojciec z córką gwarząc rozchodzili się po pokładzie, z wolna z ukłonem przystąpił do kapitana i jego córki, i powoli odezwał się klaniając:

— Signor capitano! śliczna córka wasza biednego wędrowca z dalekich stron gościnnie przyjęła na pokładzie statku; ma więc i on prawo prosić, aby tę bardzo ubogą pamiątkę przyjęła od niego.

To mówiąc, rozwinał śliczny złocisty różaniec z bursztynów wielkich jak laskowe orzechy, i oddał go zarumienionej Cazicie, która z obawą, radością i niepokojem jakimś na skinienie ojca go przyjęła.

Kapitan rękę Polakowi ścisnął.

— Dziękuję wam za szczodrość waszą, rzekł; lękam się tylko, by datek nie był za wspaniały.

— Proszę sobie nie wyobrażać, aby w naszym kraju rzeczy te kosztowne były, odparł Konrad; wstyd mi małej jego wartości... Ale to owoce naszej ziemi, morze go u nas wyrzuca, jak wiecie, i morze go robi w swém łonie ze skamieniałej drzew żywicy.

Cazita przypatrywała się uśmiechając różańcowi, i bawiła się nim... Niezmiernie jej było pilno pochwalić się przed ciotką; ale nim uciekła, odezwała się wlepiając oczy w Konrada:

— Bądźcie pewni, że póki życia, tej pamiątki z waszego morza, waszej ziemi i waszej dobroci ni-

komu nie oddam, nigdy nie rzucę. Za was na nim modlić się będę.

Tych słów kilka wymówiła okrywając się całą rumieńcem szkarlatnym, uśmiechnęła się, spojrzała raz jeszcze, i po wschodkach jak nragan spadła do izdebki, wysoko nad głową niosąc zdobycz swoją, którą podrzuciła i igrała po dziecinnemu.

Ciotka, która drzemala na poduszkach, zerwała się przestraszona.

— Co się stało? zawołała.

— Patrz! patrz! co to mi za tę *fiarono* wina ofiarował piękny ów polski młodzieniec! co za cudny sznur bursztynów! jaki śliczny krzyżyk przy nim!!

Annuziata, która już była poczęła podziwiać bursztyny, zobaczywszy krzyżyk, puściła je z rąk i siadła widocznie zachmurzona.

— Cóż to! czy się wam nie podobało?

— Te dzieci to nie nie wiedzą — zawołała Annuziata. Powiadam ci, to jest zły dar! zły dar!

— Jak to? cóż w tém może być złego? przerwała Cazità smutnie prawie. Ofiarował mi go przy ojcu, ojciec przyjąć dozwolił, wszelkie formalności zachowane... cóż złego?

— Czyż nie wiesz — dodała ciotka — że rzeczy świętych kawaler kobiecie dawać nie powinien, bo one są złą przepowiednią!

— Złą przepowiednią!... błędniejac powtórzyło dziewczę. Ani ja, ani on o tém nie wiedział pewnie.

I stanęła zamyślona.

— E! ciotko Annuziato, rzekła po chwili: żli to ludzie wymyślili te niedorzeczności; czyż może być co złego w tém co święte i pobożne? Jużcie szatan nie

mógł zamknąć się w bursztynie, tak jak w nim czasem komary i muchy bywają zalane...

Ciotka potrzęsnęła głową.

— Kto tam zbada biedną ludzką głowę, dla czego jedno złe oznacza, a drugie dobre wróży? czemu pogodny zachód dla żeglarza czasem burzę zwiastuje, a chmurny ranek dzień pogodny?

— Otoż ja się swojego różańca nie boję! zawołała Cazità,—i całując krzyżyk szepnęła: Odtąd na innym się modlić nie będę...

I zarzuciwszy go sobie na szyję, dobyła zwierzciadła.

— Jest mi z nim bardzo ładnie! rzekła — patrz Anunziato!

— A w czymże tobie nie pięknie, póki masz te lata!! mówiła stara. Skomponuj eo takiego, aby mnie w tém było pięknie, to dopiero sztuki dokażesz...

Cazità parsknęła śmiechem... i na tém się skończyło.

Szybko po zachodzie słońca, noc zaczęła zapadać ciemna, gwiazdzista, a coraz chłodniejsza... Zwinięto trochę żagli, podwojono ostrożności, odsunął się statek nieco od brzegów, zapalono w izdebce lampę przed Madonną, niektórzy z podróżnych powoli zaczęli się zabierać do snu.

Cazità rzuciła się na swe poduszki, wieczorną zmianę stroju poczynając od włosów i klejnotów, któremi była obwieszona.

Powoli, pokład dosyć ożywiony we dnie, stawał się coraz cichszym; snuli się po nim tylko majtkowie, przechadzał kapitan doglądając, czuwał sternik u rudda, reszta nie lubując się w pięknej nocy, którą księż-

żyć miał za chwilę rozjaśnić i uczynić przezroczyso-
srebrną, kładła się spać, gdzie kto stał. Turcy na
swych skórzanych poduszkach i kilimkach już drze-
mali; inni też podobniejsi byli pozawijani w płaszcze
do martwego pakunku, niżeli do żywych ludzi. Żegluga
tak się zdawała bezpieczną, noc tak się zwiasto-
wała pogodną, kapitan tak dobrze znał te wybrzeża,
które dziecięciem na łódce, szamocząc się się z bał-
wanami, opływał!...

Długo Konrad marzył, oparty plecami o swoje tłomoki, Bóg wie już tylko o czém.... o morzu zieloném, o dziewczęciu białém, o Ziemi Świętej, o podróży długiej, o domu porzuconym, o kraju smutnym, o szczęściu niedostępném, aż mu się oczy powoli zmrużać już chciały. Kolo niego węgrzynek w burkę uwity przewracał się też z boku na bok, stękał, i nie mógł przybrać się do snu, choć zwykle micwał sen łatwy i do zbytku się w nim nawet lubował.

Już było dobrze w noc, a Konrad znowu rozbudzony przyglądał się wschodowi księżyca, który z oparów morskich wstał czerwony, jakby z łaźni wychodził—gdy nagle węgrzynek się pochwycił z posłania, otrząsnął, przeżegnał i coś mrużyć począł.

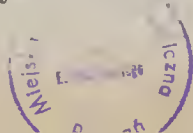
— Cóż ci to? czyś niezdrow? spytał pan.

— Jnście zdrow, proszę panicza, rzekł chłopak, ale co zasnąć, to ani weź.

— Przecież cię gdyby w kolebce kołyszą.

— I jać to sobie mówić, ale nie... ino oczy przy-
mrużę, to mi się dwie twarze poczynają przekomarać: Jedna ta jójmość siwowłosa, dużo brzydsza od Murzynowskiej, a drugie to pöldyablę weneckie ze swoją ślicznością—i człek zasnąć nie może.

— Któż? co? spytał Konrad.



— A te dwie co wylażą z dziury, dodał Maciek. Te dwie... człek jeszcze w życiu nie podobnego nie widział.

Paniezowi nie było lepić, więc się rozśmiał.

— Ta druga, co to ja ją z pozwoleniem pańskim, pół-dyabłkiem nazywam—mówił węgrzynek—piękna jak sto dyabłów, ale i straszna!

— Czémże straszna?

— Albo ja ta wiem! odrzekł Maciek. Jakże to wytłómaczyć, czemu ocet w gębie kwaśno smakuje? Tak i to. Straszna ta i straszna, że strach... Człekby się na nią patrzył a patrzył; oczu oderwać nie sposób... a po duszy ciarki chodzą... Proszę panieza, u nas kobieta choćby najpiękniejsza, to będzie jakoś inna, będzie zawsze z przeproszeniem trusiątko, bojaźliwa, oczka spuszczają... zdaje się drży, kni się, stracha, i człowiekowi z nią raźniej, — a ta!! oho!... Proszę tylko panieza, jak ona się patrzy, to człowiek czuje, że go do szpiku przenika; a gdyby tak pod tym wzrokiem pottrzymała dłużej, to dalipan zdechłby.

— Otoż się rozgadał! rzekł Konrad, uśmiechając się. Praw, co ci na myśl przyjdzie; weselęj mi, gdy tak gwarzysz. Cóż dalej mój Maćku?

— A dalej, proszę łaski panieza, odparł Maciek zmieszany,—dalej to już ja nie wiem. Tylko mi jęj strach.. Myślę sobie, żeby szatan chciał człowieka spokusić na złe, to jużby chyba inaczej się nie sprezentował.

Paniez rozśmiał się i westchnął: chłopak słowy in-nemi, wyrazistszemi malował wiernie te wrażenia, jakich na sobie Konrad doznawał. I on był bezsensny, wzruszony, a myślał bez nstanku o tych oczkach czarnych, i słyszał śmieszek jęj srebrny, i kręciła nun-

się po pokładzie cała błyszcząca, iskrząca, jak kiedy ją widział we dnie.

— Maćku mój, odczwał się Konrad wreszcie: przeżegnaj się, to cię mary odleca, a śpij dobrze, bo jutro już dopłyniemy do miasta, z którego dalej przyjdzie żeglować do Ziemi Świętej... A będzie przy wyborze siła roboty i na wodzie niestatecznej kłopotu niemało; bo nie każdy dzień i nie każda noc tak spokojne i pogodne wypadną jak dzisiejsze.

Maciek posłuchał, przeżegnał się i legł, ale panicz nie zasnął. Próżno się przewracał z boku na bok, dobierał miejsca na kobiercu, — oczy się już kleić nie chciały. Trzymała je też otwartemi i ciekawość; pierwszy raz był na morzu, a ta noc powitania trafiła mu się zachwycająca.

Cicho podniósł się księżyc coraz stygnąc i jakby bledniejąc, bo z drugiej strony za łańcuchem gór w prawo, już się powoli pierwsze brzaski dnia wiosennego marzyły, i widniało coraz, i morze dalekie, z razu zamglone rozjaśniało się, a po nim jak stado labędzi niezliczone łodzie rybackie ze swemi żaglami białemi, szaremi, w pasy czerwone, sunły się jak wpół uśpione. Statek je wymijał co chwila, ludzie się pozdrawiali lekkim okrzykiem tylko, i płynęli dalej.

Dzień coraz już szybciej nadchodził, szerzej roztaczały się odbłaski jeszcze niewidomego słońca, aż z łóża purpur i złota w jednej chwili wystrzelił brzeżek tarczy, rósł, a po falach przebiegło jakby drżenie, jakby mnzyka promieni grająca świetnemi dla oka jakby barwami, hymn blasków dziennych. Na horyzoncie księżyc zawstydzony, jak biała został plamka, ale wszystek świat za to zajaśniał, rozwidniał; góry poczęły się rysować ostrzej, wody zieleń wyglądały,

piana była srebrzysta, po szafirze niebios migąło, zwijając się, białe ptaństwo morskie... I łodzie, których przody zdobiły wizerunki świętych, przestały widma udawać, przyznały się do drewnianych osmolonych boków, konopnych sznurów i wilgotnych sieci, któremi były poobwieszane.

Wszyscy jeszcze spali twardym snem poranku. Konrad zachwycony modlił się w duszy; błogo mu było... on jeden schwytał oczyma tę tajemniczą chwilę uroczystą stworzenia, mówiącą wyraźnie o Bogu do serca człowieczego; zdawało mu się, że podслуchał szept ziemi, korząc się i modląc się przed tronem Ojca...

Kapitan nawet, obrócony ku sterowi swojego statku, drzemał, ale niebezpieczeństwa nie było, płynęli drogą znaną, wiaterek coraz raźniej popędzał, okręt zdawał się czuć i wiedzieć dokąd płynąć, ciągnęło go ku domowi, ku Wenecyi.

Ledwo ukazało się słońce, wilgotna noc chłodna pierzchnęła gdzieś nagle ze swemi mroki i powietrzem zimnem; ciepło poczęło rozechodzić się coraz szybciej, tak, że w godzinę zrobiło się gorąco. Śpiący rozbudzili się, poczuwszy, że ich inna atmosfera otacza. Turcy obmywszy się, już modlili się; dalej Żydzi rozpoczynali także głosić chwałę bożą; ostatni chrześcijanie przeciągnawszy się, żegnali się i mruczelili krótkie modlitewki ziewając.

Od wschodków ujrzał Konrad nagle rozkwitłą, rozespaną, różową twarzyczkę Cazyty.

Nie spodziewała się może, by ją kto tak nieprzystrojoną zobaczył; ale śpioszek ze zwiniętymi włosy, które się porozplątywały i spadały w nieładzie na ramiona, jak sploty rośliny spływające z wazonu,

śpioszek był inaczéj, a zawsze cudnie piękny, piękniejszy jeszcze może, niż gdy się przystroił. Na twarzy rumieniec snu wykwitał, oczy mniej były rozhułkane niż we dnie, usta jeszcze ziewały, trochę białych, perlowych pokazując ząbków...

Wyjrzała bojaźliwie, ale zdumiona, gdy spostrzegła utkwiony w sobie wzrok Polaka, zawstydzila się bardzo, rączką machinalnie poprawiła włosy i schowała się. Jednak nie całkiem chciała nie być widzianą, a patrzeć, jedno oko tylko na pół nad deski pokładu się wysliznęło.

— Czyżby nie spał? myślała; czy się tak rano przebudził? czegoś się zadumał, a patrzy, o! ku mnie, ciekawy! Dam mu *buon giorno!* E! nikt nie patrzy, ciotka śpi jeszcze, ojciec drzemie obrócony plecami, o Turków nie dbam, co mi tam obcy!

I wysunęła główkę, śmiało uśmiechnięta i cicho, aby nikogo nie budzić, posłała mu *buon giorno signore!* które on więcej odgadł niż posłyszał. Zdjął kółpaczek, skłonił głowę, a obejrzawszy się wkoło, od ust posłał jéj pocałunek!...

Sam nie wiedział doprawdy jak się to zuchwaństwo stało, zawstydził się, ona mu pogroziła, ale nie straszno, popatrzała chwilę i znikła.

Oczy Konrada padły przerażone na starego chudego Kapucyna, który na uboczu stał z różańcem w ręku, i pogroził mu palcem, i pokiwał głową.

Konrad zawstydził się mocno.

Dopiero gdy ochlonawszy od tego spojrzenia groźnego, rozmyślać począł nad popełnioną nieprzyzwoitością, Konrad przekonał się, że był bezwstydnym zuchwalcem... Ukłon mógł być dozwolony, naturalnie, ale ten ruch ręki do ust! o! to już było za

wiele! to był prawie kryminal! Kapucyn miał słuszość, gdy groził: to mówiło wyraźnie we wszystkich świata językach: „Pocalowałbym cię, gdybym mógł.“ A jakież miał prawo panicz podróżny do tak ponfalego zbliżenia?...

Było to złe, było szkaradnie, ale pan Konrad tłómacząc się przed sobą, przypisał ten szal wpływowi bezsennéj nocy i południowego klimatu. W kraju nigdyby był tego nie śmiał uczynić; Włochy snadź mają swe prawa...

Zrodziła się też kwestya ważna: czy ona była za to guiewna czy nie? czy widziała potępienie i groźbę chudego Kapucyna? Była obawa zarazem i były znaki niektóre pocieszające, uspakajające... Stało po rozwadze i rachunkn, że musiała być trochę obrażona, ale niezbyt śmiertelnie.

Wypadalo też rozmówić się z Kapucynem, który właśnie rauną kończył modlitwę, i prosić go o rozgrzeszenie. Konrad zbliżył się do niego nieśmiało, i w rękę go pocalował obyczajem naszym; księżyna uśmiechnął się łagodnie.

— Złapaliście mnie, ojcze, na mimowolnie popełnionej nieprzyzwoitości, odczwał się Konrad; alem złej myśli nie miał... Stało się to, sam nie wiem jak...

— Dziecko moje, odparł powoli Kapucyn — dzieje się to tak zawsze mimo wiedzy, kiedy człowiek nie czuwa nad sobą. Zbrodnia niewielka, ale po co ci karcić myśli puste i w nią i w siebie? Obcy jesteście, za godzin kilka rozdzieli was los znown na wieki.

— To prawda, rzekł Konrad; ale nie godziź się Boga chwalić w dziełach Jego?

— Tak! tak! sofistykuj jegomość! Chwalcie Boga inaczej, to będzie bezpieczniej.

I począł się śmiać stary, klepiąc po ramieniu Konrada.

— Jużem w waszmości poznał Polaka, rzekł, — a znałem dużo ziomków waszych i w Rzymie, i w Padwie, i na Szlążku, gdzieś trochę gościł. Wszyscyście poczciwi, ale tacy lekcy... i płomieniści, że żal bierze patrząc na was... jak upolować łatwo tę biedną zwierzynę... Ej! ej! — dodał wzdychając — ino się też pilnujcie, gdzie oczu czarnych dużo, a nie wszystkie tak niewinnie patrzą, jak córka naszego kapitana, która jest dzieckiem jeszcze...

— Nie bójcie się, ojcze, rzekł Konrad: choć Wenecya jest mi na pół ojczyzną, bo z włoskiej rodziny pochodzę, nie myślę tu bawić długo, tyle tylko, by się u grobu Sw. Marka pomodlić i okręt dobrać, co by mnie zawiózł do Ziemi Świętej, do grobu Zbawiciela.

Kapucyn popatrzał, śmiejąc się i potrząsając głową.

— Ty, moje dziecko, do Ziemi Świętej? a cóż to? ślub?

— Nie, pobożność i ciekawość razem.

— E! e! dodał stary: wątpię ja, żebyście tam dojechali; uwiecznicie w Wenecyi, zrazicie się trudnościami i niebezpieczeństwami... ot! może i jakie oczy czarne nie puszczą.

Konrad się uśmiechał, ale te przepowiednie trochę go dotknęły.

— Czyżby ta podróż tak w istocie miała być ciężka? zapytał.

— Jam ją odbywał dwa razy w życiu, cicho odparł Kapucyn: raz świeckim jeszcze pokutnikiem, drugi już w sukni zakonnej... Ale wierzaj mi: dodał,

pomódl się tutaj, a nie zapędzaj się zbyt daleko, jeśliś ślubu nie uczynił... mało kto cały powraca!

Konrad się zadumał, staruszek znowu poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się i rzekł:

— Dłużej o tém rozpowiedzieć mogę; przyjdźcie do mnie do *Frari*, i spytajcie u forty o starego *padre Serafino*.

To mówiąc, dobył różańca, i na nowo chodząc po pokładzie, zaczął szeptać ranne modlitwy. Konrad stał w miejscu zamyślony.

W tych dumaniach tak się zatopił, iż nie postrzegł, jak słońce dopominało się o zrzućcie opończy. Węgrzynek też już na pół upierzony, oczy przecierał i pacierz odmawiał, ziewając. Wszystko na nowo żyć i ruszać się poczynąło na pokładzie: Turcy pili kawę, którą im zgotował Murzyn, i palili tytuń; inni przekąsowali i popijali co kto miał.

Konrad także zajrzał do swój flaszki, i napiwszy się z niej, postrzegł jasno jak na dłoni, że *Cazità* bardzo się gniewać nie mogła, że się może nawet nie gniewała wcale, tylko dla przyzwoitości wypadało jej okazać pewne niezadowolenie.

Pod pokładem budziła się i ciotka *Anunziata*, a *Cazità* zastała zadumaną głęboko, już czuwającą, ale jeszcze niebiorącą się do stroju. *Cazità* myślała także, co miało znaczyć to pocałowanie wysłane przez powietrze — czy się niém obrazić wypadało, czy uważać je za oznakę niewinnej więczej niż chwilowego uwielbienia...

— Nie mógł przecie mieć złej myśli młodzieniec, który mi wczoraj tak ładny różaniec darował?... to widoczne... gniewać się nie ma o co; ale trzeba też trochę być zimnicjszą, bo to jakiś gorączka, choć

z chłodnego kraju pochodzi! O! tak! muszę być bardzo ostrożną i baczną, chociaż zrażać go znowu nie ma potrzeby, nie! Takby mi było przykro, gdybym go zraziła! Ale ja to potrafię.

Po główce jej krzyżowały się myśli różne, tak poplątane potem, tak dziwne, że ich już zwinąć w pasmo jedno nie umiała.

Ciotka żegnała się i modliła, poziewała, zaczynała gderać powoli. Cazità czesała długie włosy i wybierała nowe sukienki.

Cała ich paczka leżała przed nią.

Na pokładzie, począwszy od kapitana, wszyscy twarzami obrócenii ku przodowi okrętu stali, sięgając w dal oczyma. Z kilku ust po cichu zerwało się: *Ecco!*

Daleko, daleko, widać było piaszczystą ławę... to Lido, a nad nią, jak wysokie pnie drzew wyrastające proste, smukłe campanille. Kapitan rozczytywał już nawet San Giorgio, dzwonnice Św. Marka i ledwie dla drugich widoczny biały wierzchołek kopuły *La Salute*. Ale co chwila rozjaśniał się ten obraz, rosły dzwonnice, po nad ławą piasku poczęły wystawać mury.

— *Venezia! ecco Venezia la bella!* zawołał głośno kapitan, i odkrywszy głowę, witał ją ze łzą w oku; drudzy witali uśmiechami.

Statek wszystkie rozpuścił żagle, śpieszył zdyszany, pilno było i majtkom, i sternikowi, i podróżnym.

Nigdy powolniej nie dościgamy celu, niż gdyśmy go już najbliżej. Naówczas zdaje się, że on ucieka, szydząc z niecierpliwości naszej, przed nami. Na ostatek i Cazità wybiegła na pokład z powitaniem „dzień dobry“ dla ojca, choć już nie pierwszemu na ustach. Tego dnia zapragnęła być zupełnie inną niż wczoraj —

dla czego? to tajemnica kobiety. Ubrała się całkiem czarno, nie włożyła klejnotów, nie powieszała łańcuszków, tylko bursztynowy jeden złocił się na sukni różaniec. I włosy zwinęła prościej, a była w istocie tym strojem do niepoznania zmieniona i znown dziwnie piękna a znown całkiem inna — czarownica!

Wczorajszy trzpiotek nabral powagi i spokoju, choć z po za ułożonych poważnie ustek, młodość zaczajona nśmicechała się figlarnie. — Przytuliła się do ojca.

Widać już było Lido. Kapitan z dala rozeznawał swój dom stary, murowaną kamieniczkę u brzegu morza, oplecioną winną lateroślą.

Żałował, że wprost przybić tam nie mógł; trzeba było opłynąć w okolo, i stanąć naprzeciw nienbłaganćj Dogany.

Na statku, jak zwykle przed wysiądzeniem, rneh się zwiększył, pakowali się wszyscy: Turcy swoje towary, żony, kilimki i poduszki, kupcy ormiańscy i greecy tlomoki, Żydzi węzelki, majtkowie porozrzućcane rzeczy. Węgrzynek i pan Konrad stali i patrzali jedni nie nie robiąc; nietyle im było śpieszno co innym, a daleko dziwniej. Chłopak już był téj, którą nazywał półdyablęcim weneckim, zapomnial, bo miasto owo wyrastające wprost z morza, zdające się pływać po nim, cale go pochwycilo. Kiwał głową, załamywał ręce, ruszał rannionami i co chwila się żegnał.

— A! Święty Antoni! wołał: to już chyba dyahel bndował nie lndzie. Jakże my tu żyć będzienmy mogli, kiedy ja pływać nie umiem?

Konradowi gdy statek stanął, gdy już na ląd się potrzeba było wybierać, zrobilo się dziwnie smutno, i pomyślał sobie:

— Już więcéj może téj cudnéj nie zobaczę towarzyszki... a póki życia jéj nie zapomnę! Otoż to los człowieka: mignie mu słonko i zachodzi chmura, i znowu ciemno a ciemno na wieki.

Ani się domyślał, że Cazità szeptała ojcę na ucho, aby koniecznie podróżnego Polaka na rybę do siebie zaprosił. Nigdzie tak ryb nie przyrządzano morskich jak u ciotki Anunziaty, a potrzeba się było pochwalić przedziwnym ich smakiem przed tym wędrowcem z daleka. To było koniecznością, obowiązkiem, a za różaniec wypłatą długu.

Ojciec był trochę zazdrosny, trochę się lękał; ale trafiła na dobry humor. Powracał do kraju z korzystną i szczęśliwą podróżą; jakże było pieszczonemu odmówić dziecięciu?

— Co on tam sobie o nas pomyśli? rzekł do córki; gotów posadzić, że my go łapać chcemy, żeś ty płocha zalotnica, a ja podstępny awanturnik.

— A! ojczu! ojczu! jemu widać z oczu, że podejrzliwym nie jest.

— A ty czytasz w oczach jego?

— Jak w otwartej drukowanej księdze. Napisano w nich, że jest poczciwy, a poczciwi o niepoczciwość drugich nie posądzają.

— *E vero!* rzekł z uniesieniem Zeno, całując ją w głowę; zostaw to mnie.

— Bo ja go zobaczyć muszę! dodała stanowczo choć zarumieniona dziewczyna; pokażę mu moje piękne Conchille, a jeśli ma matkę lub siostrę, dam mu z naszego morza różaniec dla siostry lub matki.

— Albo dla żony! dodał śmiejąc się kapitan Zeno.

Dziewczę stanęło jak rażone tym domysłem; ale pocałunek posłany z rana wnet rozproszył podejrze-

nia. Była pewna, że żonaty nie byłby śmiały jęj posłać tego rannego całusa.

— O! on nie jest żonaty! zawołała śmiejąc się.

— A z kądże ty to wiesz tak pewnie? spytał ojciec.

— No, wiem, odparła śmiało; dosyć, że wiem.

Musiał ojciec spełnić uparte żądanie córki, ale ostrożniejszy od niej, chciał to uczynić niby sam z siebie. Odprawił ją do izdebki, chodził długo, narzeczcie jakby przypomniawszy sobie coś, zbliżył się do Komada i podał mu rękę.

— Otoż i nasza wspólna ojczyzna, rzekł wskazując na miasto, mamy się nią prawo pochwilić: wydarliśmy ją morzu i uczynili panią jego, a podziwem świata. Zabawicie tu pewnie, nie zapomnijcie i o domu kapitana Zenona. Każdy gondoler tę starą kamieniczkę naszą łatwo wam pokaże. Będziemy wam z serca radzi! Ciotka Anunziata obiecuje dla was zgotować rybę taką, jakiej drugi raz w życiu jeść nie będziecie!

Mówił, a Cazità z daleka oczyma mu dała do zrozumienia, że należała do spisku, że wiedziała, o co proszono. Konrad skłonił się, szczęśliwy bardzo, ona go pożegnała uśmiechem i niedostrzeżonem skinieniem głowy... a tuż, tuż, i zamęt wylądowania się poczynił.

— Gondola! signori! gondola! krzyczeli w czerwonych czapkach przypływający przewoźnicy.

Czarne łódki, podobne do jaskólek z lotu i kształtu smukłego, okrążały statek. Zrzucono pakunki, spuszczała się pilniejsi po wschodkach i linach. Przed podróżnymi roztaczała się w całej swój wspaniałości słońcem ozłocona Wenecya, naówczas jeszcze pani Adryatyku, choć już podupadająca, pałac Dożów, Salute, Kanał Wielki, pałace, wieżycy, kopuły, koś-

cioty... I krzyki ludu dochodziły od Riva dei Schiavoni aż tutaj. Roilo się przy Piazzcie.

Nasi podróżni z podziwu nad tym cudem prawie o sobie zapomnieli; węgrzynek odmawiał: *Pod Twoją obronę*, gdyż zdało mu się, że pierwszej nocy, pierwszej burzy, całe miasto morskie wody pochłonać muszą.

— Co dziw, to dziw! — szemrał w duchu, — ale wolałbym ta siedzieć doma... nie najadłbym się tyle strachu! Ano pełnusiensko ludzi, ta i co robić... może się to zbędziemy strachem, ale doma było siła bezpieczniej...

Pan Konrad miał sobie wskazaną *antica locanda* na wybrzeżu; zwała się ona *Croce di Malta*, ale nie ta była co dzisiaj.

Gospody też ówczesne w ogóle do teraźniejszych nie były podobne; sztuka przyjmowania i odzierania podróżnych empirycznie, instynktowo się wykonywała, i nie miała jeszcze tych form pewnych, systematycznych, jakie przybrała dzisiaj. Dawne *locandy* i *osterie* były to jeszcze niby domy gościnne, a nie najemnicze zajazdy. To też zaledwie się nastęrczył podróżny, gospodarz zaraz starał się go poznać, ocenić, wymiarkować, i wchodził z nim w poufale stosunek, a był zwykle pokorny, zapobiegliwy, przyjacielski, serdeczny i nieczmiernie usłużny. Słyszeli oberżyści z bystrości umysłu niepospolitęj, zwłaszcza w sposobach korzystania rozlicznego ze swych gości. Przymiotu tego nie stracili i dzisiaj, różnica jest w tém tylko, że dawniej odzierali kłaniając się, a dziś drą i łają. Postęp widoczny.

Locanda *Croce di Malta*, acz dosyć nawiedzana, nie była bardzo wspaniała, ale ówczesny jej właś-

ciciel signor Beppo Zanaro, słynał z tego, że umiał każdemu dogodzić, każdego poznać, przypochlebić mu się i w potrzebie wmówić, że było w *Croce di Malta* lepiej niż w raju.

Beppo Zanaro, którego gondolierowie zwali poufale *il gran ladrone*, był mężczyzną olbrzymiego wzrostu, tuszy odpowiedniej, czerwony, błyszczący, wesołej twarzy i wyparzonej gęby. Dawniej znakomity kucharz, dziś ograniczał się zwierzchnim tylko nad kuchnią nadzorem, mając wiele ważniejszych spraw na głowie. Dobry humor i uśmiech na ustach, jak klucze u pasa, należał do atrybucyj jego stanu.

Zaledwie gondola przybiła do brzegu, a z niej ukazał się kolpaczek z czaplém piórem, Zanaro, który czatował we drzwiach gospody na podróżnych, nadbiegł aż do wschodków z czapką swą ponsową w rękę. Jednym rzutem oka poznał w przybywającym znakomitego, a zatém i majątnego cudzoziemca, był więc szczęśliwszy, weselszy, grzeczniejszy niż kiedykolwiek.

Podał rękę wysiadającemu.

— Eccellenza! zawołał z zapalem, mam się za szczęśliwego, iż tak znakomitego patrycyusza pierwszy w Wenecyi powitać mogę... Dom mój, osoba, wszystko jest na wasze usługi... Nie chwale się — dodał trzepiąc bez ustanku, — nie ujmuję drugim ich zalet, ale niech powie Wenecya cała, niech poświadczy Rzeczpospolita, niech sława mojego domu głośnie po świecie, dowiedzie waszój ekscellencyi, iż lepiej trafić nie mogliście. Przyjmujemy samych tylko najdosłojniejszych gości, i to nie w widokach podłego zysku, ale dla honoru zbliżenia się do ich osób, dla przyjemności służenia im... Witam was,

witam, i proszę! proszę za mną! najlepsze pokoje! najwykwintniejsza gondola... najtroskliwsza usługa...

Konrad milczał, uśmiechając się; węgrzynek po-
giądał z ukosa na tego wyginającego się w łamanych
ukłonach olbrzyma, czerwoną jego szlafmycę i błysz-
czące oblicze.

Na skinienie oberżysty, niesiono już rzeczy do
Croce di Malta, a ile paczek, tyle obdartusów się
znalazło do posługi: szereg był wielki, od wschodów
do drzwi ciągnął się nieprzerwany, każdy coś pochwyci-
ł i niósł, aby mieć udział w zarobku... Ostatni dźwi-
gał w tryumfie kawał podartój rogoży...

— Bądźcie spokojni, mówił gospodarz poprzedza-
jąc gościa z odkrytą głową: nie tu nie zginie, ja rę-
czę... Jak się stanąć podoba w. ekscellencyi? w sali
i oddzielnym appartamencie, czy w kilku pokojach we-
solych, lepiej jego incognito zachować mogących?

— Jak najskromniej, rzekł wreszcie Konrad, któ-
rego włoszczyzna zdziwiła Zanara.

— Wszystko na rozkazy! pojmuję miłość ciszy,
spokoju i zacisznego kąta!! w. ekscellencya masz
gust, którym i ja się szczycę! Ale pozwolicie spytać,
z jak dalekich krajów szczęśliwie wiatry tu tak do-
stojnego daly nam gościa!

— Jadę z Polski! rzekł Konrad.

— Z Polski! w dłonie klaskając zawołał Zanaro,
udając zachwycenie. O! jakżem szczęśliwy! z obli-
cza to waszego odgadywałem, na tém czole maluje
się szlachetność waszego narodu, który ja kocham i
wielbię! Pozwólcie, abym kraj szaty waszej ucałował.
Eccellenza...

— Ale choć Polak, dodał z uśmiechem Konrad — jestem zarazem Włochem i Wenecyaninem; familia moja pochodzi...

— O Boże wielki! oburącz uciskając piersi, krzyknął Zanaro: a to cud! a to szczęście niewysłowione! Pozwólcie, bym wam się przypatrzył, bym się nasycił wami, bym niegodnemi usty imię wasze wygłosił.

— Lippi de Buccelis, rzekł Konrad.

Gospodarz łzę otarł wzruszony, już mu tego brakło.

— A! rzekł ciszej — tylko patron mój, oblubieniec Maryi, mógł mi tak wielkie i rzadkie dać szczęście... Widzicie nieznacie, jakiego doznaję... Rodzinę Lippich, główny ród Buccelich znam, znam z dawna, wiem ich zasługi i dzieje, nowym się one blaskiem na ziemi polskiej okryły.

Skłonił się.

— Dość, rzekł: nie chcę was utrudzać wyrazem nieznę moich; cieszę się, że tak dostojna osoba trafiła pod dach nieczciwego człowieka... Oddadzą mi też sprawiedliwość w Wenecyi, że tu pośród tysiąca szalbierzy i oszustów sam jeden czysty jak szkło naszój fabryki w Muranic... Spocznięcie cecellenza! dodał, wprowadzając go do pokojów pierwszego piętra dosyć wspaniałych, choć nieco obrukanych. Dom cały, ja, rodzina moja... na usługi wasze... sam zajmę się installacją.

Węgrzynek stał ogłupiały, pewien będąc, że trafili szczęśliwie albo na krewnego, lub na starego przyjaciela domu. Konrad był zmieszany... Gospodarz już czuł się panem, ale chciał okazać się łaskawym, i po chwili usnął się nieco, przyrzekając tylko obiad godny samego Doży.

Jakoż w godzinie obiadowej nadszedł sam zapraszając eccellenzę, i dając do wyboru albo samotny posiłek w pokoju lub honorowe miejsce u swój *tavola rotenda*.

— Eccellenza może być przekonany, dodał: że nie śmiałybym wzywać go do naszego stołu, gdybym nie był pewien, że towarzystwo, jakie się zbierze, powinno mu być miłym... Mam tylko znakomitego lekarza niemieckiego powracającego z Padwy, który zapragnął *miracitalia* grodu naszego oglądać, i signorę Boccatorę, sławną śpiewaczkę, jadącą na dwór cesarski, dokąd została wezwana, razem z kawalerem Gerardim, który jej w drodze towarzyszy... Będę też miał przyjemność przedstawić excellencyi waszej żonę moją i córkę Magdalенę...

Spodziewając się, że wyjść będzie musiał, pan Konrad był już przybrany jak należało, miał na sobie żupanik wiśniowy atłasowy i kontusik czarny aksamitny, pas siatkowy złoty i bogatą karabelę na rapiach jedwabnych karmazynowo ze złotem przerabianych. Do tego czapczkę karmazynową z piórkiem, w której mu było bardzo do twarzy...

Trzeba przyznać, że i malowniczo i pańsko się prezentował Lippi, tak, że we własnej ojczyźnie trudnoby go kto był poznał za Włocha; krew polska i życie nasze już go na innego przerobiły człowieka. Na płótnach Weronezyusza tylko coś podobnego do niego z twarzy w dawniejszych czasach znaleźć było można. Wenecya ówczesna znacznie już podupadła, a upadek każdego narodu nawet z fizyognomii jego wyczytać się daje.

W salce na dole zgromadzeni już byli goście signora Zanara, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zaj-

mowała niesłychanie strojna panna Zenobia Bocceator-ta, Włoszka, rodem z Medyolanu, brunetka słuszną, wspaniałej postawy, dumnego wejrzenia, pogardliwej minki, ale w istocie zachwycającej piękności. Był to raczej piękny posąg niż kobieta, w którejby się na pierwszy rzut oka rozkochać można, lecz niepodobna było nie dziwić się jej olśniewającemu blaskowi. Włoszka wiedziała snadź o tem dobrze i pyszniła się sobą... Po za nią stał towarzysz i stróż tego skarbu wiecznego na dwór cesarski, cavaliere Gerardi, dobrze dobrany, aby zazdrości ani podejrzenia nie wzbu-dził, mały, garbaty, z twarzą od ospy oszpeconą, wy-razu zimnego i złośliwego.

Daléj trochę doktor Niemiec, człowiek młody, przy-stojny, ożywionej twarzy, uśmiechał się grzecznic do signory Zanaro, gospodyni domu, osoby już niepierwszój młodości, z pięknymi czarnemi wąsikami, podwój-nym podbródkiem i tuszą wspaniałą, po za której rob-ronem kryło się pisklą domu, córka jedynaczka Mag-dalena, biała, rumiana, ni ładna, ni brzydka, ale we-solój twarzyeczki i filuternych nad wiek oczu.

Wszystkich wejrzenia zwróciły się na wchodzącego Polaka, nawet signora Zenobia obdarzyła go dosyć łagodném skinieniem główki, a Magdunia nie spuściła go z oka tak się jej — strój (jak mówiła) po-dobał.

Zasiędli do stołu, na pierwszém miejscu śpiewaczka, kawaler Gerardi, nasz Polak, daléj reszta towarzy-stwa. Gospodarz acz miał krzesło, nie siedział, aby czuwać nad kuchnią i podawaniem potraw... Nie-wiele też mógł jeść, bo mu się gęba od gadania nie zamykała. Miał mówić o czém, o Weneeyi, o Polsec, o perze, o dostojnych przybyszach, o historyi grodu

i historyi domu. Konrad mało się odzywał, był milczący. Niemiec, który doskonale się był w Padwie wyuczył po włosku, Zanaro i gadatliwa Magdalenka śmiali się i zabawiali wszystkich w czasie biesiady, która wcale zła nie była, ale dla cudzoziemca dziwna trochę.

Każdy mniej więcej tłómaczyć się musiał, zrzęcznie wyciągnięty na słowo, z powodów przybycia do Wenecyi; czynili wszyscy mniej więcej szczerze wyznania, których snadź signor Zanaro na coś potrzebował. Gdy kolój przyszła na Polaka, opowiadał otwarcie o pochodzeniu rodziny, o tęsknocie, która go z kraju wygnana, i o zamiarze udania się do Ziemi Świętej.

Usłyszawszy to gospodarz, począł bardzo głową kiwać i ramionami ruszać.

— Niech mnie Bóg uchwowa, abym ja, człek pobożny, katolickich rodziców dziecię— rzekł powoli— miał waszą eccelenzę odwodzić od tak pobożnej myśli; nam sobie wszakże za obowiązek oświadczyć wam, że podróż ta ani jest łatwa, ani konieczna dziś, gdy tych samych odpustów dostąpić można zwiedzając inne kościoły.

— Ale cóż może zastąpić widzenie Palestyny? rzekł Konrad — poznanie ludzi i krajów nowych?

— Zapewne, odparł gospodarz: młodość ma takie pragnienia; lecz ja com się napatrzył już w życiu dużo na odjeżdżających z promieniejącymi twarzami, a wracających żółtych i tęsknych podróżnych, nikogo sumiennie na niebezpieczną tę wędrówkę namawiać nie mogę... Nie liczę tych, których pożegnałem u brzegu a *rivera*, a których chyba na innym świecie zobaczę.

To mówiąc, westchnął z miną bolesną, i znać było, że nadzieja wypróżnienia podróżnego mieszkaka polskiego uśmiechała mu się, a boleśnie dla niego było dać go na łup niewiernym.

— Nikt z was o podróży do Jeruzalem — rzekł Zanaro — lepić objasnić nie potrafi nademnie, com już se-ciny wyprawiał; tedyć z Europy ciągną niemal wszyscy, z wyjątkiem Francuzów, co się z Marsylii wyprawują. Pora właśnie po temu — mówił dalej, — wiosną zwykle pielgrzymki się przedsiębiorą, a na Boże Ciało przybywają do nas mnodzy pątnicy z całego świata. Jest też o tym czasie naw dosyć do wybora, które ztąd płyną do Cypru, Aleksandryi w Egipcie, Aleksandryi Syryjskiej czyli Aleksandretty, lub do Trypolisu... A choćby kto tu i okręt, i kapitana sobie wybrał, w czémby ja mu mógł być pomocą, któż zareczy, że w Aleksandryi, Cyprze, Aleksandrecie, gdzie się drugi Zanaro nie znajdzie, równie trafi szczęśliwie?

— Dość powiedzieć, dodał gospodarz cicho: iż kółkolwiek się w tę drogę wybiera — bez testamentu nie jedzie. Z Turkami i Maurami nie ma żartów, a choroby i wypadki po ludziach chodzą nie po kamieniach... Żegna się ze światem, kto na okręt siada... spowiedzią i wiatykiem opatruje.

— O! rzekł Niemiec doktor, uśmiechając się niedowierzająco, przecież tylu przynajmniej powraca ilu ginie, signor Zanaro?

— A może więć ginie niż wraca! odparł znacząco *il gran ladrone*. Ale ponieważ zacząłem już o tém, spodziewam się, że mi dokończyć dacie, jeśli signorinę — grzecznie zwracając się do Zenobii dodał — nie nudzi ten przedmiot.

— Owszem, i ja jestem ciekawa, odpowiedziała Boecatorta; mówcie.

— Najprzód tedy podróżny musi się zdać o pozwolenie wyruszenia w pielgrzymkę starać u legata Stolicy Apostolskiej; jest bowiem anathema rzucone na tego, kto by wyjechał nie dopełniwszy tej formalności.

— A toż z jakiego powodu? zapytał Niemiec.

— Powód bardzo ważny, rzekł Zanaro: bo legat najprzód potrzebuje, aby mu okazał podróżny najmniej sto czerwonych złotych. Trafiło się bowiem, że się zapędził ubogi, za którego łks. Franciszkanie musieli potem w Jerozolimie i Ramie opłacać haracz należny... a są to księża z jałmużn żyjący i wielkim to dla nich bywało ciężarem.

— A! zawołał Niemiec.

— Dalej następuje—mówił Zanaro—ważna, nader ważna sprawa, w której bez gospodarza ruszyć się nie można: wynajęcie statku do Cypru, lub Aleksandretty. Nie obmawiam nikogo — szeptał zniżając głos, —ale kapitanowie trafiali się i tacy, co nabrawszy dobry ładunek ludzi, potem go niewiernym sprzedawali, będąc z nimi w zмовie i jakby przez korsarzy napadnięci wśród morza...

— O! przerwał cavaliere Gerardi — toby było ohydne.

— To w istocie okropne, szkaradne, niegodne imienia chrześcijańskiego! dodał Zanaro; ale tyle poczwara chodzi i pływa po świecie!... Jeśli się tej tragedji uniknie — mówił dalej wzdychając, — pocznie się tedy zdzierstwo w Jaffie, dla różnej starszyzny tureckiej, dla Mucharów, i w Ramie, w Je-

rozolimie, poczną przyzepki, zasadzki, niebezpieczeństwo morn, klótni, napadn... a za nicze leczycie długą nawigacyę i życie nędzne na statku?... O tém przy stole zanilezę, dokończył Zanaro. Nie chciałbym też, by dostojny mój gość szeszere interesowanie się jego losem, i poszanowanie, jakie za pierwszém wejrzaniem obudził we mnie, fałszywie mógł sobie — ucho-
waj Boże — tłómaczyć.

Konrad skłonił głowę; uśniecewały mu się w tej chwili młodzieńca Magdusia figlarnemi oczkami dosyć zepsanego dziecica, i misterniej a ostrożniej, ale niemniej wyraziście, majestatyczna signora Zenobia...

Ale te dwie napaści kobiece na jego serce, ten tylko sprawiły skutek, że mu przypomniały prześliczną ową towarzyszkę podróży Cezile Zeno, córkę kapitana.

— Nie lękałbym się wcale tej podróży, — odrzekł pod wrażeniem wspomnienia, — bośmy w ojezyźnie naszej przywykli niczego się nie obawiać; a niebezpieczeństwa pociągają nas więcej, niż odstręczają — gdyby mi się też trafił tak pocziwy i dobry kapitan statku jak ten, który mnie tu przywiózł z Tryestu...

Zanaro podniósł głowę zaciekawiony.

— Eccelenza pozwoli spytać o jego imię? — rzekł żywo.

— Był to wracający ze Stambułu właściciel *Padre Antonio*, kapitan Zeno.

— Zeno! Zeno! powrócił więc! zawolali razem gospodarz, żona i córka. Kochany, zacny, nieoszaczowany Zeno... Szezyeć się jego przyjaźnią, gorąco rzekł Zanaro. Znam go jak brata, kocham jak rodzonego. Ma dom na Lido, stary dom, stary, ale krzepki statek, starą siostrę Anunziatę, i śliczny kwiatusek, córkę.

Tu Zanaro pięć złożonych palców ręki do ust przyłożył, i pocałował je, emokeząc.

— Cudnej piękności Cazitę...

Mimowolnie Konrad się zarumieniał, czuł, że mu twarz jakby ukropem zapłynęła; obawiał się nie bez przyczyny, aby tój wywieszonój chorągwi obłożonego serca nie postrzeżono. Zanaro przełotnie spojrział nań i filut domyślił się wnet wszystkiego, ale udał, że nie wie.

— Czyście czasem nie jechali razem z ciotką Annunziatą i piękną Cazitą? rzekł niewinnie: bo, jeśli się nie mylę, miały na niego czekać w Tryeście.

Konrad kraśniał jak dojrzewająca wiśnia; zmieształ się.

— Tak, rzekł w końcu odważnie: plynęliśmy razem.

— Więc się już nie dziwuję, że w. ekseellencyi tak miłym wydał się kapitan Zeno, tak dogodnym jego statek, i tak krótką zapewne podróż na nim. Ha! ha!

Magdalena i signora Zenobia spojrzwały trochę z ukosa na Polaka, który oczy spuszczał jak winowajca na uczynku schwycony.

— Zaprawdę, nie ustając paplać, mówił Zanaro: Wenecya ma krocie piękności i nigdy w nie ubogą nie była; ale Cazitą...

— Cóż to znowu? przerwała urażona pani Zanaro: co to pleciecie? Cazitą jest ładna ruda myszka, a kto ma szczęście przy swym stole przyjmować taką piękność, jak signora Zenobia, której równiej nawet na obrazie nie znaleźć... no, i komu Bóg dał tak nieszpętną córkę jak wasza, ten...

Zanaro uderzył się szybko z jedną i drugiej strony po twarzy i wypoliczkował, uznając swój występki.

— Winienem, rzekł; ale nie zaprzeczycie, że Ca-zità... śliczna. Cóż wy mówicie eccellenza? waszego jestem zdania ciekaw nadewszystko?

Konrad, któremu tak wprost strzelono w piersi tém zapytaniem, znowu się zaplonił i zmieszał.

— Są—rzekł powoli, wykręcając się—różne piękności niewieście, których jedną miarą mierzyć się nie godzi; oblicza obudzająco uwielbienie (sklonił głowę przed signorą Zenobią, która mu się tak wdzięcznie uśmiechnęła, że cavaliere Gerardi, aż usta zakąsił)... są twarze budzące braterskie uczucia... (spojrzał trochę ku Magdusi, która skrzywiła usta)... są wreszeie i niezbyt pięknych może rysów, a straszliwie niepokojące człowieka i niezapomniane dla niego twarze...

Spuścił oczy na talerz, kobiety spoehmurniały, gospodarz chrząknął, nastąpiło głucho milezenie.

— Mam cię kawalerze, powiedział sobie w duchu Zanaro: już mi się nie wykreisz... a że do Jerozolimy nie pojedziesz, za to ręczę.

Czas tedy było wstawać od stołu, i ruszyli się wszyscy. Signora Zenobia głośno mówiła, że będzie w teatrze, prawie zapraszając do swój łoży Konrada. Magdusia bąknęła, że pojedzie na Lido.

Lido to, kilkakrotnie powtórzyła znacząco.

— Jeśli pojedziesz na Lido, dodał gospodarz, toć nie wytrzymacie, abyście nie odwiedziły ciotki Anunziaty i Cazyty. Klaniajcie się im odenmie.

Konrad odehodził powoli.

— A od was? spytała figlarnie Magdusia Zanaro: a od was eccellenza?

— Nie śmiałem was o to prosić, signorino, rzekł Lippi; ale jeśli łaska, proszę pokłonić się wszystkim odemnie także.

— Wszystkim? cicho spytało dziewczę. Jam myślała, że tylko tej wieczny niepokój budzącej twarzyćce?

Konrad nie miał odwagi płać się więcej; uśmiechnął się, nisko uklonił i poszedł z gospodarzem, który go nie odstępował. Dopytywał, czy nie potrzebuje gondoli, czy nie zechce oglądać miasta, czy nie weźmie przewodnika na plac Św. Marka i piazzę; a w istocie do dna badał i usiłował poznać gościa. Nie przyszło mu trudno prostodusznego usidlić człowieka...

Następne dni przeszły szybko na oglądaniu miasta, które dożywało razem z Rzeczpospolitą dni swoich i świetności stariej... Dla endzoiemców z daleka, z tej jeszcze ziemi, na której sztuka nigdy z nieustannie wzbierającego pączka nie miała czasu zakwitnąć — wszystko tu było dziwem i cudem... wszystko nauką nowego jakiegoś i niezrozumiałego życia. Konrad wprawdzie przygotowany był czytaniem i myślami do pojęcia swęj drngiej ojezyny; fizyognomia jęj nie była mu obcą; ale między opisem a rzeczywistością tyle się wciska niepochwycenych rysów...

Gość był z węgrzynkiem, który, jakkolwiek gra tu rolę podrzędną, jakkolwiek prosty Maciek, nie może nas nie obelodzić. Węgrzynek bez języka, bez przewodnika i tłómacza, choć go Konrad wszędzie z sobą woził, aby się chłopczyko nie nudziło, był jak na niemieckim kazaniu ciągle. Trudno mu było przy każdym objaśnieniu całą teoryę niepojętych dla

niego zjawisk wykladać. Maciek z otwartemi usty patrzył, podziwiał, ale nie rozumiał ani krzty.

— Już to ja, proszę jegomości, mówił drugiego dnia wieczorem — to tak jestem ciągle bezsensu, że mi się czasem zdaje, że to wszystko, na co człowiek patrzy, mara jakaś... Ale co osobliwości, to osobliwości, proszę jegomości; co rarytne, to rarytne... Aż strach aby tego morze nie pochłonęło której noey; bo nie wiem, czy pan zważał, ale dalipan, tu żadne domowstwo i żadna wieża prosto nie stoi... gdyby pijane to na tę stronę, to na tamą niby się wala... no ale z dopustu bożego do czasu to stoi... A i — z pozwoleniem pana — kobiety, niech je wszysey dyabli wezmą! — młode, by anioły piękne, a stare brzydsze od dyablów.... Czy to może być, żeby z takich pięknych panien wyrastały tak srogo szkaradne baby! Chyba ztąd kobiety młode gdzie wywożą, a stare...

Nie dokończył machnąwszy ręką, i widząc, że pan się śmieje, sam też śmiać się począł.

Wezwał pan Zanaro wedle zwyczaju *eccellenzę* do stołu, a węgrynek, który już był się posilił i dobrze wina napil, sam pozostał.

Było mu zalecono pilno, ażeby stancyi strzegł, i z domu się sam, dla nieumiejętności języka, nie oddalał. Ale węgrynkowi robiło się nudno, a rneh na *Riva* wyzywał go i nęcił. Przed oknami kuglarz właśnie hecę z malpą wyprawiał, i olbrzymia kobieta giała na bębnie. Jak tu było wytrzymać?

— A co mi się ma stać jak wyjdę? rzekł do siebie; jużcić bez rozpytania nazad do gospody potrafię, bo i wiem, że się Malta zowie! A tuć nic nie ukrad-

na, bo trzosa gdzieś na przechowanie oddane, a drzwi się dobrze zamykają... Pan nie zaraz powróci...

Jak rzekł, tak uczynił; ale się węgrynek nie rozrachował dobrze z następstwami wycieczki. Nim zszedł z piętra po ciebu, kuglarz i olbrzymka znikli, lud się rozszedł, na placu nie było już co robić i na co się wyszczerzyć. Węgrynkowi świerzbiały pięty strasznie.

— A no, pójdę przed kościół Ś. Marka, rzekł sobie: to się podziwię tym złocistym obrazom, bo takich jak żyw nie widział.

Drogę znalazł trochę, i przez plac pociągnął bardzo przyzwocie na sam plac, przeżegnał się przed kościołem, zdjął czapkę, Zdrowaśkę odmówił, a począł się przyglądać, a przyglądając się i dumal.

— Po co to oni cztery konie na kościele postawili? Chyba to te, któremi Ś. Marek przyjechał przez morze,—odpowiedział sam sobie i westchnął.

Tłumaczenie własne uspokoiło go co do koni. Wpałszy w jeden z mozaikowych obrazów, mocno się zgorszył i znowu okrutnie zadumał. Spostrzegł na nim doskonale wyobrazonego świeżo zabitego wieprza *). Tyle razy po Bożem Narodzeniu i przed Wielką Nocą oglądał podobne na solwarku, myśląc o przyszłych kielbasach, że nie mógł się omylić. Nie znając legendy, nie rozumiejąc co tam wieprzowina robiła na kościele, Maciek posmutniał...

Odszedł zgorszony od kościoła, a tu go zegar ze swemi sztukami bijący właśnie zatrzymał. Tuż przez bramę widać było ciasne uliczki na *Merceryach*. Gdy

*) Weneccyanie wykradając ciało św. Marka, okryli je wieprzowiną, aby odstręczyć od ścisłego przegłądania urzędników granicznych. Jeden z obrazów na kościele to przedstawia.

zegar przestał bić i sztuki wyprawiać, Maćkowi się okrutnie zacheiało wejrzeć tam w głąb tych ciasnych szyj, obstawionych sklepikami.

— Kiegożbym licha nazad nie miał trafić! rzekł wdychu,—a no pójdę, zajrzę.

A miał na sobie jak przystało odzież nowinsienka z węgierska, z cienkiego sukna całe ładną, i pasik kowany, i czapeczkę, magierkę piękną, i wyglądał bardzo przystojnie; ludzie się też na niezwykle strój poczęli trochę gapić. Szczególniej jeden jakiś wielki drab, ponurój twarzy, krok w krok za nim ciągnął, a z oka go nie spuszczał.

Ale Maćkowi nie było to w głowie, i nie spojrzał nań nawet. Zaraz za bramą, która od Prokuratoryi prowadzi w ciasne nliczki Merceryi, węgrynkowi wpadły w oko sklepiki jeden dziwniejszy nad drugi... Rupiecie tam były wszelakie, których on użytku zrozumieć nie mógł. Gdy się tu zagapiwszy stoi, ów drab pechnął go mocno. Maćkowi krew buebnęła do głowy, bo był gorączka, więc też pięścią oddał. Drab zaraz przystanął, a tuż i do noża. Maciek odstąpił niceo zuchwało, choć do boju, ale bezorężny, ino wkoło patrzy, coby pochwycić, aby garść nie była próżna.

Ale Włoszyszko zmiarkowawszy, że chłopaka nie zje w kaszy, zamiast się do niego porwać, jął okrutnie hałasować i krzyczeć. „*Ladroni... canagli...*“ i gorsze jeszcze wyrazy posypały się grudem. Maciek też usta otworzył, i w długu nie cheąc zostać, nuż go po polsku bezeześcić. Na ten wrzask, tłum ze wszystkich sklepików jął się zbierać, gromadzić, oblegać, tak, że ciasne owo przejście całe się wnet ludźmi zatkało.

Im głośniej wrzeszczał drab wywijając nożem, tém

Maciek też serdeczniej mu dopiekał. Obaj się nie rozumieli, ale doskonale domyślali się, że to nie musiał być błogosławieństwa.

Już się na to zbierało bardzo, że zbiry obu ich do więzienia pochwycić mieli, gdy w pośrodek pomiędzy zwaśnionych weisnęła się osobliwsza figura.

Był to mały, blady garbusek, z głową ogromną, a łysą jak kolano i błyszczącą, przyodziany dziwacznie, bo w koszuli tylko, spodniakach letnich, z bosemi nogami w pantoflach, i w skórzanym od pracy świecącym a założonym fartuchu... Na nosie miał ogromne okulary mosiężne, a że te widzieć tylko do roboty mu służyły, patrząc na świat spuszczał głowę, aby wyżej nich nagiemi oczyma mu się przyglądać, więc też i głowę osobliwszym sposobem wykręcał. Z za fartucha wyglądało mu godło rzemiosła jego, kopyto drewniane, a w rękę (ręce miał żylaste i olbrzymie mimo niewielkiego wzrostu) trzymał szydło i dratwę.

Garbus zerkając z za okularów na obie strony, wciąż jedno ucho ku Maćkowi nastawiał, a co go doleciało przekleństwo, to się nśmiechnął; na ostatek jakby znieczepliwiony przypadł do Maćka, porwał go za rękę żylastą dłońią, i pociągnął włokąc za sobą do małego sklepiku, którego drzwi zatrzasnął.

W ulicy wrzawa była ogromna, ale szewe ani słuchał jój, obrócił się do węgrzynka i — Maciek o mało z podziwienienia nie struchlał — po polsku go ofuknął.

— Czegoż to się tak samopas po ulicach włóczyć cie w mieście? he?

Węgrzynek ręce złożył.

— A! Matkoż ty Boża! zkądże wy po polsku umiecie?...

— A tobie co do tego smykn! rzekł szewe. Mów! coś to zrobił? z kąd idziesz? i po coś tu wlażł w to osie gniazdo?

— Mój dobrodziejn, panie szewcze, odparł Maciek: jam se na przechadzkę wyszedł z Maltę... drab mi pierwszy dał racyę, tom-ci mu oddał pięścią, jak się patrzy, a ta bestya zaraz balasn narobila.

— Czyjżeś ty jest? zapytał szewe żywo.

— A pana Lipińskiego z Robnina.

— I jakież was tu licho przygnało.

— No, to-ć do Ziemi Świętęj jedziemy.

— Siedźże trutniu cicho, a czekaj! odparł gospodarz, i otworzył drzwi.

Przed progiem thim jeszcze i ów drab cisnęli się i krzyczeli okrutnie. Szewe na górnym schodku stanawszy poważnie, wyglądał jak na kazalnicy. Skinał ręką. Umilkło wszystko. Odechrząknął...

— Czego chcecie? próżniaki, mazgaje, trutnie, psy Najświętszėj Panny! he? czego? Leonardo, ty będziesz wisiał, ja ci mówię, że wisieć będziesz, jeśli ci pod czerwonym słupem na Piaziecie lba nie utną. Zaczepiłeś niewinnego chłopaka, sługę możnego pana polskiego, który ci tego płazem nie puści... Ja przeciwko tobie sam świadczyć będę... Pierwszy go kuląkiem uderzył... Chciałeś odrzeć, lub klótnię wykupnem skończyć, a ja cię osadzę w więzieniu, ja, ja, jakem Jacopo Nani, he! słyszysz?

Poparł tę mowę, jak przystało obyczajem włoskim, ogromnemi ruchami rąk żyłastych, a w końcu tak się pięścią w piersi grzmotnął, że mu się aż okulary zsuwać poczęły niebezpiecznie zjeżdżając; poprawił je wszakże szybko, i miał tę pociechę, że wysiłek nie

został bez skutków, bo drab mruczając wszyl się w tłum, a ciżba powoli rozplywać się poczęła.

Dopiero Jacopo Nani zwrócił się do węgrzynka z uśmiechem.

— To twoje szczęście chłopcze, rzekł, że się ta awantura stała przed sklepem moim, bobyś z niej calo nie wyszedł, i alboby cię odarto, albo zbito. Gadajże mi teraz, zkąd wy tutaj?

— A! mój dobrodzieju! odparł węgrzynek zmieszany: gęby nie otworzę, dopóki się nie dowiem, jakim sposobem wy po polsku umiecie? toż... to...

Szewc siadł powoli na stolku, ręce opsnął i z za okularów spojrzal na chłopaka z niezuciem; w oczerwienionych powieckach kręciła mu się lza... głos miał też drżący.

— Hej! hej! zawołał—dziwno się wam zdało na szą mowę poslyszć z takiego rozbitego jak ja garnka; ależ i mnie, i mnie, eom jój tyle lat nie slyszal... malo serce nie pękło...

Szewc otarł czoło i oczy..

— Toście wy też z Polski? spytał węgrzynek.

— A juźcie! odpowiedział szewc, — ałem nie od dziś wywędrował, a wypchnęło mnie nieszczęście... Z którychże wy to stron?

— Od Poznania.

— A jam od Krakowa, moje dziecko... od tego starego dziaduszka naszego, nad którym Wawel na straży stoi, kędy mogily Wandy i Krakusa... juźem ja tu lat dwadzieścia na tych Wlochach, i mowem zmienil, i wroslem tu, i nawykłem, a gdy zasnę, to mi się śni Hejnał z maryackiej wieży i śpiewa w duszy... aż płaczę... Oj! nie daj Boże włóczyć się po obcych i cudze kąty wycierać!

Maciek stał i słuchał, i jemu to znowu jakby snem się zdawało... byłby się też zasluchał może nie wiedzieć dopóki, gdyby nie przypomniał, że pan od stołu powrócić może, i jego i klucza nie znaleźć.

Przyznał się tedy zaraz panu Jakóbowi, który z kołka wzięwszy starą wytartą aksamitną, spłowiałą kurtkę, rzekł:

— Choćbyś i trafił do Malty, ja cię na Riwę przeprowadzę, aby znowu nie opadli te zbójce... A pilnuj się mi chłopeze, i sam nie chodź, bo cię tu co złego spotka.

Domawiał tych wyrazów szewc, gdy przez drzwi z głębi wyjrzała kobieca główka. Węgrzynkowi się w oczach zaémilo, taka była piękna. Nie nie widział, jedno parę czarnych źrenic ogromnych, i śmiejące się białemi zębami usta, ale te ząbki go od razu za serce pochwyciły.

Szewc jak tylko spostrzegł ciekawą, tupnął nogą i począł łajać po włosku.

— A nie pójdziesz ty mi precz! szatanie ty jakiś! a czego to tu wyglądasz? a co tu ciekawego? Schowaj ty mi się zaraz, a predko, bo kulakiem napędzę.

Maćkowi serce mdlalo, a wpatrzył się w nią i ona w niego tak, że Jacopo nierychło potrafił przepędzić niebożątka.

— O mój dobrodzieju! krzyknął Maciek, gdy znikła: a cóż to za śliczne dziewczątko! a cóż to za malowana twarz!

Szewc milczał niby głuchy.

Niestety! była to córka jego Marietta, o którą w ciągłym był i tak niepokoju. Przybyło mu kłopotu. Czuł, że to spotkanie bez kozery nie będzie.

— Co ty tam po kątach patrzysz? zawolał; co ci tam po dziewczętach, hę? jeszcześ wása nie dostał; ot zabieraj się ze mną.

— Ale proszę pana majstra, kto to taki? nalegał Maciek.

— Kto? odparł szewc, podnosząc na niego oczy: królewna neapolitańska... a teraz chodź!

I wyciągnął go na ulicę mileżący, a doprowadziwszy do placyku, chciał porzucić.

— Mójże zbawco kochany! wstrzymując go i całując w ramię, rzekł Maciek: ja was nie puszcze, żebyśmy się nie widzieli; to-ć i wam miło być musi swoich zobaczyć?

— Jeszcze my się spotkamy, elmurno odpowiedział szewc; ale ty mi na Mercerye się nie włócz, bo cię dyabli wezmą.

I odszedł. Maciek spuściwszy uszy po cichu, jak zwyty, wrócił do Malty. Szczęściem, że tu nie postrzeżono jego wycieczki, bo Konrad, poszedłszy do stołu, jeszcze był nazad nie wrócił.

A były powody ważne, dla których się tak opóźnił...

Ci sami goście, co dnia pierwszego zebrani byli w pokoju, gdy *gran ladrone* wprowadził eccelenzę, jedna im tylko nowa przybyła postać, nieobojętna zdaje się dla signory Zenobii, chociaż ona go niby nie знаła, a on na nią ani patrzył. Udawanie jednak tak było w obojgu widoczne, że tylko *cavalier* Gerardi mógł się na nióm nie poznać. Przybysz był bardzo pięknym mężczyzną, lat zaledwie trzydziestu, strojnym wytwornie, i jak ze stroju wnosić było można, wielkim panem lub wielkim w odegrywaniu państwa artystą.

Zanaro po cichu szepnął Konradowi, iż dostojny gość jest Principe Alessandro di Ponte-Vecchio, krewny Papieża nieboszczyka, bogaty Rzymianin, jadący z ważną missyą na dwór cesarski, o czém wszakże najgłębsze milczenie zachować wypada.

Principe tym razem podsiadł Polaka i znalazł się po drugiej stronie signory Zenobii, która wciąż od niego głowę odwracając tego dnia, ze szczególną uprzejmością rozmawiała z cavalierem Gerardim. Za to przy Konradzie znalazła się Magdalenka Zanaro ze swym filuternym śmieszkim, którym obdzielała doktora Niemca, Polaka, a rada była obdarzyć i księcia, ale ten patrzył dziwnie jakoś wciąż na sufit, choć sufit nie był złocony i malowany jak w palacu dożów.

Zanaro też tego dnia z osobliwszą pieczołowitością zajmował się cavalierem Gerardim i traktował go eccellenzą za każdą lyżką.

Signora Zanaro miała tego dnia minę poważną ko biety bardzo przyzwoitój, a zmuszonój wiedzieć o intrydze, której jej domyślać się nie wypadało. Mówiła o rzeczach obojętnych, o osychaniu Canal Grande, o Bucentaurze, o blizkiem święcie Bożego Ciała i jego wspaniałościach...

Principe di Ponte-Vecchio był zadumany i obojętny.

— Ledwie skończyli *brodo*, na którego pochwały wysilił się sam gospodarz, bo w istocie on sam tylko mógł je chwalić, Magdalenka pochyliła się ku Konradowi i szepnęła:

— Nie byliście na Lido?

— Ja! dotąd nie...

— Czekają was tam z rybą... zaczęła się śmiać—
ciocia Anunziata...

Konrad się zarumienił.

— Kapitan Zeno! dodało dziewczę.

— Szczerem im obowiązany.

— I nikt więcej! zawołała Magdzia.

— Al rzekł Konrad.

— Tak! tak! ktoś trzeci to się może na was
gniewa.

— Na mnie? spytał Lippi: za co?

— Ja to tam tego nie wiem... szepnęła dziewczyna.

I zamilkli — a po chwili znownu Magdalenia się
ozwała:

— Widziałam śliczny różaniec...

— O! niepiękny, przerwał Konrad pomieszany...

— Jakże wicie, kiedyście wy go widzieć jeszcze
nie mogli? odparła żywo Magdalenka, zaczynając się
śmiać... Mylicie się, mylicie... to różaniec z konch
morskich i koralu przeznaczony dla kogoś; ale nie
wiem dla kogo...

— Filut dziewczyna! pomyślał Konrad.

W tej chwili mimowolnie oczy zwróciwszy do-
strzegł jak signora Zenobia, która bardzo żywą wiod-
ła rozmowę z cavalierem Gerardim, ręką w tył zwró-
coną od księcia di Ponte-Vecchio, patrzącego zaw-
sze na sufit, brała wciśnięty jej nader zręcznie bile-
cik. Przypomniało mu to, że był w kraju intryg
i zdrad niewieścich, i postanowił się mieć na baczno-
ści, ale to nie przeszkadzało nader ostrożnie po po-
łudniu popłynąć na Lido.

Sądził, że tego obowiązku grzeczności względem
kapitana Zenona dopełnić wypadało.

Magdusia, której oko manewr bilecikowy dostrzegło także, poczęła się bardzo śniać, chwyciwszy chusteczkę do ust; ale śniciech złożyła na przypomnienie jakieś niewczesne.

— Spodziewam się, szepnęła sąsiadowi — że pan nie wydasz tajemnicy?

— A wy? odparł Konrad.

— Jaby mi to może zrobiła, gdyby... gdyby mi się to na co przydać mogło, szepnęła po cichu; ale muszę czekać dwa lata. Tak mówi ojciec i matka, mam dopiero czternaście... ale skończonych... więc coż mi to szkodzi!

I puste dziewczę popatrzała na Konrada, kładąc palec na ustach.

Zanaro gadatliwszy był jeszcze niż kiedykolwiek; dziwne wypłatał historye. Nie wiedzieć jak rozmowę wprowadził na kapitana Zenona.

Snadź dla tego, aby uwagę Polaka odwrócić od téj pary, która była na pozór dla siebie obojętna, jak w istocie bliska myślami i sercami. Oczywiście przygotowywało się coś tajemniczego, do czego służyła i serdeczność signory Zenobii dla cavaliera Gerardiego, i gadatliwość gospodarza, i przybrana powaga młodego księcia di Ponte-Vecchio.

Nie wiadomo, jak się to stało, ale ku końcowi obiadu książę w bardzo żywój i serdecznój był rozmowie z cavalierem, posłannikiem cesarskiego dworu. Signora Zenobia z dosyć kwaśną miną patrzyła na to. Komedia odegrywała się z prawdziwie włoskim do intrygi talentem.

Od *tavola rotonda* rozechodząc się goście, rozmaite potworzyli projekta. Cavaliere z księciem pojechali razem gondolą. Signorę Zenobię głowa bolała. Kon-

rad nie mówiąc nic nikomu, nie zaglądając nawet do mieszkanka powierzonego straży Maćka, wysunął się na wybrzeże, skinął na gondoliera, i szepnął mu na ucho:—Lido.

Na Lido bywały zawsze najlepsze kąpiele, gondolier się nie zdziwił, a nikt więcej nie słyszał. Magdusia tylko flintka domyśliła się, i wyszpiegowawszy kierunek, w jakim posunęła się łódka, z okna plasnęła w dłoń. Konrad ani dostrzegł jęj, ani uszu jego nie doszedł śmieszek wpół dziecięcy.

Dzień był wiosenny, prześliczny, ciepły; lekki wiatr marszczył zaledwie wód powierzchnię, błyszczącą od pomarańczowych promieni zachodzącego słońca. Kanaly pełne były czarnych gondoli zwijających się na wszystkie strony; z dala dochodziły nrywane śpiewy młodszych przewoźników, powietrze pełne woni, wesela, świeżości, życia. Oddychając niém, wciągało się ochotę i siłę do życia, spokój i ufność jakąś, rozwianą po nad światem w tej chwili jego wiosennego rozkwitu.

Dziwnie też piękną, uroczą, jasną wydała się Wenecya Konradowi, w którego duszy jakby przypomnienie rodzinne praojcowskie odzywało się; czuł, że to wszystko gdzieś w przedświacie znał, widział i ukochał.

Po krótkiej przejażdżce, gondola przybiła do piaszczystego, pustego prawie wybrzeża na Lido... Wyglądało ono smutniej, dzieściej niż samo miasto; domki były stare, niskie, niepokazne, ludności prawie nie widać, z po za dachów domostw sterczały maszty łodzi drzemiących pod wyspą... Poobalane mury, ogródki, na których zieloność się wila bujną, gdzie niegdzie uczepiona górą winna latorośl przy drzwiach rosnąca,

obrazek Madonny wyglądający nad drzwiami, rozweselały nieco dość opuszczoną ławę piasku i morskich kamyków.

Nietrudno się było dopytać o domek kapitana Zenona, pierwszy przechodzień z wiosłem na ramieniu pokazał go Konradowi... Stał on w prawo nad samym morza brzegiem i snadź nie od dziś rozpoczął życie; kilka pokoleń lepilo tę budowę tém piękną właśnie, że niespodzianie przedstawiała linie, załomy, wyskoki, dające jej niezmiernie malowniczą powierzchowność.—Dokola opasywały ją wschodki, poczepiane słupki, galerye, winne galezie i rozpięta na jednej ze ścian cytryna, której pień stary żenił się z suchą latoroślą winną, i liście się mieszały razem. Z pośrodku gęstej zieleni, do której i bluszcz pasorzyt się przymieszał, tu i owdzie wyglądało okno, wychylały się drzwi ciemne, przez które sięgnąć było można do głębi dziwnie skleconego domowstwa. Gość przychodzący musiał się dobrze namyślać, kędy wnijść do środka, kilkoro bowiem równouprawnionych drzwi z obrazkami Madonn i Świętych zdawały się go wyzywać zarówno, a nie głównych nie oznaczało. Byłby też może Konrad w niepewności pozostał, gdyby go u muru otaczającego ogródek nie spotkała mila niespodzianka... spostrzegł oslonioną kapeluszem słomkowym dobrze sobie znaną z Padre Antonio twarzyczkę Cazity, która mu się uśmiechała wdzięcznie.

— A! przeciężście sobie przypomnieli obietnicę waszą! zawołało dziewczę; ale przychodzicie właśnie, gdy ojca mojego nie ma w domu... Co za szkoda! jak będzie żalował! Szczęściem spodziewamy się go pewnie przed wieczorem, pojechał tylko do Scuola di San-Rocco na radę, doczekacie się go pewnie... Dam

znać cioei Annunziacie! wejdźcie proszę, tam, tam, temi drzwiami, nad któremi jest Św. Franciszek i Antoni, opiekunowie nasi domowi... Ja zaraz przebiegnę po za murem... i wprowadzę was.

Stało się jak rozkazała Cazità, i nim Konrad ze drzwi po wschodkach wszedł do sieni, już ona drugimi wbiegłszy do domu od ogrodu, witała go zarumieniona i wiodła po wschodkach dalej na górę do paradnych pokojów, któremi się jęj pilno było pochwalić. Zwabiona jęj głosem szczebiotliwym eiocia Annunziata, z głową siwą w nieładzie, zjawila się także na przyjęcie gościa, któremu muićj daleko rada była niż siostrzenica.

Pokoiki na górze, które kilka pokoleń marynarzy przystrajalo, wyglądały trochę dziwnie może, ale ładnie. Był tam sprzęt różnych lat, zwierciadelka weneckie, szkła stare z Murana, konchy z różnych wybrzeżów, kilka dawnych obrazów, stolki rzeźbione i szafy dębowe, i wschodnie kobierce niewytworne, przecięć nęcące oczy. Z okien cudny widok na morze, wpośród którego rzędami stały powbijane pale, a na najbliższym z nich rodzaj ołtarzyka drewnianego z Matką Bożką... Na opalowych falach ze zlotemi odbłyśki, snuły się barki rybackie i statki z drzewem, i łódki z warzywem i zielenią. Cazità otworzyła okno, przez które do wnętrza zajrzała ciekawa galąż wiunnej latorośli.

— Patrz pan, rzekła: oto tam ten statek odpoczywający na kotwicy, ze zwiniętymi żaglami, to nasz „Padre Antonio.” Jak tam teraz eicho i spokojniel żywćj duszy na pokładzie, a za dni kilka, najdalej za tygodni parę, ruszy on znouu zabierając nam ojca,

i z ciocią Anunziatą zostaniemy same w tój pustce, na oczekiwaniu i modlitwie.

Ciotka tylko pomrukiwała, widocznie przzerwana siostra popołudniowa jeszcze jój oczy kleiła i nstom odebrała siłę do rozmowy, kiwała głową, tłumiąc ziewanie natrętne. Za to Cazità ożywioną była jak nigdy, a w domu własnym czuła się śmielszą i panią, wiedziała, że na nięj leżało przyjęcie gościinne.

Strój dziewczynki nie tak wytworny, dość prosty nawet, nie ujmował jój wdzięku, czynił ją może ponętniejszą jeszcze. Cała twarzyczka gorzała przechadzką i skwarem dnia spędzonego na powietrzu, w wyziewach morza i spiecu ogrzanych piasków.

— Zaprosiliśmy was wprawdzie na rybę z ciocią Anunziatą, rzekła—bo nikt tak ryby nie umie przyprawiać jak ciocia; ale drugi raz musicie, bo od tego nie odstępimy, przybyć na nasz przysmak; dziś już za późno... ryby świeżej nie ma, przywiozą ją dopiero rano. Przyjmujemy was jak na okęcie szklanką wina i chlebem.

To mówiąc, pobiegła do szafy i poczęła się sama krzątać przy stole... Ciocia Anunziata jeszcze do życia całkiem rozbudzona nie była. Konrad onieśmiałony, wpatrzony, niewiele mógł mówić.

— Wam się tu pewnie wyda pusto, może nudno, może dziko, mówiło dziewczę; ale ja moje Lido Kocham, i jest mi dobrze i wesoło. Patrzę na całą Wenecję z tego okna, dodawa: z tego na morze... tu San Giorgio... tam Campanilla Ś. Marka... Salute, Dogana... wyspa Ś. Heleny; z drugiej strony... w dali domki na Giudecca... ot i część Canal Grande... Ci, co żyją w samém mieście, tak go jak my dobrze nie oglądają. Przytém cicho tu i spokojnie... i mamy drzewa,

zieloność, ogródek, a obróciwszy się widać morze... nasze lazurne morze... Tylko w zimie, gdy burza ryczy, domek się nasz trzęsie i fale biją o mury prawie, i noc całą słychać zagniewaną wodę mrnczącą i rozbijającą się o wybrzeże, ale myśmy do tego przywykli... Ja usypiam wśród tego szumu spokojna, bo oko boże czuwa nad nami... Nie myślcie też — mówiła prawie nie ustawając — żebyśmy tu na Lido zawsze tak pustelnicze wiodły życie; kilka razy do roku mamy *fierę*, cała Wenecya zbiega się na Lido, przekupnie, garkuchnie, kuglarze, muzyka, tańce... o! i jest bardzo wesoło. — Ale nam dużo szkody w ogrodach narobią zawsze.

— Więc tu cały rok żyjecie? spytał Konrad.

— Ojca najczęściiej nie ma w domu, odpowiedziało dziewczę: ojciec musi zarabiać na morzu ze statkiem, a gdyby i mógł spoezać, to już tak przywykł do tej włóczęgi po wodzie, żeby nie wytrzymał. Czasem gdy dłużej posiedzieć mu przyjdzie, znać już po nim, że się nudzi; a gdy odpływa, to choć mu ciężko się rozstać z nami, twarz jego zaraz promienieje inaczej... Naówczas, gdy żagle statku „Padre Antonio” znikną nam z oczu, zaczynamy się z ciotką modlić o jego powrót szczęśliwy i czekać, aż się nam znane jego żagle pokażą znowu... Czasem odwozi nas ojciec do Tryestu do krewnych, i tam czas jakiś przesiedzimy; ale zwykle ja, ciocia i stary sąsiad Pietro, którego opiece jesteśmy powierzone... pilnujemy domu... Ale nie myślcie, byśmy się nudziły: jeździmy do miasta na odpusty, na regaty, na muzykę, na plac Ś. Marka, mamy dużo znajomych.

— A! prawda, przerwał Konrad: wszak i rodzina

Zanara z Croce di Malta znajomą wam jest także, a Magdalena jest przyjaciółką waszą.

— Dobrze dziecko! odparła Cazità,—ale dziecko jeszcze; ja więcéj niż o rok przecię jestem od uieć starsza! — Wymówiła to z pewną dumą. — Zanaro wielki filut, dodała Anunziata. Nie powiadam, żeby był zły lub nieuczciwy człowiek, ale bardzo przebiegły i ze słabości ludzkich nawykł korzyścić.

Konrad wspomniawszy ranek, uśmiechnął się.

— Magdzia będzie kiedyś ładna, dodała Cazità; nie prawdaż?

— I pewnie nie ustąpi ojcu w przebiegłości, dodał Konrad; z oczu jej patrzy... większa nad wiek dojrzałość.

— O! to prawda, potakiwała ciotka Anunziata; ale w gospodzie między obcymi niepodobna się jej było długo dzieckiem uchować.

I poumrucała coś niezrozumiale ciotka, ruszając ramionami.

— Cóż to szkodzi, że trzpiotowata, wesola i przebiegła? przerwała Cazità. Wszyscy nam ciągle mówią, że jesteśmy przez mężczyzn oszukiwane; to lepić, że się ma na baczności i gotuje do obrony.

— Czyż wszyscy mężczyźni—spytał Konrad—tak złą u was sławę mają?

— Ja nie wiem; przynajmniej naszego kraju panowie nie odznaczają się cnotą wierności, i ciągle sama ciotka powtarza, ażeby się ich strzedz, bo są wcale oszuści.

— O! o! nie tylko nasi, moja kochana, dodała ciotka: wszyscy oni jednacy z końca w koniec świata, i wszyscy czyhają tylko na zgubę naszą.

— Muszę się też njać za płać moją, odezwał się Konrad. Nie wiem jak tu w Wenecyi się dzieje, ale u nas w Polsce myśmy dobrymi mczami i stałymi wielbicielami. Nie słyhać u nas tych skarg i żalów na mczyzn, więcj mcz na rodzaj niewieści.

-- Oto słowo w słowo jak wszędzie, rzekła Anunziata. Kobiety na mczyzn, mczyzni narzekają na niewiasty, a słabsze my, zawsześmy pokrzywdzone.

Konrad się uśmiechnął. W czasie, gdy ciocia sobie gderała, oczy młodych, niepamiętne przestróg siwizny, grały scenę z odwiecznego miłości dramatu, prolog ów czarowny poznania, cichą rozmowę pierwszą bez słów a tak wyraźną. To ona, to on, spuszczali źrenice; to ona wybiegała niemi gdzieś w dal, udając obojętność, to on patrzył w stronę, nie chcąc być natrętnym, a potém powoli wracali do siebie, i usta się uśmiechały, i wejrzenia badały, i sprzeczały znowu, i godziły drzące a bojaźliwe.

— Wyście mnie obdarzyli kosztownym i pięknym upominkiem z waszego kraju, odparło dziewczę; ja nie mogę zostać dłużną, i choć ubogim datkiem muszę się wam wypłacić. Mam i ja—rzekła—rózaniec dla was, ale skromny, z koch naszych morskich, ubogi. Wszak macie siostrę? dodała rumieniąc się.

— Tylko jedną siostrę, rzekł Konrad, jakby zrozumiał pytania znaczenie,—tylko siostrę jedną, ani matki, ani z kobiet nikogo; ale my Polacy mamy zwyczaj i mczyzni modlić się na koronkach.

Ciocia Anunziata milezała. Cazinà dobyła swój rózaniec z morskich muszelek drobnych, i zawstydzona podała go Konradowi, który pochwycił jęć rączkę, i mimo, że mu się wyrywała trochę, całował ją usty gorącemi. Pocałunek ten pełny poszanowania, był

zarazem tak pelen ognia, iż dziewczę sięś musiało, tak się nim poruszoném uczuło. Cała jęj twarz oblała się rumieńcem, ale oczy były wesole, choć nie tak już śmiałe jak przed chwilą.

Szczeńciem wśród tęj chwili zakłopotania, głos powracającego z narady Bractwa Ś. Rocha kapitana Zenona dał się słyszeć na wschodkach. Rozradowane dziewczę podbiegło naprzeciw niemu.

— Ojczel! ojczel! zawolała: mamy gości.

— Już wiem, rzekł kapitan.

— Jakim sposobem?

— Na drodze spotkałem Zanara, a Zanaro wie o wszystkiem, nawet dokąd plynie gondola jego gości, choć nikomu o sobie nie mówi... Witam was, rzekł, wstępując na próg,—witam! ale ciocia Annunziata nie dopisze nam z rybą dzisiaj.

— Jużemy się ułożyli, podchwyciła dziewczyna: że Polak nasz musi na rybę przybyć raz drugi, i to rano.

— Jużcięby się ryba znalazła, odpowiedziała ciotka; ale ani ładajukięj, ani ładajako dać nie mogę cudzoziemcowi, który może ją raz tylko w życiu jeść będzie. Chciałabym, żeby smak jęj powiósł z sobą do kraju, i całe życie go paniętał.

— Nie potrzeba ryby na to, żeby mi gościuność wasza nigdy z pamięci nie wyszła—odpowiedział Konrad cioci, ale patrząc na siostrzenicę,—nie zapomina się obcemu przyjacielsko podanęj dłoni, i tak milego jak wasze przyjęcia.

Cazità wejrzała smętnie na niego.

— A cóż z waszą dalszą podróżą? zapytał kapitan; macie-li już statek?

— O! nie, jeszcze, nawet ani pewności, że pojedę; wszyscy się uwzięli mnie straszyć.

— No, to już i ja dodam moją radę, rzekł Zeno. Wiem z najlepszego źródła o morowém powietrzu w Jaffie wybuchłém; pójdzie ono karawanami po całym Wschodzie. Nikt teraz nie popłynie z Cypru do Aleksandryi, ani do Tripolis. Potrzeba wędrówkę po-bożną odłożyć na raz inny.

— Ale czyż to rzecz pewna? spytał Konrad.

— Tak pewna, że ja, com zamierzał znowu na Wschód płynąć, dalej niż do Cypru nie sięgając, rzekł Zeno. Nie chcę ani ludzi tracić, ani sam na pewną niemal śmierć się narażać—i wy zostańcie w Wenecyi. Na Boże Ciało, karawana pielgrzymów nie wyruszy jak zwykle, bo odstraszy ich powietrze... Potém, już nie ma zwyczaju wybierać się do Ziemi Świętój, i nie ma tak dobrych zręczności; posiedzicie chyba do drugiej wiosny.

Konrad posmutniał, spuścił głowę.

— Sam jeszcze nie wiem co zrobić, rzekł; pojedę do Padwy, poszukam czy mi tu jacy choć dalecy krewni nie zostali, zobaczę choć ten dom, w którym się pradziad mój urodził i wychował, a potém...—spojrzał na Cazitę ukradkiem — zobaczymy! Trzeba też będzie i do domu powracać!

— Tak prędko? spytał Zeno: tak prędko? a po cóż było jechać? musicie przecię poznać *Venezia la Bella*, swoją dawną ojczyznę, a jeżeli zechcecie tylko obejść kościoły, podziwić się obrazom, przypatrzeć ludziom, pokłonić pięknościom, obejrzeć cuda... dużo na to czasu będzie potrzeba.

— O Wenecya! prędko przerwała Cazita: gdybyście weszli tylko na wieżę San Giorgio, albo Ś. Marka, gdzie tak wygodnie bez wschodów można tańcząc zabiedz, dopierobyście zobaczyli jaka rozległa, jaka

endowna, ile kościołów, placów, a wszędzie pamiątki, co krok osobliwości. Wszystko przecież obejrzeć musiecie.

— Będę się starał, rzekł Konrad,—i nie zbywa mi na ciekawości, ale mi smutno, że się do Ziemi Świętej nie dostanę.

— E! życie długie! przerwał Zeno: nie teraz, to potem... Wyście młodzi, zresztą rok upływa szybko, szczególnie w Wenecyi i w waszym wieku... na przyszłą wiosnę o morze słyhać nie będzie. Tylko dałbym wam jedną dobrą radę... dodał kapitan, ale się zawahał.

— Proszę o nią, rzekł Konrad.

— Jeśli dłużej tu pobycie, zniżając głos dodał Zeno: czy koniecznie w gospodzie przebywać musicie? Zanaro jest zapewne wśród oberżystów dobry jeszcze człowiek, ale nikt od niego z nicopróżnią nie wyszedł kieszenia. Poczciwy, ale filut. Nie chciał bym mu krzywdy czynić, pozbawiając tak dostojnego i pożądanego gościa, jednak wolę wam niż jemu uczynić przysługę.

— Znacież gdzie lepsze miejsce? zapytał Konrad...

— O! ja... nie, ale później, gdy się z miastem obeznacie, nad Canal Grande pełno domów pustych, a w domach rodzin zubożałych, znajdziecie łatwo do najęcia kątek i stół taniej niż u pocziwego Zanara, który przywykł trochę ze skóry odzierać.

Konrad ścisnął za rękę kapitana, uśmiechając się...

— Dostrzegłem ja to już sam, szepnął, ale obcemu w miejscu nieznaném, trudno sobie dać rady...

— To się obeznacie, odparł kapitan, jakby się nag

le pomiarkował; zresztą niepilno to jeszcze... a Zano was nie puści łatwo...

Gdy ojciec to mówił, twarzyczka Cazy to rumieniła się, to bladła: spodziewała się podobno innego końca rozmowy... ale ojciec surowo spoglądał na nią, i nagle przerwał...

Ciotka Anunziata wyprowadziła Cazy na jakąś naradę, zapewne względem ryby i zaproszenia Pola na śniadanie, aby już raz się go pozbyć, a Zeno dodał, obejrzawszy się, gdy zostali sami:

— Nie chciałem tego mówić przy córce, ale Zano nie darmo zowią gondolierowie *il gran ludrone*; lis to szczwany, a wyście młodzi; pełno u niego pięknych twarzy, gdy takiego jak wy majątnego gościa potrzeba przytrzymać... miejcie się na baczności... Nawet córki się popsuć nie obawia... stary wyga... ale... dość...

Weszła Cazy z cicią.

— Otożemy uradziły, zawołała, na przyszy piątek będzie doskonała ryba. Pietro wcześniej ją zamówi u starego pocziwego rybaka... więc prosimy cavaliera na piątek przed południem.

— Tylko się proszę nie spóźnić, bo ryba zła będzie, zawołała ciotka Anunziata; a już ją sama muszę przyprowadzić, bo mi chodzi, aby była taka, jaką aniołowie tylko jedzą w niebie.

— Jeśli w niebie jedzą! rzekł uśmiechając się Zeno.

— A jużć! ofuknęła na to niedowiarstwo ciotka: spodziewam się, że muszą, jeśli gdzie, to tam być z postem i rybą!!

Pewna będąc, że obroniła religijnego dogmatu, cio-

cia przybrała minę surową... Cazità uśmiechała się dziwnie, Zeno spuścił oczy.

Nasz gość spojrział przez okno; widział, że wieczór szybko nadchodził; jeśn oddalac się wypadalo, a tęskno, przykro było ten cichy kątek i tych poeziowych ludzi, i te oczka co mu tyle mówiły— opścić.— Wziął za kółpaczek...

Cazità spojrzala, i dużo tam coś przez wejrzenie jój skromne weszło do jęgo serra. Nie było to dziś owo trzpiotowate, wesole dziecko, które pierwszy raz z takim *brío* wyskoczyło na pokład okrętowy; jakąś mgłą zamyślenia zachodziły czarne jój źrenice, czoło powlokła zaduma, a choć usta się uśmiechały, to jakby tylko ze starego nalogu. Ledwie dosłyszane westchnienie z pod warg koralowych się wyrwało.

Konrad zęgnął do piątku. Zeno wzięwszy swą domową czapkę czerwoną wenecką, odprowadzał do gondoli, a z okienka z pomiędzy zielonych liści cytryny i winnej latorośli twarzyeczka na niego patrzala Cazity, to się chowając, gdy się ojcowskiego wejrzenia spodziewala, to błyskając oczkami, gdy mogła go uniknąć, a spojrzeć jeszcze na piórko u kółpaczka...

-- O! niegodziwy, rzekła sobie w duchu: niegodziwy! nie klęka, nie zaklina się, nie płacze, nie mówi, prawie nie patrzy, a czaruje mnie oczami! I tak po nim tęskno, jakby już w niebie Madonna nasze pierścionki pomieniała.

Konrad rzucił się w głąb gondoli na czarne poduszki i doświadczył po raz pierwszy jak w téj łódce marzyć dobrze kolysanemu falą, niesionemu wiosłymi szybkimi.

Ani się spodztał, gdy go wysadzili na Rivie, na-

przeciw téj Croce di Malta, która razem ze swém otoczeniem po małym domku na Lido, wydała mu się niemal brudną, a nadto gwarliwą i niecznołą gospodą.

W progu stała śmiejąca się Magdalenka szpiegując powrotu, a Maciek zamyślony, z klęczkami, oparty o uszak, oczekiwał także na pana, medytując nad swoją przygodą. Dziewczę z tego niemego Polaczka milokosa śmiało się i rade było z nim pofiglować, ale Maciek tym razem był poważny, jakby wrócił z cmentarza. Myślał o szewcu... a co gorsza o dyabelskich czarnych oczach téj królowny neapolitańskiej, którą widział na progu sklepiku u szewca.

— Co pan dasz, spytała Magdzia wracającego: jeśli zgadnę gdzie byłeś?

— Niewielka sztuka, odparł Konrad; gondolę widać z daleka, a panienka jesteś tyle grzeczną, że rozumiesz, iż będąc winien wizyte, oddać ją musiałem.

— *Portrino!* litując się rzekła Magdusia — biedaczek! musiał! prawda! Jak spełnienie téj powinności drogo kosztowało! nie prawdaż?

I poczęła się śmiać.

— Za co mi dokuczasz? spytał Konrad w dobrym humorze—ojcu się poskarżę.

— Znać, żeś nie Wenecyanin, dodało dziewczę figlarnie, bobyś nie skarżąc się nikomu, czternastoletniej dziewczynie dał naukę, ale teraz to już z tego nie będzie, bo ucieknę...

Uśmiechnęła się, wyciągając szyjkę ku niemu, i już jój nie było.

— Nie winszuję temu, kto na jój białe ząbki wpadnie! rzekł do siebie Konrad.

Ale wtém zobaczył stojącego na pokucie Maćka,

posmutniałego widocznie, i spytał go po polsku, lekko zakręciwszy za ucho:

— Cóż ci chłopecz? czyś chory?

— A! gdybyć chory! proszę pana, toby to jeszcze nie, rzekł Maciek: czlekby się wódki z pieprzem napił albo co, toby i przeszło; ale tu w tém mieście, to człek z rozumu zejdzie.

-- No! co ci tam nowego?

— A cóż proszę jaśnie pana, tać to i ja miałem już awanturę!

— Ty? awanturę?

— Jużci się przed jaśnie panem taić nie będę; jeszcze mi się we łbie kręci.

— C'alyś wyszedł? spytał troskliwie Konrad.

— E! no, jeszczeć mi nie, tylko po głowie świdruje.

— Gadajcie co to było?

Maciek wziął klucze, i prowadząc pana do mieszkania, tak począł:

— Jak jegomość poszli na obiad, przyznaję się, że mnie skorecowało troszkę sobie wyjść na powietrze, zwłaszcza że pod oknami drab baba w bęben biła, a jak żyw nie widziałem takiej okrutnej kobiety i jeszcze z bębeniskiem; tak ja myślę sobie: wyjdę ino na próg. Ale nimem się z tych przeklętych wschołów stoczył, już nie było kobiety ani bębna. Nudno mi się zrobiło, myślę sobie: pójdę przed Ś. Marka, Zdrowaśkę zmówię, co mi ma być? Ta i poszło się... Popatrzałem na kościelisko, straszecznic bestya piękna, ino nie rozumiem dla czego na nim świnię namalowali, otoczywszy złotem?...

Konrad się począł śmiać.

— Ano, to tam fracha ta świnią, z przeproszeniem pańskim, ale proszę-no posłuchać co dalej... Stanąwszy ja przed kościołem, myślę sobie: gdyby człek trochę się po ziemi przeszedł, bo aż nogi pozakłękały, tylko się ustawicznie plywa a plywa... A co mi się ma stać, jak pójdę w uliczkę króciusko i nazad powrócę? Zegarzysto biło, a figurki na niēm tańcowały, gdyby w szopce; nacudowawszy się idę, ta idę, patrzę drab okrutny jakiś za mną. A co mi tam do niego? myślę: on idzie, ja idę, idziewa we dwóch, ta i po wszystkich... A no czegoś idąc bestya prycha, a ociera się blisko, widocznie sznka racyi. Trzeba jęgomości wiedzieć, że ja mu temu chłopu daj Boże brodą do pasa dostać, tak wyrosło niepocziwc jakieś zielsko... Ale, myślę ja sobie: żebyś ty był jak ta wieża, to ja cię się nie zleknię... Idę w uliczkę, a dziwuję się lachmanom i ciasnocie, bo co brudno to brudno. Kiedy ja sobie najspokojniej się gapię, ten mnie pod bok, i jak zacznie krzyczeć a kajać, a wydziwiał! Jezu Maryo! prawda, żem rozumiał tylko jedno *Canaletto*, ale jam tego do siebie nie brał tylko do kanałów, ale też go nie poszczędziłem, i jak pocznę sypać mu od kpów albo jeszcze lepszego, tak tylko co do bójki nie przyszło... Ale drab noża dobył, a przy mnie i kozika nie było; myślę sobie: aby co złapać, to mu cisnę w chrapy... A tu jak się pocznę obdartusów ciżba, dzieci, bab, różnego ludu cisnąć, tłok, tak ani się ruszyć. Widzę, że będzie źle, bo gromada na jednego, toć pewnie swój za swoim pociągnie, i już tylko patrzę, gdzieby się przyprzeć, aby z tyłu mnie nie wzięli, aż wylatuje mały szewczyna, stary, w okularach ze sklepiku pod bokiem. Ino po-

patrzył, a kiedy nie schwyci mnie i cisnął do kramu, a drzwi zatrzasnął. Pomiarkowałem, że tu już był bezpieczny... Dopiero też odetchnąłem... Widać Pan Bóg się ulitował, że mi tego starowiucę zesłał!... Stary, słyszę tylko, ode drzwi jak pocznie sam lajać, lud mn się zaraz ustąpił. Kiedy powrócił do izby, proszę jegomości, o mało na wznak nie padłem: wszak po polsku do mnie zagadał!...

— Co pleciesz? krzyknął Konrad: szcwe Włoch po polsku?

— A toż to jest, proszę jegomości, że Włoch a nie Włoch, nie przymierzając jakby to sam pan co Polak, a nie Polak, tak i to, bo z Krakowa rodem.

— Czy ci się śni?

— Ale ba! kiedy mnie aż tu przyprowadził i dobrze nałajał, za com się sam z domu ważył... A com jeszcze u niego widział!... dodał ciszej.

— Cożes ty tam zobaczył jeszcze? spytał Konrad.

— Ano, taką dziewczynę, z pozwoleniem pańskim, że jak żyw jeszcze podobnej nie śniłem nawet... ino że to nie dziewczyna, a on powiada, że królewna neapolitańska.

— Zwaryował, rzekł poważnie, z politowaniem Konrad, przystępując do niego; zwaryował, albo się upił.

— Nie, proszę jegomości, odparł smutnie Maciek; jeśli to waryacya, to nie wiem, ino mi się nie zdaje... ale co wina tom nie tykał!

— Gdzież? co? jak?

Maciek począł na nowo.

— Co ja tu z tobą będę bałakał! zawołał Konrad, biorąc kołpak: trafisz do szewca?

— A jakby nie! porwał się chłopak, choć po nocy.

— Prowadź! rzekł krótko Lipiński.

Nie tracąc chwili, wyszli z gospody. Węgrynek biegł przodem, oglądając się na pana. Minęli wieżę i bramę, weszli do Merceryj, ale tu już trochę zmierzchało. Gdzie niegdzie błyszczały lampki zapalone pod obrazami Madonn. Maciek z daleka poznał na wschodkach siedzącego swego szewca, a po za nim o stopień wyżej przecudowną czarnobrewą Maryettę.

— Otoż i on, i królowna neapolitańska! krzyknął do pana.

Ale zaledwie ją mógł dojrzeć Konrad, szewc, który chłopaka poznał, skinął na córkę, aby uszła, i dziewczę musiało się skryć w głąb domowstwa, przez szparę tylko posyłając ku przybyszom wzrok ciekawy.

— Panie majstrze! krzyknął Maciek: oto i mój pan. Szewc wstał, zdejmując czapkę.

— Przyszedłem wam sam podziękować za to, żeście mi ciłopca nie dali stłuc na miazgę — alem z razu całej historii mało wiary dawał.

Jakób skinął, aby weszli. Niespodzianie przystąpiwszy do drzwi, zetknął się z ciekawą Maryettą, która do drugich uciekła. Tymczasem goście weszli do sklepiku, gdzie już lampka tłała przed N. Panną i Ś. Antonim. Tu dopiero gdy za sobą zamknął od ulicy, do kolan się sebylil pan Jakób przybyłemu, a czule i z srecą. Od wielu lat stroju i twarzy swojej nie widział, nie słyszał mowy, na raz odzywało się w jego duszy co dawno miał za umarłe, i lży mu powoli ciekły z powiek, ale ich za okularami nie było szczęś-

ciem widać. Start fartuchem stolek i posadził na nim pana Konrada... Głosu mu brakło z razu na powitanie.

— Bóg wam zapłać, rzekł wreszcie, że nbogą dzinrę moją chcieliście nawiedzić. Chłopiec nie skłamał, Polak jestem, ino dawno ze swojój się ziemi wyszło, a długo po obcych włóczyło, dno biedy nadjadło i biedzie jeść dało, aż ta wiatr przypędził na tę smrodliwą uliczkę, na stare lata; ale to mój dobrodzieju swoja już chata, po nieboszczce żonie, po której mi ino ten murn kawałek i córka została...

Szewc mówił i płakał, język mu się płatał z radości, że swoją mowę się mógł odczwać, a co chwila za kolano ścisnął Konrada.

Tymczasem Maciek stojąc w kącie, dopatrzył szpary we drzwiach, a w szparze czarnego oka, i taki był do niego pobożny, jakby się obawiał utracić jednego wejrzenia. Odbywało się to w sekrecie: szewc był zajęty gościem.

Z szewca nietrudno było dobyć jego przygody; po długim odpoczynku język mu świerzbiał, jął więc opowiadać, i jak z Krakowa nieckał, i jak na Szlązku się bawił, i jak potem podniemczawszy, do Wiednia się dostał, a koniec końców zawieruszył się aż do Wenezyi. W historyi téj w istocie wiele było biedy, trafunków, ale co najosobliwsza, że niepozorny szewczyzna znalazłszy służbę u wdowy paui majstrowej Nani, naostatek ją poślubił, a ta mu kamieniczkę, prawda tylko o dwóch oknach od ciasnej uliczki, zostawiła razem z córką. Od ożenienia swego, Naniem się nazywał, i tak go tam już ludzie ochrzcieli, a zwłószczał i przywykł do swojój budy, tak, że tu już czekał, rychło mu wybije ostatnia godzina...

Jedyną troską była córka Maryetta, i nadto piękna, i niezmiernie, jak ją nazywał, *ciekawca*.

— Toć to pewno ta, rzekł ciszej Konrad, co mi ją Maciek nazwał królową neapolitańską.

— A cożem mu miał powiedzieć? odparł szewc: tak mi ją oczyma jadł, żem musiał go czémś odpędzić.

Nuż tedy rozpytywać, nuż w gawędę; a szlachcic jak się stęskni do swoich, czemu by i z szewcem pogawędzić nie miał? Dosyć, że tak poszło do nocy. Tylko że w Wenecyi zwłaszcza wiosną, nocy nie znają, rychlęj we dnie zasną. Maciek przez szparę odrzwi patrzył ciągle, mało nie oślepl.

Powiedział też i szlachcic majstrowi, jak i po co przybył? co go tu sprowadziło? i jakie miał nadal zamiary?

Nani głową pokręcił.

— Do Ziemi Świętej ani myśleć, kiedy wam tu już prawią, że mór pannję, rzekł powoli; ale i tu wam trzeba ostrożnie, bo miasta nie znacie, a choć ja sam w nićm jak swój już, ale straszniejszej jamy dla cudzoziemca nie ma, dodał, niż Wenecya. Świeci się to świeci, a wesoło wygląda; mało kto jednak bez płaczu ztąd odjechał. Kobiety — wyjąwszy moją żonę nieboszczkę, a daj Boże, córkę — istne dyabły... młodemu człowiekowi chyba z zawiązanemi chodzić oczyma.

Konrad się uśmiechnął i westchnął razem.

— Gospodarza też z pod Krzyża Maltańskiego — mówił szewc — znam dobrze... a no! i o témby dużo gadać jeszcze. Zabić nie zabije, jak to się tu w tych Włoszech trafia często; okraść nie okradnie; ale z kieszoni wyłudzić i za poły różnemi sposoby w domu przytrzymać potrafi. Więc się jegomość strzeż, chcesz-li na czas i cały do domu powrócić, dodał szewc.

— No! a wy? toć pewnie też myślicie kiedyś na swoją ziemię wrócić także?

W milezenin podniósł głowę Nani... łzy mu płynęły ciche po fałdach wyżółkłej twarzy.

— Marzyło się to — rzekł — dawniej, niegdyś, marzyło, z dnia na dzień odkładało... ale mój dobrodziej, postaw, postaw imo człowieka na jakiej chcesz ziemi, to jak drzewo do niej przyrośnie, już go potem chyba wicher wyrwie z niej. Jeśli się zatęskni, to się obraca jak słonecznik w tamtą stronę, z której wyszedł, ale oderwać się... nie ma sposobu... Muie tu i dziecko, i ten kawałek muru przykuł; co jabym robił z tą dziewczyną, jakbym ją na suchy ląd wyprowadził?... Onaby zmarniała, a ja z nią. I po co tam iść? imo groby... A ktoby tam człowieka poznał? Gdyby w zaduszny dzień ludzie wstawali, to jeszcze...

Spiścił głowę stary, okulary mu spadły, podniósł je i otarł miledzący. Panu Konradowi zrobiło się też czegoś smutno; a że nim się różne rzeczy po głowie snuły, znalazł się na języku i kapitan Zeno.

— To wy zapewne znacie już tu całe miasto, od tylu lat mieszkając?

— Tak, prawie jak całe, bo człek — rzekł szewc — należy do bractwa, do cechu, do gminy, to się tam różni ludzie spotykają.

— A z innych wysp? spytał Konrad.

— Gdzie niegdzie jaki znajomy, odparł Nani; ale o kogoż pytać chcecie?

— Tak, dla ciekawości, o kapitana Zenona.

— O tego, co ma ładną córkę! dom na Lido! nie znałbym go, odpowiedział szewc, ale koło jego domu zawsze się jarmark sadowi co rok, a ja mojej Maryetty byle jarmark i odpust nie utrzymam i na łań-

cuchu... Samój nie puszcze, muszę się z nią stary wlec, boby to przepadło między ludźmi, gdyby człek nie pilnował. Otoż jak znam i kapitana i Cazitę! Ej! ej! dodał — już tam wasze oko padło, ot i bieda!

— Nie posądzajcie, bo nie ma ani co, ani dla czego! zawołał Konrad; prosta to ciekawość, przybyłem tu na jego statku.

— I z córką, jakbym się patrzył, szepnął szewc: nie chybi...

Konrad się uśmiechnął; Nani patrzył z politowaniem jakimś.

— O! miły Boże! zawołał, toście wy przepadli...

— Nie bójcie się, nie bójcie, począł się bronić Konrad... nie się złego, uchowaj Boże, i nie stało i nie stanie... Cóż mówią o kapitanie Zenonie?

— To pocziwy człowiek, rzekł jakby mimowoli Nani; nie nie mówią, bo złego nie mogą ludzie, a dobrego mówić nie lubią... Tylko to wiem jedno, dodał po chwili: że stara ciotka Annnziata ma krewniaka, wielkiego zawadyakę, który gdzieś mieszka na lądzie niedaleczko... i tego chce z Cazitą ożenić...

Konrad nie odpowiedział, ale mu się zrobiło jakoś przykro.

— A co mi tam do tego! zawołał: niech ich sobie żeni kiedy chce.

To mówiąc wstał.

— Bóg wam zapłać, rzekł, żeście mi chłopaka ratowali. Gdybyście co odemnie przyjąć chcieli...

Szewc skoczył jak oparzony.

— Stój! paneczku! stój, nie rzecz słowa, któremuś mi popsuł radość widzenia Polaka. Choć chudo-pacholsko wyglądam, ale...

Uderzył się po boku...

— Jest tam cekinów para... Chcecie mi dowieść dobrej woli?

— A no i owszem, — o to chodzi, rzekł Konrad.

— Więc mi się dajcie odziać ino i nie powstydzcie się przyjąć moich zaprosin; wypijemy razem *fiascoue* dobrego wina, które ja tu znam pod Prokuratoriami u starego Castigliona? no, co?

— Zgoda! zawołał Lipiński, który choć staropolski szlachcie, na cudzej ziemi już się czuł bratem, choćby szewcowi Polakowi!

Inaczejby było może w Polsce, ale w Wenecyi...

Szewe pobiegł, a tak chyżo, że dopadłszy drzwi nim Maryetta od nich pierzchnęła, odkrył wielką jej zbrodnię: oczkowanie nieprzyzwoite z Maćkiem; był gniewny, ale popędziwszy dziewczynę, odłożył gderę na jutro, a sam się co rychlej przystroił...

Wyglądał tak na Wenecyanina, żeby go nikt w świecie nie poznał, iż się nad Rudawą gdzieś rodził, a włożył suknie od niedzieli, aksamitne, z guzami, i czapkę nową zwieszistą, i bóty nowe, aby ziomkowi wstydu nie zrobić...

Maćka zaraz z rozkazem pilnowania domu odprawił Konrad, a sam z majstrem pełnym ponętego uszanowania poszedł pod Prokuratorie. Znaleźli wiechę starego Castigliona, który im przy stoliczku na placyku Ś. Marka naprzeciw swojego domu wystawił owo *fiascoue* wina...

Noc, bo już się było późno zrobiło, prześliczna, gwiazdzista, księżycowa, pół-przeźroczysta, orzeźwiająca, wywabiła z domów co było na placyk Ś. Marka. Roił się ludem jak nigdy we dnie; strojne kobiety, kawalerowie, podżyle damy, duchowni wszelakię barwy, mnóstwo cudzoziemców w strojach małowicznych

smuło się po marmurowych posadzkach placu, który na tę ciżbę wydawał się za mały.

Wszystko się rozróżniać zdawało dopiero do życia: kuglarze pokazywali sztuki, muzycy próbowali głosów, niewiasty o złocistych warkoczach wabiły oczyma, śmiechy, gwar, rozmowy, śpiewy rozlegały się dokoła, a Ś. Marek osrebrzony księżycowem światłem patrzył na swe dzieci staruszek z za kandelabrow, w których zwinięte dawnych posiadłości drzemały sztandary. Tu dopiero życie ludu weneckiego poznać było można, charakter jego, wesołość, przebiegłość, i cnotę, i zepsucie. Bo też jedną i drugą było zarówno.

Patrycyusze ocierali się o gmin, urzędnicy o niedzarzy... wieczór, chłód i wesele na chwilę równały wszystkich. Nani był doskonałym tłumaczem dla endzioziemca. Wiedział on historię niemal wszystkich zrujnowanych patrycyuszów, którzy po nocy jeszcze wyglądali na magnatów, a za którymi nie widać już było dawniej ciżby klientów; nazywał po imieniu tych, co niedawno wkupili się do złotej księgi za sowitą opłatą; pokazywał kobiety sławne z wdzięków i zalotów; opowiadał dziwne przygody młodych i starych; usta mu się nie zamykały, zwłaszcza gdy trochę je wino w żywym ruchu wprawilo.

Konrad słuchał... Było to dla niego nowe i po trosze zastraszające, nie podobnego w kraju o uszy się jego nie obilo; dumal nad tym ludem tak jakoś inne, szumne i niebezpieczne życie wiodącym... Szewc paplał, ale mówiąc z po za okularów, rzucał oczyma na wsie strony tam i sam, i snadź coś dostrzegł, co uwagę jego zwrócić musiało, bo się parę razy wzrok jego pod ciemnymi galeryami Prokuratorji zatrzymał i poszedł, a śledził kogoś, i wracał niespokojny.

Konrad zajęty widokiem placyku i zabawy, nie uważał na to i nie zobaczył też signora Zanara, który z za kolumny ostrożnie palcem wyraźnie parę razy nań wskazał młodemu, słusznemu, przystojnemu mężczyźnie... Nieznajomy ten, płaszczeni okryty, z kapeluszem na oczy nasuniętym, zdawał się uważnie wpatrywać w Polaka, i począł po chwili dokoła stoliczka, przy którym siedzieli, krążyć. Ale zobaczywszy widać, że Konrad nie był sam, usunął się w tłum i zniknął.

Nani widział wszystkie jego ruchy, choć za właściwe uznał udawać, że wcale nań nie patrzy; ale gdy po chwili nieznajomy przepadł... zapomniał o nim prawie...

Choć noc już była, nie chciało się odechodzić, tak wesoło tu było na placu Ś. Marka. Zmniejszył się wprawdzie tłum, powoli część jego na Piazzettę do gondoli na Mercerye i w male uszła uliczki; zostało jednak pod Prokuratorjami przy łatareczkach gwarzących par i gromadek dosyć i snujących się jeszcze postaci samotnych lub po kilka pozbieranych. Ale *giaccone* skończono, Konrad postanowił odejść, pożegnał uprzejmego szewca, i skierował się ku Krzyżowi Maltańskiemu...

Nani powoli ciągnął ku swojej uliczce; niespokojny był prawdę rzekłszy, zawsze o Maryettę, a tym razem ciężył mu jeszcze gniew niewygderany na sercu.

Ledwie kilka kroków postąpił ku kościołowi Ś. Marka Konrad, gdy w blasku księżycowych promieni niespodziane zatrzymało go zjawisko...

Ciocia Anunzaita szła pod rękę z Cazitą; Cazità go poznała z daleka i prosto ciągnęła ku niemu... uśmiechnięta, wesola... Ciotka zdawała się oburzoną tym zachowaniem, ale oprzeć mu się nie mogła. Mimo wysil-

ków widocznych i targania na bok. Cazità już rzuciła: *Buona sera!* w powietrze, Konrad je pochwycił, i rozmowa się poczęła. Na twarzy Anunziaty malował się gniew płomienisty, ale milezący...

Poczęli przechadzać się razem...

— Nie prawdaż, że na całym świecie nie ma tak szczęśliwego i wesołego ludu? poczęła Cazità.

— A! śliczności! odparł Konrad zachwycony, nie umiając się już powstrzymać (włoskie na niego znowu działało powietrze). Ale mi się to wszystko dopiero teraz tak endowném wydaje, gdym was tu zobaczył.

— O! klamać niepięknie!

— Sklamalbym, mówiąc inaczej; grzeszyłbym, gdybym milczał.

— O! o! przerwała Anunziata: w waszym to kraju, jak widzę, umieją kobietom pochlebiać.

— Myślałaś pani, że nam serca pozamarzały?

— Nie, zawołała ciotka ale; myślałam, że się powoli niej otwierają, i że więcej szanujecie i uczucia, i kobiety.

— Sroga nauka! rzekł Konrad trochę urażony—więc milezę.

Cazità spojrzała na niego, płacąc mu wejrzeniem cioteczyne polajanie.

— Nie gniewajcie się, szanowna pani, dodał gość grzecznie: czasem się słowo wyrwie jak ptak z klatki.

— Nie trzeba drzwiczek mu odmykać, to nie poleci, rzekła ciotka poważnie; a co szkody narobić może!!

Potrząsa głową.

— Ej! ej! pusta z was młodzież, nie tak to za naszych czasów bywało. Mój nieboszczyk, świeć Panie nad duszą jego, pięć lat patrzył na mnie, słowa się nie ważąc powiedzieć.

— Szanowna pani, odparł Konrad: niewszysey mają tak dobrze zamknięte usta. Ale raczcie mi powiedzieć, przez te pięć lat czyście nie domyślali się nic? czyście go nie rozumieli tak dobrze, jak gdyby codzień wam jedno powtarzał?

Ciocia uderzyła go z lekka wachlarzem po rękę.

— Cichoż! psotniku jakis! cicho! balamucie, gorszysz mi dziecko.

Ale czy ją wspomnienie nieboszczyka rozculiło, czy łagodność Konrada znalazła w jej sercu furtkę do wyrozumiałości, dosyć, że nie zważała prawie, iż Cazità po eiebn śmiejąc się szeptała coś do Polaka, a Polak jej żywo, gorąco odpowiadał.

Ciotka zamyślona patrzała na niebo gwiaździste, szukając w niem może swojego nieboszczyka.

Rozmowy tego rodzaju gdy spisywać przyjdzie, uależałoby notować jakiemiś osobnemi znakami, tak je trudno ująć w słowa, określić znaczenie, które im uśmiech, głos, ruch nadają. Zostają one nawet w pamięci dwojga ludzi, jak jakaś muzyka, której się pomni melodyę na zawsze, nie wiedząc z czego się składała.

Ciocia uareszcie przypomniała oczekującą u bieżgu na Piazzecie gondolę, a Konrad odprowadził je aż do łódki. I gdy wiosła odniosły na kanał gondolę, zapatrzył się na posrebrzone wody, na świecącą ognikami jak gwiazdkami Giudeccę.

Stał tak a patrzył, gdy go ktoś uderzył po ramieniu z lekka.

Odwrócił się—przed nim był plaszczem okryty, w kapeluszu na oczy nasuniętym, słusznego wzrostu mężczyzna, z postawy sądząc, młody... nieznajomy...

— Przepraszam, rzekł: pan mię nie znasz, ja załed-

wie wiem, żeś cudzoziemiec i kto jesteś; ale jeśli to panu zbytniej przykrości nie zrobi, prosilibym go o chwilę rozmowy.

Konrad nie był ani podejrzliwym, ani tchórzem, jakkolwiek noc była późna, a plac się opróżniał, miał swą szablę u boku. Nie uląkł się więc hynajmniej dosyć podejrzanego zaproszenia.

— Słuszę panu, rzekł; ale mam ten zwyczaj, że lubię wiedzieć z kim mówię, i chcę być znanym temu, kto mnie zaczepi. Jestem szlachcic wenecki i szlachcic polski Konrad Lippi de Buccellis... do usług.

Sklonił się.

Niecznajomy zdjął kapelusz z głowy, i odkrył twarz piękną, młodą, męską, ogorzałą, rysów szlachetnych...

— Ja także — odparł — imienia się swojego nie wstydzę, ani ukrywać lubię. Jestem Gabriel Antonio Sabrone; nie szlachcic, ale obywatel wenecki i posiadacz kawalka ziemi należącego do Rzptéj.

— Czémże służyć mogę szanownemu panu? zapytał Konrad.

— Rozmową tylko; przejdziemy się jeno chwilkę po tym placyku, który świeżo przebiegałeś pan w tak miłym towarzystwie. Rozmowa nie potrwa długo; jam wieśniak i człek otwarty.

— Słucham, rzekł Konrad.

— Ciocia Annaziata—odezwał się Sabrone—jest moją krewną po dziadzie; signora Cazità daleką moją powinowatą. Los i dobre imię ostatniej, jak się łatwo domyślicie, wiele mnie obchodzi. Wyraziłem się dosyć jasno?

— Dla mnie zupełnie dostatecznie, odparł Konrad. Nie znam dobrze obyczajów waszego kraju, choć do

niego należę; ale w czémże mogłem losowi signoriny lub jej dobrój sławie zagrozić?

— Gdyby już groźnego co było, zawołał Sabrone—mówilibyśmy inaczej. We Włoszech, wy wiecie, lub domyślacie się, nie tylko usta, w ostateczności i noże mówić umieją... Nie jeszcze nie grozi; ale... signore Corrandino—szczerze... nie balamucicie wy mi kuzynki?

— Nie miałem i nie mam tej myśli, odparł Polak. W naszym kraju, w mojej przybranej, drugiej ojczyźnie, w Polsce, mężczyzna stara się poznać kobietę; jeśli mu się podoba, zbliża się do niej przyjęty poszanowaniem; jeśli ją pokocha, oświadcza się; jeśli kochanym jest, żeni się. My innych balamuctw nie znamy.

Wyrzekł to z pewną dumą i zapaleniem. Sabrone poprawił kapelusz.

— To co innego, rzekł; jesteście więc na jakim punkcie tej ciekawej historii polskiego kochania?

— W przedmowie, odpowiedział Konrad.

— A gdy się dzieło nie podoba, myślicie je porzucić? he?

— Signore Sabrone, zawołał Konrad: jak się n was żenia? z zawiązanemi oczyma?

— Słuchaj polski szlachcicu, kładąc mi rękę na ramieniu, odpowiedział Antonio: jam wieśniak i nie dowcipuję; powiem ci wszystko od razu... ja kocham Cezitę, i chcę się z nią żenić.

— Dopowiedzcie mi, rzekł Konrad: czy ona...?

— Ona! ona! szepnął ponuro Antonio: o toż nie wiem; ale ja sam będąc, mogę mieć nadzieję... Jestem młody, trochę piękniejszy od dyabła... i na Madonnę! dodał gwałtownie, ja ją kocham, ona mnie nie dziś, to jutro pokochać musi.

— Signore Sabrone, téj racyi nie rozumiem, z przekasem trochę rzekł Polak.

— A ja ją rozumiem tak dobrze, szybko dorzucił Weneccyania,—że jeśli mi się koło nieć płaćtać będziecie...

— To co? spytał Konrad.

— Domyście się.

— Nie chcę się domyślać niczego, co by waszój czi uwłaczało. Sądząc, że mnie wyzwiecie na rękę... no! to się bić będziemy.

— Jak? na szable? na rapiry? na szpacy? na pistolety? zapytał, szydząc Włoch.

— Jak zechcenie.

— A! nauczciez się weześnie bić na noże, bo ja inaczej nie umiem, i walczyć nie będę. Signore Corradino! tak! my się nie bijemy inaczej! Ręka obwija się płaszczem, w drugą bierz się nóż, i...

To mówiąc, z za pasa dobył żelazo, i przed oczyma Konrada błysnęła klinga krótkiego, ostrego sztyletu. Nie myśląc i nie zastanawiając się, Polak już miał w mgnieniu oka dłoń na szabli; sama mu ona wyskoczyła z pochwy i świsnęła ku górze.

— Stój! gorączko! rzekł, nóż chowając Sabrone: to była tylko lekcy *coltellaty*. Schowaj szablę do pochwy, aby cię zbiry nie ujęły. Bić się dziś jeszcze nie będziemy, ale pamiętaj!... do zobaczenia!

To mówiąc, oddalił się tak szybko niktąc w gale-ryi pałacu Dozów, od którego stali niedaleko, że gdy schowawszy żelazo do pochew Konrad się obejrzał, był już sam jeden, a wiatr od morza chłodnawy rozplamioną twarz mu głaskał, jakby go chciał za niegrzeczność tego napastnika przeprosić.

Drząc jeszcze podwójném wrażeniem, rozmowy

z Cazitą i z signorem Sabronem, Konrad powoli skierował się ku Rivie i swój gospodzie.

Wrota jej niezbyt oddalone, pełne jakoś były ludzi... pochodni, zgiełku... Widocznie niezwykajnego coś się tam trafić musiało. Konrad sądził, że signor Zanaro przyjmował pewnie najmniej jakiegoś udzielonego księcia.

Ludzie biegali żwawo, głosy się rozlegały, pośpiech jakiś i nie jakój był widoczny. Trochę przytomniejszy, byłby Konrad poznał, że tu nie chodziło o przyjęcie niczyje, ale widocznie o przygodę nieszczęśliwą, bo z pośród zgiełku słychać było wyrzekania i przekleństwa, jęki i szlochy, krzyk gospodarza, płacz gospodyni, głośnie łajania i swary...

— Cóż to się tam stać takiego mogło? śpiesząc, pytał sam siebie Konrad.

Gdy się o kilka kroków do gospody zbliżył, mógł już rozeznąć w pośrodku tłumu złożonego z całej niemal ludności domu, zwiększonej parkanem przechodniów od ulicy, kawalera Gerardego z najokropniejszym gniewem wybuchającego przeciwko pannu Zanarowi, który z założonemi na piersiach rękami, cierpliwy, wspinałomyślny, wielki majestatem spokoju, znosił krwawe miotane na niego obelgi... Po za nim stojąca żona, podparta w boki, gniewna, szarpala na sobie suknie, a Magdusia rada, że na coś przydać się może, czynnie walczyła z napastnikiem Doktor Niemiec i Maciek należeli do spektatorów razem ze służbą i mieszkańcami gospody. Na uboczu stał bladej stroń kavalera trzymający widocznie principe Alessandro di Ponte-Vecchio, ale mało się mieszał do waśni.

Nie widać też było Signory Zenobii Boccatora, przyszłej śpiewaczki, *prima donna assoluta* cesarskich teatrów...

— Nie myśl stary szalbierzu, wołał kawaler Gerardi,—aby ei tym razem bezkarnie ująć mogło... Wiedziałeś niezawodnie, mam dowody, żeś pomagał do ucieczki Zenobii z Polakiem... Złapiemy ich oboje... pomścimy się zniewagi cesarskiego posła, upomnimy się o Rzeczypospolitą... Natychmiast wysylam skargę do doży, do rady dziesięciu, kuryera do Wiednia, szpiegów na wszystkie strony, dopędzimy, dostaniemy ją z pod ziemi...

I kawaler Gerardi tupał nogami, skakał w miejscu, łamiąc ręce.

— Wpan wiesz, że za signorę Zenobię zapłaciłem długów trzy tysiące talarów bitych, że dałem jej na ręce dwa tysiące cekinów na garderobę... a podróż... a moja powaga... Gdyby nie współnietwo wasze, nigdyby zdrajczyni nie mogła nawet pomyśleć o ucieczce! Ale to nie ujdzie bezkarnie! to nie przejdzie ci lekko, mospanie Zanaro! ani dumnemu temu Polakowi, który tak dobrze grał rolę niewinnego i obojętnego!!

W chwili, gdy Gerardi mówił o Polaku, Konrad przebił się przez tłum i ukazał oczom wszystkich... Kawaler Gerardi poskoczył ku niemu zajądło z razu, ale widząc go spokojnym i zdziwionym tylko, obejrzał się w kółko i wstrzymał.

— Gdzie jest signora Zenobia? zawołał nieco zmieszany do Konrada; pan musisz o tym wiedzieć.

— Ja sędzę, że panbyś to raczej wiedzieć o tym powinien, odparł Polak bardzo spokojnie.

Zanaro wzięwszy się za boki, zaczął serdecznie

się śmiać... Gerardi wybuchł nowym gniewem i przyskorzył do niego.

— Ty! ty mi odpowiesz za wszystkich!

Niektórzy z otaczających poczynali się śmiać także, co nadzwyczaj jątrzyło małego garbusa, niewiedzącego już co począć. Zwrócił się znnowu do Polaka.

— Gdzie jest signora Zenobia?

— Bardzo mi przykro, że panu na to odpowiedzieć nie umiem; ale z jakiego powodu sądzisz pan, że ja o tém wiedzieć mogę lub powinienem?

— Wszystkie pozory są na pana! oddalenie się jego... tajemnicze poróżnienia!

— Moje? kiedy? z kim? spytał Konrad.

— Oszalał! wołała tynezasem gospodyni—oszalał! A czemuś kobiety nie umiał pilnować! ha! stary sopranisto, którego za stróża dają pannom dojrziałym! Czemu swego obowiązku nie pełnisz jak należy, chodząc pod patykkiem swój belli?

— Ta kobieta mnie znieważa! krzyknął porywając się do szpady, której nie miał u boku Gerardi.

Magdusia powtórzyła jego ruch, szukając niby także szpady u swego boku, i stając w gotowości do pojedynku... Śmiech homeryczny rozległ się do koła.

Principe del Ponte-Vecchio, który mileząco przypatrywał się téj scenie, widząc, że przyjaciel jego Gerardi o mało nie dostaje konwulsyj, ujął go za rękę powoli i odprowadził na bok, starając się uspokoić, szepejąc mu coś do ucha.

W istocie Gerardi usłuchał jego rady, i z wolna z nim razem wysunął się z téj kupy ludzi, widocznie bardzo dla niego nieprzyjaźnie usposobionój.

Zanaro stał jeszcze w komiezućj swój postawie

obrażonego na honorze człowieka, z dumą znoszącego obelgę, która go dotknąć nie mogła... Magdusia szydziła, jejmość za ich dwoje się gniewała, słudzy żartowali i śnieli się.

— Na Boga, cóż się stało? czego chciał odemnie ten człowiek? zapytał Konrad; co to jest? co to znaczy?..

— Eccellenza! zawołał patetycznie oberżysta, to znaczy, że signor cavaliere Gerardi jest szalona palka, i że ludzie zawsze są niewdzięczni, a sami będąc winni, grzech swój na cudze radzi zwałają barki... Signora Zenobia Bocatorta znikła; posądzano pana, żeś ją uprowadził, bo pana jednego brakło. Znikła nie tylko osobą swą, ale z garderobą, cekinami i całym nieniem, należącym po części pono do wysłańca i szkatuły jego cesarskiej mości. Interes brzydki! ohydny, a do tego niebezpieczny. Lecz, że się to trafiło na terytoryum najjaśniejszej Rzeczypospolitej, nie idzie za tem, by cesarz wydał nam wojnę... Kawaler Gerardi sopranista, jak moja żona powiada dowcipnie, dodany za stróża, źle spełniał swe obowiązki; dał się, Cerberem będąc, uwieść słodkim słówkom panienki, pozwalał jej samej jeździć, kędy się podobalo... Zaszły zapewne znajomości, i ktoś, co sopranem nie śpiewał nigdy, porwał jejmościankę i uwiózł... kędy? to wiedzą tylko gwiazdy przyświecające ich podróży.

To mówiąc, Zanaro chytrze się uśmiechał; znać było, że w tej ucieczce, która z tłomokami tak cicho się spełniła, i on udział mieć musiał potajemny, ale zapłacony, mileżał.

Najmniej Gerardi posądział księcia di Ponte-Vechio, a przecież... co znaczył bilecik przy stole?

Z drugiej strony, jakim sposobem, gdy Zenobia znikła, ów książę spokojny pozostał i towarzyszył jako pocieszyciel obżałowanemu kawalerowi?

Były to tajemnice weneckie, intrygom oacych czasów i tego miejsca właściwe, których Konrad w prostocie ducha ani się nawet siłił odgadywać.

Posłano po farmaceutę i cyrulika, aby przerażonego kawalera uspokoił lekarstwami, a według metody włoskiej i krwi mu przelewszystkiem npuścił. Nikt tak starannie nie chodził około nieszczęśliwego, jak ów zaeny książę di Ponte-Vecchio, który sam go wyręczył w porożysłaniu depesz, kuryerów, doniesień i nie położył się spać, aż ujrzał nieco uspokojonego posła cesarskiego teatrów, błogim snem po małej dozie opium odpoczywającego.

Naówczas rzuceno łlomoczek jego do gondoli. Zannaro odprowadził do brzegu; widziano, jak coś chował do kieszeni — a zręczni wiosłarze popędzili przez Canal Grande i mniejsze nliczki wodne w jakiś ciemny z nim zakątek.

Mówiono, że nazajtrrz przez Padwę przejechało bardzo szczęśliwych młodych ludzi dwoje, których śmiechy wesołe slychać było na staję od wiozącego ich weturyna.

Ale przebudzenie kawalera Gerardego było nader smutne. Spał wprawdzie blisko do południa ciężkim snem zmorzony; lecz gdy oczy otworzył, pierwszą rzeczą, którą ujrzał, były depesze i listy powyprawiane, jak sądził, spokojnie na stole leżące. Służący, którego zawołał, domagając się swego przyjaciela księcia di Ponte-Vecchio, oznajmił mu, że ów książę jeszcze wczoraj wieczorem niewiadomo dokąd odpłynął, list tylko zostawiwszy. Rzucił się na to jed-

no cheiwie Gerardi, ale jakże okrutnie zdziwić się musiał, czytając w liście:

„Najszanowniejszy Paule!

„Signera Zerbina Peccatora i ja, składamy ci naj-
powinniejsze dzięki za wszelkie ułatwienia, jakie nie-
zręcznością swą i łatwowiernością ustrząsnęliśmy nam
do podróży. Zaopatrzeni szczerze w pieniądze,
garderobę, potrzebne papiery, udajemy się razem spę-
dzić wesoło kilka miesięcy czasu tam, gdzie nas naj-
dłuższa ręka wasza doścignąć nie potrafi.

„Uchybiłbym sobie i Waszój Ekscellencyi, gdybym
zawdzięczając Jęgo zaufanie dla mnie, nie przyznał
nam się, iż tytuł księcia nosiłem tylko na scenie;
w życiu zaś powszedniem byłem i jestem *primo in-
morato*, chudym pacholkiem i szczerym signory Ze-
nobii wielbicielem, w chwilach, gdy innych wielbiciele
nie miewa.

„Racz wasza Ekscellencya przyjąć od nas obojga
zapewnienie szczerzej wdzięczności i wysokiego sza-
cunku, z jakim i t. d.

Paolo Gaetani,

pospolicie zwany

Porera Canaglia,

artysta dramatyczny.“

Po przeczytaniu tego listu, musiano raz jeszcze
wczuwać cyrulika, aby kawalerowi misę krwi popsu-
tęj upuścić. Panowało bowiem naówczas we Wło-
szech i trwa poniekąd do dziś dnia przekonanie, iż
wszystko złe z człowieka z krwią odchodzi.

Zanaro, którego zupełna niewinność ku wieczoro-
wi była dowiedziona, przebaczywszy winy porywcze-

mu kawalerowi, pilnie strzegł jego łóża. Oderwał się jednak od niego na chwilę piątego dnia, aby odwiedzić nieco smutnego Konrada, który zamyślony chodził po swym pokoju, poglądając kiedy niekiedy na stojącego w kącie z nosem spuszczenym biednego Maćka.

Wszedł, mimo olbrzymiego ciężaru, jaki na sobie dźwigał, na paluszkach, drzwi zauknął po cichu, jakby były watomane, odehrzał miękko i łagodnie, aby nie nastraszyć, a gdy wzrok Konrada padł nań, znalazł na twarzy wyraz ujmującej słodyczy i łagodności.

— Mógłbyś zapytać o zdrowie? rzekł z melodyjną intonacją gospodarz. Wasza ekscellenco wydajesz mi się zadumany, smętny! nie mógłbym spytać o pobudki tej posępności, na którą, spodziewam się, wesola nie zasłużyła Wencya?

Konrad popatrzał nań długo, a przez ciąg tego wpatrywania się, Zanaro starał się wydawać akşamitum, aby wzrok gościa spłynął po nim, jak najmielsze zostawiając wrażenie.

— Nie spodziewam się, rzekł Zanaro, rękę kładąc na sercu, śpiewnym głosem, szukającym drogi do duszy, że zdołam na wasze zaufanie zasłużyć, najszlachetniejszy panie; ale gdybyś mi chciał otworzyć głębi serca twojego, jeżeli się nie mylę zranionego, możeby biedny Zanaro znalazł jakie na utrapienie lekarstwo?

— Zkądże wnosicie, że mam utrapienie? spytał Konrad.

— Oblicze waszej ekscellency, nieprzywykłe do tajenia uczuć, które wewnątrz się zakradły, zdradza niepokój. Gdybym śmiał odgadywać jako człowiek

doświadczony, a wziął na wagę wick wasz, gotów-
bym się domyślić nawet, iż niepokoju przyczyną jest
ładna twarzyczka kobieca. — A co, *non è vero?*

Konrad się uśmiechnął poważnie.

— Kochany panie Zanaro, rzekł: wy w swoim
kraju przywykliście do łatwych i płochych miłostek;
my tylko do poważnego kochania raz w życiu!

— Tém-ci gorzej, odparł Zanaro: co u nas jest
chorobą lekką, u was grozi śmiercią. Tém-ci gorzej;
potrzeba prędkiego i skutecznego ratunku.

— Ale ja nie jestem wcale zakochany, mówił
dalej Konrad.

— Szebotnicy także, wedle opinii powszechnéj, nie
czują się nigdy dogorywającymi, na godzinę nawet
przed zgonem.

— Ponieważ chcecie mi radzić, a ludzi znacie do-
bre, radźcie signor Zanaro.

Gospodarz w tył założywszy ręce, dyskretnie na
palcach się zbliżył, nastawiając ucha.

— Płynąc do Wenecyi na statku „Padre Antonio,”
rzekł Konrad, poznałem w istocie piękną i zajmującą
córkę kapitana Zenona.

— Cazite! anielską Cazite! kręcąc głową, rzekł
zamyśloni widocznie gospodarz.

— Zaproszony byłem zaraz do nich na Lido; a że
ryba, którą mnie częstować chcieli, nie nadeszła,
mam drugie na dziś zaprosiny. Widzieliśmy się raz
jeszcze i mówiliśmy z sobą na placu Św. Marka.
Oto wszystkie grzechy moje. Signora Cazita podo-
bała mi się bardzo; ale my Polacy nie zwykli-
śmy, nawet gdy kobieta serce nam porwie, zdawać
się jej na łaskę. Jesteśmy żołnierze, walczymy do
końca.

— Z kobietą nawet? spytał zdumiony gospodarz

— Nie, z sercem własném, rzekł Konrad. Signora Cazità podobała mi się, powtarzam, ale to młodzieńcze uczucie, to kwiat, z którego może nie będzie owocu.

Na te słowa signor Zanaro ręką sobie usta zatulił i poczał nie wiedzieć czego prychnąć. Konrad poważny nie zważał na ten śmiech niewczesny.

— Wyznaję, mówił dalej: że bliżej i lepiej chciałbym poznać córkę kapitana... Tymczasem dowiaduję się, że ciotka jej chce ją wydać za jakiegoś krewniaka, który mi już grozi żelazem, jeśli się do niej zbliżyć będę starał. Krewny ten...

— Zowie się Sabrone! dorzucił Zanaro.

— Z jednąj strony—rzekł Konrad—jestem z tego narodu, który niebezpieczeństwy przynęca się, nie odstrasza; z drugiej, nie chciałbym nikomu czynić przykrości i wstrętu, sam nie będąc pewien, czy to, co mi się wydaje miłością, nie jest płochym głowy zawrotem... Cóż mi radzicie signor Zanaro?

— Żelazo jest ostre, rzekł gospodarz, oczy niewście przeszywające, ale miłość jest potrzebą i darem bożym. Z tym Sabronem mogłyby zajść nklady pewne, w najgorszym razie; Sabrone nie jest nieśmiertelny...

Gospodarz chrząknął, dając do zrozumienia to, czego Polak przypuścić nawet nie umiał.

— Mam więc pojechać na rybę, czy pięknym listem się wymówić?

— Piękny list jest czasem wybornym posłem i doskonałym w sprawach serca pośrednikiem, ale... oczy

mówią lepiej jeszcze... Sabrone może o téj wyprawie nie wiedzieć.

— Zdaje mi się, że o niej wie.

— Delikatna materya? spytał Zanaro; co mówi serce?

— Iść, bądź co bądź!.. zawołał Konrad. Toż samo mówi mi szabla u boku, a tém szlachetném żelazem, kochany panie Zanaro, mogę ściąć najmocniej na karku siedzącą głowę... Dało ono tego dowody, i dłoń, co je trzyma, także.

Zanaro kwaśno na szablę brzęczącą w pochwach szerokich popatrzał.

— A znacie wy prawa nasze? zapytał.

— Nie dobędę szabli nieprzynuszonej do tego, ale jej nie schowam suchéj. Pijaczka jest, i lubi krew ludzką.

— Smutne przypuszczenia, niedorzeczne, rzekłbym... odezwał się Zanaro,—gdybyś nie wasza excellencya występował z niemi. Do tego nie przyjdzie. Na rybę pojedziesz wasza wielmożność i ości nie połkniesz, spodziewam się. Znam Sabronego, wiem gdzie staje, gdy do miasta przy pływa, uprzedzę go, lub zatrzymam.

— Nie, powiedz mu wpan tylko, dodał Konrad—że krzywdy jego krewnéj ani myślą, ani wejrzeniem nie uczynię, a sobie też wyrządzić jej nie dam. Odstręczać jej od niego nie chcę, niech lepiej płynie ze mną. Poszlę cię po niego.

Zanaro spojrzał na szlachetnego młodzieńca, skłonił się i wyszedł powoli.

W pół godziny wszedł wiodąc z sobą owego przystojnego nieznajomego, co się jako Sabrone na placu Ś. Marka Konradowi przedstawił.

Lippi podał mu rękę, którą tamten przyjąć i ścisnąć z razi się wzdragał.

— Signor Sabrone, rzekł: jestem zaproszony na Lido; nie chcąc być niegrzecznym, popłynę, ale proszę was na świadka rozmowy i współzawodnika. Jedźmy razem.

Włoch był pochmurny.

— Po co? zawołał; nowi ludzie w oczach kobiet zawsze są lepsi od starych... Nie chcąc nawet, bala mucić ją będziecie.

— Za jakże płochą ją macie'!

— Masz słuszność, winienem, jedźmy! odparł żywo Sabrone; służę wam...

Nie mówiąc do siebie słowa, siedli razem do gondoli. Dzień był wietrzny, woda nawet w zacisznym kanale dąsała się i rzucała, łódka z nią skakała, srebrnemi obrzucana bryzgi; ale słońce świeciło jasno, wesole... Konrad muskał wąsa, Sabrone patrzył nań i chwycił się za pas co chwila, źle mu jakoś było.

Dobili nareszcie do brzegu, przyciągniono łódź, wyskoczyli oba.

Z okna domku dawno już widać było główkę zlocistemi włosy okrytą i parę czarnych ocząt na anielskiej błyszczących twarzyczce, która zdawała się to kryć, to znów ciekawie wyglądać. Dwie białe małeńkie dłonie podniosły się do góry... i uderzyły jedna o drugą... znikła...

W progu domku powitał ich kapitan w wykwintnym stroju marynarza włoskiego owych czasów, z dosyć wesółm obliczem; ale gdy poznał zbliżającego się Sabronego, zasępił się nieco... Podał sobie rękę w milezeniu... Ciocia Anunziata z patelnią w dłoni wyjrzała oknem, zobaczyła niespodzianego gościa

i głośno śpiewać poczęła. Cazyty długo nie było widać.

W najparadniejszym pokoju nakryto już było do stołu, stały oplatane flaszki, śliczne murańskie kielichy z kręconego dwukolorowego szkła, talerze fajansowe malowane, dzban z wodą, cytryny i *frutti di mare*.

Kapitan zawołał Cazytę, która wyszła poważna, ale widocznie nadąsana, spojrzała na kuzynka pogardliwie, na Polaka gniewnie, na ojca podejrzliwie, główką im skinęła i przy oknie usiadła, nie znalazłszy nic lepszego do czynienia, patrząc sobie na dalekie morze.

Sabrone najodważniejszy, pierwszy się do niej przybliżył.

— Cóż to pięknej kuzynce? spytał: czy nie moja przytomność taką chmurą pokrywa jej twarzyczkę?

— Moglibyście być prorokiem, tak doskonale zgadujecie, szepnęła mu po eichu.

— Ale ja mam wymówkę... Signor Polacco, którego przypadkiem poznałem na placu Ś. Marka właśnie tego samego wieczoru, gdyście go tak miłą upoił rozmową, sam mnie zaprosił na rybę cioci Anunziaty...

— A! a! ozwało się dziewecę. Moglibyście wyśmienicie pójść na rybę do kuchni... Ciocię Anunziatę tam zastaniecie nad patelnią, będzie wam lepij rada może niż ja...

Posłuszny, choć z gniewem na twarzy, Sabrone skłonił się i poszedł do kuchni, wprost do cioci Anunziaty.

Z kuchni daleko rozchodził się i zapach smażeńi-

ny i głos stariej poszciewej kobiety, która chciała nócić, tak była w dobrym humorze.

W progu spotkała swojego nłubieńca śmiechem i dygiem.

— Antonio! jakiześ ty rozumny! czy cię patron twój natchnął, żeś dziś właśnie tu przybył?

— Nie, ten Polak przywiózł mnie z sobą.

— Polak? spytała: znasz go?

— Zanaro mi go pokazał, trochęśmy już pogadali z sobą... dodał, uśmiechając się znacząco — znalazł on bezpieczniejszym mieć mnie za świadka...

Ciotka zamysliła się, pokręciła głową.

— No, to się wiem czego obawiać! rzekła, — a bylam w strachu! przyznaję ci się. Jakże cię przyjęła? spytała po chwili.

— Jak zawsze... jak psa... ciociu Anunziato.

— Najlepszy znak! rzekła stara.

— I odprawiła mnie precz do knebni.

— Nie lepszego! zawołała Anunziata. tyś młokos. Z tych małżeństw łatwych a gorących zawsze prawie biedy i nieszczęścia; trwałe przywiązanie rodzi się tylko z klótni. Ja mojemu nieboszczykowi takem nieraz podrapała twarz... do krwi... a wierząc mi, pokochałam go potem szczerze...

Sabrone się uśmiechał... Ciocia Anunziata krzątała się około ryby.

— Chciałem Polaka nastraszyć nożem, rzekł cicho; ale to mi się nie udało. Zanaro powiada, że mu się zwierzył, iż jedném cięciem swój szabli lby ścina.

— Polacy są bitnym narodem, to pewna, rzekła ciotka; alem nigdy nie słyszała, żeby głowy tak łatwo chrześcianon z karków stracali... zawsze potrze-

ba z nim być ostrożnie... i nie tak się znowu obawiać jego miłości. To błyskawica, co przeleci po niebie, nie zapali i zagaśnie... Dziecku się podobała nowa twarz... niech się przypatrzy, a dostrzeże, że mój Sabrone i najładniejszy, i lepiej na męża stworzony...

To mówiąc, nieco zatłuszczoną dłonią uderzyła go po twarzy.

— Przypominasz mi czasem nieboszczyka! westchnęła. Ale idźże precz, bo rybę przysmałę. Święta Panno di Salute! umarłabym ze wstydu, gdyby mi się nie udało. Idźże precz Sabrone!

Antonio zniknął za drzwiami.

Na górze po odejściu jego zaświeciła pogoda, uśmiechnęły się czarne oczęta. Kapitan nie przeszkadzał rozmowie; poszedł był po pewne stare wino, od którego sam miał klucze, bo je przed laty sześciu przywiózł był sam z Grecyi i strzegł jak oka w głowie...

— Po coście mi przywieźli Antonia? spytało dziewczę.

— Ażeby nie myślał, że się boję z tém, co tu czynię i mówię.

— Ależ powinniście wiedzieć lub domyślić się, że ja go nie lubię.

— Za co, signoro Cazito?

— Za co? ale za to, że mi go ciocia Anunziata stręczy na męża, a ja męża ehczę sobie wybierać sama.... Mówiłam to ojeu dawno, a ojciec dobrze wie o tém. Przytém Sabrone mnie kochać nie może; ja wiem tylko czemu...

Zamilkła, patrząc na morze...

— Powiedz mi pan, spytała po chwili, zmieniając rozmowę: to morze, które wyrzuca śliczne owe kamy-

ki, złociste, z jakich się składa mój różaniec, jestże tak piękne jak nasze?

— Jam je raz widział tylko, odparł Konrad: nie mamy go jak wy wiele; w jedném miejscu brzegu wykrawek. Mówią, że dawniej mieliśmy drugiego brzeżek... Nasze morza nie mają lazurowych barw ani błysków Adryatyku, bo u nas inaczej świeci słońce i inne niebiosa zasklepione są nad ziemią.

— A powiedzcież mi, bom bardzo ciekawa, jak wygląda ta ziemia wasza? Prawdaż to, jak mówi ciocia Anunziata, że straszne okrywają ją puszcze, że pełno w nich potworów dzikich, że lasy szumią straszliwie, a w lecie, gdy nimi wiatr kołysze, trąc gałęzie, zapalają się, i naówczas pożarem płoną przestrzenie niezmierne, a ludzie i zwierzęta giną w płomieniach?

Konrad się uśmiechnął smutnie.

— Nigdy o niczem podobnem nie słyszał, rzekł. Palą się puszcze, ale w nich człowiek, ani zwierzę żaden jeszcze życia nie stracił. Te lasy nasze są piękne, zielone, wonne, a wyglądają jak szerokie ogrody szmaragdowemi poprzerywane łąkami. Płyną śródkiem srebrne rzeki i mruczą cicho, lata ptactwo wesołe z piosnką na dzióbku. Cicho na tamtej ziemi... a z lasów wyszedłszy, to złoty łan pszenicy lub żyta jak fala się kołysze. Niejeden raz żyła nim i Wenecya głodna.

— A macie piękne kwiaty? spytało dziewczę.

— Cudowne! wonne, śliczne, mówił Konrad. Prawda, że na kilka miesięcy w roku natura u nas zasypia, śnieg okrywa wszystko jakby białym rąbkiem jednym. Naówczas zamiast liści, drzewa się stroją w brylantowe perły zamarzłej wody, rzeki

okrywa lód zielonawy, ptactwo odlatuje, zwierz zasypia w norach; człowiek tylko czuwa, czekając wiosny. Ale jakże cudna ta wiosna, gdy jej godzina wybije! Jednego poranka wiatr ściąga z niebios szarą chmurę zimową, odsłaniają się błękity, słońce z za nich wygląda obmyte, dyamentowe, śniegi w potokach zbiegają z gór i uciekają oplókując rdze zimy, myjąc łąki, rzeźwiąc ziemię uśpioną; tryska z niej w oczach zieloność, kwiaty otwierają się nie czekając na liście, tak im śpieszno wiosnę powitać; drzewa pękają, powietrze wonią życia się przejmując i ptactwo stadami powraca. Nie zna wiosny, kto jej u nas na północy nie widział; u was ona przychodzi leniwo, i już jest zeschła i gorąca, gdy ledwie świtać poczyną. Nasza płaci nam miesiące ciemności i ciszy.

— Ale możecież wy żyć, nie słysząc szumu fał, nie patrząc na morze? spytało dziewczę. Nie tęsknicież wy do tego głosu bożego, który mówi do nas przez rozhukane wody i ciszę morską?

— U nas odzywa się On szumem lasów i półszaleństwem, niebem i chmurami, a drobne rzeczulki nasze gwarzą też małym głosem o tym samym wielkim Begu!

Cazita spojrzała na leńiące fale Adryatyku.

— Zdaje się, rzekła po cichu, że jabym nigdzie indziej niż tu żyć i oddychać nie mogła. Czyż upaja i rzeźwi tyle powietrze wasze, jak te słonych wód wyziewy?

— Mnie, odpowiedział Konrad, patrząc na nią— nawet tu tęskno do naszych borów i zapachu świeżej roli, podobnego do woni jakby świeżo upieczonego chleba... Ja tu nawet śnię o zieleni, o kwiatach i o szerokich polach...

— Tak! to musi tak być! odparła smutnie dziewczyna: każdemu to najmiłsze, co tuliło jego dzieciństwo, co rozkołysało młodość. Nie! nie! jabym umarła, gdyby mi Adryatyk pacierz swój wiekuisty do serca podawać przestał.

I spuściła głowę mileżąca.

— A wy? zapytała po chwili.

— Ja nie wiem, rzekł Konrad.

— Wyście przecie dziecko Wenecyi i brzegów tego morza.

— Tak, ale wykołysane w lasach i u cichych brzegów jeziora... a wiercie mi, szumu i plusku jego wód słodkich nigdy uszy nie zapomną.

— Nawet tu nad Adryatykiem? pytało dziewczę.

— Nawet tu, przy oczach twoich, odparł żywo, zrywając się z siedzenia Konrad, bo mu stanął w pamięci nagle jego dwór stary, wizerunek ojca i matki, gdakanie zegaru, co im policzył godziny życia, i szum drzew ogrodowych, i dźwięk kaplicznego dzwonka, i chrapliwy a serdeczny głos starego Dalifura, i szczerkanie nawet podwórzowego przyjaciela domu, który poważnie swej straży powierzone państwo całą noc obchodził, warcząc a niekiedy nawołując.

Gdy błyskiem przeleciało mu to wspomnienie po głowie, a potem obejrzał się dokoła i zobaczył twarz dziewczęcia promienną, sine morze, gałąź winną w oknie, a kapitana z butelką i kluczami w rękach, ciotkę Anunziatę z półmiskiem ryby wchodzącą tryumfalnie, i Antoniego Sabronego, który jej towarzyszył— zdało mu się, że marzy we śnie.

Dwa te światy tak były różne, tak od siebie dalekie, tak mu się zdały nieprzejednanymi i niepogodzo-

nemi, że nawet wejrzenie czarnych oczu Cazīty nie spoiło ich z sobą.

Łza stoczyła się z pod męzkiej jego powieki... Wszyscy ją dojrzeni, bo nie krył się z tą świętą rosą serca.

— Co ci tę łzę wycisnęło? spytał Zeno.

— Wspomnienie mojej ziemi, rzekł Konrad.

Długie nastąpiło milczenie. Cazīta patrzyła w niego jak w tęczę; jeszcze jak żywa, nie widziała nigdy płaczącego mężczyzny, sama nie widziała, czemu serce jej biło, i nie umiała sobie wytłómaczyć, dla czego z tą łzą wydał się jej silniejszym, większym, prawie świętym. Wszystka płocha zalotność uleciała na tej łzie gdzieś daleko; stała się nagle poważną i zamyśloną. Sabrone, ciocia, wszyscy prócz kapitana Zenona wydali się jej karłami przy tym człowieku, co się zapłakać nie wstydził, co kochać umiał... martwą ziemię aż do żywej łzy.

— Ciotko Anunziato, szepnął jej na ucho Sabrone: albo ja mu *cottellatę* sprawię, albo mi on leć utnie, bo Cazītę mi pochwycił... spojrzenie na nią...

W istocie, oczy dziewczęcia wpatrzone w niego jak w obraz cudowny, ogniem niewyciężonym pałały... Sabrone uczuł dreszcz przechodzący mu po ciele...

— Cicho! zawołała Anunziata: nie bądź głupi! Wszystkie młodych dziewcząt oczy tak są mówiące jak i te. Giulia nie ma domku na Lido, ale ma dobrego kawala ziemi około Belluna i winnice, i zakopanego coś grosza, a ja cię z nią tak pewne ożenię, jak że żyję... i będziesz szczęśliwy... Cazīta krwi chrześcijańskiej niewarta, jeśli się na tobie poznać nie umiała.

Gdy tak szepczą, kapitan nalał wina i wypił zdro-

wie gościa. Sabrone kieliszek pełny postawił przed sobą gniewny i tknąć go nie chciał; okiem wyzywającym zmierzył Konrada. On mu się uśmiechnął tylko, póki dziwny miał w duszy...

— Antonio! szepnęła ciotka trącając go łokciem: wypij głupcze, lub się pogniewamy; pogorszasz sprawę.

Posłuszny Sabrone chwycił szkło, połknął napój, ale zarazem w białych zębach zgniótł cienki wyrób mrański...

To zgrzytnięcie obudziło uwagę kapitana.

— O! o! psujesz mnie kieliszki a sobie zęby, rzekł śmiejąc się. Nie tak ogniście, kuzynku Sabrone...

Cazità na niego spojrzała i zarumieniła się.

— A czemuż teraz moje wypijesz zdrowie? zapytała...

— Niewiele dbacie pewnie, czy ja je wypiję, odparł chmurno Antonio...

— Owszem, bardzo.

Anunziata trąciła go łokciem...

— Pij, czemu chcesz.

Antonio poszedł po rozum do głowy, oczyma szukał dokola, nie wiedział czemu się wyratować.

— Signore Antonio, śmiejąc się zawołał Polak: u nas często piją kobiet zdrowie, ale my go też kielichami nie pijamy, jest zwyczaj inny...

— Czemuż? spytała Cazità.

— Nie będzicie się gniewali? i pozwolicie mi je tak spełnić jak u nas, jeśli odkryję tajemnicę? spytał Konrad.

— Cóż to być może takiego?

Kapitan poglądał niespokojny...

— Pani, rzekł Konrad, nie obrażaj się obcym zwyczajem... u nas, zdejmują kobiecie trzewik z nóg i ten za kielich nam służy.

Kobiety krzyknęły zawstydzone... Antonio mruczał, kapitan się śmiał dobrodusznie.

— Po starszeństwie, rzekł: ciociu Annunziato dawaj trzewik, wychylimy. Cazità śmiać się także zaczęła niezmiernie.

— Pierwszy co wychyli trzewik cioci, będzie naturalnie winowajcą Antonio.

Antonio cały pokraśniał. Myśl wychylenia dosyć sporego i dobrze zachodzonego trzewika cioci Annunziaty, mimo przywiązania do niej, wcale mu się nie uśnicchala... Cazità plaskala w rączki.

— Ciocin! wołała: dawaj nam swój trzewik.

Stara prawie się już gniewać poczyniała, ale kapitan pogodził wszystkich, skoczywszy do szafy i niosąc z niej kubek srebrny stary, który za zdrowie kobiet napelniał i podał kuzynowi.

— Spróbuj-no na nim zębów, rzekł; a zobaczymy, czy ci przyśnie w niego jak pierwszy...

Rozweseliły się jakoś twarze, zgodniej nderzyły serca, i weselsza dalej szła skromna neztą po większej części z ryb i jarzyn złożona. Rozmowa zwróciła się ku Wenecyi, jej wspomnieniom, potem z Antonim przeleciała na ląd stały... Konrad i Cazità najniżej się do niej przyczyniali: ona była zadumana, jakby już z siebie zrobiła ofiarę; on spokojny, jakby z tą łżą wielki ciężar z serca mu spłynął.

Antonio pośepny siedział podparłszy się łokciami, a niekiedy z pod czarnej brwi błysnął białkiem oka zapaleczywie to na Cazitę poglądając, to na Konrada.

Ciotka Anunziata właśnie wychodziła po drugi do kuchni półmisek, nie chcąc nikomu powierzyć nrządzenia ostatecznego swęj smaženiny, gdy Sabrone porwał się pod pozorem, że jęj chce dopomóđz i za nią zbiegł do kuchenki.

— Nie! zawołał: ja tego nie wytrzymam; ten człowiek i ta kobieta w oczy bezwstydnie szydzą ze mnie; ja się muszę na nich pomścić, ciociu Anunziato!

— Głupiś, kochany Sabrone! zemsta twoja poprowadzić cię może, co najdalej pod pałac Dożów, do czerwonego słupa. Pluń na głupią dziewczynę; dam ci Giulie... Giulia nie jest tak delikatna, ale jęj z oczu patrzy, że gdy pokocha, da życie za swego kochanka i męża.

— Ale i ta może mnie nie zechce? rzekł smutnie Antonio.

Ciocia uderzyła go po ramieniu.

— Nie masz chyba oczu; tałam przed tobą, chcąc ci dać Cazitę, ale Giulia szaleje dla ciebie.

Antonio zapłonał cały, porwał rękę ciotki.

— Doprawdy! A! więc się pomszczę na tęg wzgardliwęg dziewczynie, jutro się oświadcę, zapłacę co zechcę, a ślub będzie w niedzielę, i was poproszę!... Cazitą pozna co straciła...

Ciotka kręciła głową.

— Niedosyć na tęg, zawołał Antonio: ja na tym nienłęknionym Polaku także zemsty jakięjs szukać muszę, ja mu nie przebaczę... On bałamuci dziewczę, ale się z niem pewnie ożenić nie myśli, potrzeba go wpędzić...

Anunziata spojrzala.

— Czy to będzie zemsta? spytała.

— Godna Wenecyanina... tamten się bierze na szlachetność wielką, otoż i my potrafimy się odegrać.

Pokreślił wasa, ale ryba się przypalać zaczęła, i ciotka nie chcąc go słuchać, pobiegła do swęj patelni z krzykiem łajac kuzynka, że jęj przeszkadza. Sabrone nie czekając reszty, bo wiedział z doświadczenia jak niebezpiecznie jest kobietom przeszkadzać w wielkich zajęciach nroczystych dni życia, powoli zadumany powrócił na górę.

Srebrny kubek na pół opróżniony stał przed nim, kapitan zachęcał do wypicia.

— Wypilbym, rzekł Antonio, — gdyby tak jakie dobre trafiło się zdrowie.

— Naprzykład?...

— Szukam właśnie, mówił z wolna Sabrone: zdrowie kuzynki Cazity piję codzień, nawet wodę do ust przytknąwszy, bo mi jęj piękne oczy z myśli nie wychodzą; wasze panie kapitanie także dla mnie nie nowość; waszego gościa zdrowia ani choroby pić nie mam powodu, za nadto znam go mało; a ciotci Anunziaty już wychyliłem...

— Wypij pan zdrowie przyszłej narzeczonej swojej, uśmiechając się rzekła Cazità; a ja i my wszyscy wychylimy je z chęcią.

— A! zawołał Antonio do wchodzącęj właśnie ciotki z półmiskiem w ręku: słyszyecie co tu się święci? Cazità chce pić zdrowie męj narzeczonej! Nie dość, że tą narzeczoną sama być nie życzy, — przebac kapitanie Zeno, dodał, wiecie, żem się ze staraniem nie tał, — ale żartuje sobie jeszcze z odepchniętego biedaka!

Antonio uśmiechał się szydersko, mrugał ku ciotce.

— Czy ręczyście?

Zrozumiawszy o co idzie, stara dała głowę znak potakujący.

— No, więc dobrze, podchwycił Sabrone: wypijemy zdrowie narzeczonej mojej pięknej Julii... ale... zarazem twego narzeczonego, kuzynko Cazito, aby krzywdy nie było? he?

— Wiecie, że ja go nie mam.

— A! i ja przed chwilą narzeczonej nie miałem, a znalazłem przecie i nie cofnę słowa; poszukajcie i wy też narzeczonego, aby się nie wstydzić.

Cazita zapłonęła jak granat na to zuchwałe wyzwanie; obrażona była, ale spuściła oczy czarne, w których kręciła się łza, i nilezała.

Wtém Konrad wstał, wziął za rękę kapitana Zenona i rzekł głośno:

— Kapitanie, signorino Cazita, przyjmujecie mnie za narzeczonego?

Cichość jakby anioł przeleciał, panowała chwilę. Cazita oczy podniosła łzawo na Konrada. Zeno był smutny, ale ścisnął dłoń jego i nie przeciwił się... Konradowi głos zadrżał; czuł, że stawiał w tej chwili los całego życia na głowę dziewczęcia, ale zarazem, że to było nieuchronnem.

Cazita nilezała jeszcze, Konrad przyklęknął.

— Przyjmujecie mnie?

Podala mu rękę patrząc na ojca... Zeno nileząc także głowę pochylił.

— Kuzynie Sabrone, pijże zdrowie narzeczonego Cazity! zawołał Konrad.

— I niech Bóg błogosławił niech Bóg błogosławił! dezwiał się głos od progu, w którym niespodzianie pokazał się stary Kapucyn. Ale dajcież i mnie kieliicha, dodał wesoło.

To niespodziewane oświadczenie, przyjęcie, błogosławieństwo nawet przebywające tak w porę, wszystkich jakoś przestraszyło. Stało się to nie wiedzieć jakim sposobem, i przed chwilą nikt o tém nie myślał, niktby tego nie przypuszczał. Konrad dziwił się swęj odwadze, Cazitą swojej śmiałości, ojciec wewnętrznemu głosowi, który mu podyktował zgodę, Antonio sam nie pojmował, jak tego dokazał, i chmurny był z téj zemsty, którą szczęście dwojga ludzi zapewnił. Ciotka stała osłupiała, a ryba stygła.

Kapucyn jeden wychyliwszy kielich, pobłogosławiwszy narzeczonych, nie tracił czasu i wziął się do ryby.

Nikommu się też jeść już nie chciało.

Konrad drżąc, zdjął kosztowny pierścień matki z palca, i zbliżył się do zaplonionego dziewczęcia.

— Pauli moja, rzekł poważnie: ten pierścień zaręczał dziada mojego i ojca, matka nosiła go do śmierci, przekazała mi go umierając. Niechaj on nas zaręczy w imię tych cuot domowych, których był świadkiem. Ojciec Serafinie! pobłogosławcie raz jeszcze.

Cazitą zdjęła też obrączkę z palca.

— Jest to skromny pierścionek matki mój także, rzekła,—tęj, po której dotąd ojciec mój płacze. Na progu nowego życia mieniamy wspomnienia rodziców.

To mówiąc, oddała mu obrączkę i poszła rzucić się w ramiona ojcu, który płakać począł. Serafin mruzczał modlitwę. Antonio poglądał z kąta, ręce złożwszy na piersiach.

— Al! gdybym była wiedziała, na co tę rybę smażyć, szepnęła ciotka Annunziata,—i co ten głupi Antonio zrobi... wolałabym ją była przypalić.

Późno w noc Konrad sam jeden w gondoli rozmyślając, wracał do Maltańskiego Krzyża. Był szczęśliwy, a jednak niepokój jakiś serce mu przygniałał. Wspomnienia kraju, domu, łzy Cazyty wylane na samo przypuszczenie opuszczenia Wenecyi, troskami go poily o przyszłość. Spędził błogosławionych kilka godzin życia, mówił z nią poufale, chodzili długo razem z sobą nad brzegiem morza, i nikt im teraz nie brocił dłużej sam na sam rozmowy. Cazyta przyznała mu się, że go kochała z każdą godziną więcej; on jej, że od pierwszego wejrzenia poczuł się niewolnikiem... ale ilekroć chcieli mówić o dalszej przyszłości, zamierały im słowa na ustach. On nie pojmował życia, tylko na swojej ziemi; ona nie rozumiała szczęścia, tylko u brzegów Adryatyku. Kapitan Zeno słuchać nawet nie chciał o tém, by mu jedyną, ukochaną jego córkę pochwycić miano, i uwięzić gdzieś za góry, w północne chmury i śniegi.

Konrad nie wiedział co uczyni; nakoniec pomyślał: „Co Bóg sam począł, niech kończy.”

I zatopił się w marzeniach o śliczném dziewczęciu, które zapowiedziało, że na niego oczekiwać będzie, i że razem dzień spędzą cały.

Niecznajomi sobie prawie a narzeczeni, tyle do mówienia mieli.

Naostatek łódka przybiła do brzegu. Kruczkiem przytrzymał ją stojący na kamieniach żebrak, i rękę swoją po datkę wyciągnął. Konrad rzucił mu srebrną monetę całą, i polecił do gospody.

W progu stał Zanaro ciekawy i niespokojny; ale ujrzawszy go z dobrą miną, poweselał.

— Eccelenza! bawiliście długo; wieczór być musiał wesół?

- Pówinszujecie mi, gospodarzu.
— A cóż się stało?
— Jestem zaręczony z piękną córką kapitana.
— O! a Antonio?
— Zaręczył się z ideałem jakimś, którego imię tylko dosłyszałem.
— Niepodobna!
— Tak jest.
— *Cosa stupendo! Eccellenza! Zaręczony! Byćże to może?*

I Zanaro udając szczęśliwość wielką, widocznie niezupelnie rad był wiadomości; powieść dla niego jakoś się za prędko i za nagle skończyła. Pojąć nie mógł, jak się obeszło bez intryg, przeszkód, bitew, wykradania, do którego miał dopomagać, i za które spodziewał się, że mu zapłacą, bo plan był już osnuł stosowny.

— *Cosa stupendo!* powtarzał kwaśno, przemysłając już na przód, jakby na nowo szyki pomieszać, wodę zamącić i wędkę na ryby zapuścić.

Ale tymczasem wymownem powinszowaniem, w którym gwiazdy, słońce, księżyc, Sw. Antoni Padewski i Jupiter zarazem, bogowie i anioły mieszały się w najpoufalszym stosunku, odprowadził go aż do drzwi mieszkania, śpiesząc wnet z nowiną niepomyślną do żony i córki.

Konrad wszedł, i pobożne chłopię upadło na kolana, aby się przed podróżnym obrazem Częstochowskięj Matki pomodlić.

Był to stary, na blasze złoconęj malowany obrazek, z jednéj strony Chrystusa na krzyżu, z drugieję Matkę Bożką wystawiający, który nie opuszczał nigdy jego ojca: był z nim w boju na piersiach, zgiął

się od kuli, od której go ocalił, a teraz słuchał modlitwy pierwszej narzeczonego, strwożonego szczęściem swoim.

Nie wiedział sam, jak długo trwało to nabożeństwo, gdy kilkakrotne westchnienie, w którym poznał głos Maćka, obudziło go nareszcie.

Wstał rażniej na nogi i obrócił się do chłopaka, który za progiem pokoju przechadzał się z założenymi na piersiach rękoma, widocznie smutny i jakby na kogoś oczekując. Zaledwie ujrzał swego pana wolnym poczał odehrząkiwać, dając znać, że ma coś do powiedzenia.

— No, a co ci tam Maćku? zawsze tak źle w tej Wenecyi?

— I czegożby miało być źle? odparł Węgrzynek: ono to dobrze, ale człek sobie różnie myśli.

— O czémże, Maćku?

— A o czémżeby jaśnie panie, gdyby nie o swym biedzie?

— No! o jakićjże?

— Człek zwyczajnie sierota; ta przemyśla różnie co z sobą dalej będzie robił?

— I ty więc myślisz już o przyszłości?

— A czemużby nie, proszę pana?

I stęknął, widocznie nierad, że rozmowa jakiegoś obrotu brała nie po myśli jego.

— Gdybyś ty mi, mój kochany, powiedział od razu czego chcesz, a nie wybierał się jak czajka za morze?

— Proszę jaśnie pana, schwycił się Maciek: ja bym se chciał do rzemiosła jakiego.

— Ty? do rzemiosła? gdzież? co? dla czego?

— Anoby człek chleba miał zawždy w swoim ręku.

Popatrzał na niego długo Konrad, pokręcił wśa,
coś mu się to wydało podejrzaném.

— Bałamucisz, rzekł; co do ciebie przystąpiło?

— Ale proszę jaśnie pana, co by miało przystąpić?
ino czekby się rad ratował.

— Alboż ci źle?

— A nie! uchwaj Boże!

— Czegoż stan chcesz zmieniać?

Maciek zamilkł, tylko obyczajem prostych ludzi po
głowie się raz i drugi podrapał, jakby sam na siebie
się gniewając, i znów srodze wzdyhać poczał.

— Gdybyś gadał po ludzku, tobym cię może
w końcu zrozumiał, rzekł Konrad.

Maciek schylił mu się do kolan.

— To ja jegomości kochanemu wszystko powiem.
Dalipan oszalałem za tą niegodziwą czarnobrewą szew-
cówną, bo to nie jest, jako żywo, żadna królowa ani
królowna neapolitańska.

Konrad się rozśmiał; chłopiec nabrał ducha i od-
wagi.

— Dalipan oszalałem, mówił po cichu i jakby za-
wstydzony: bo proszę pana, gadać z nią nawet nie
umiem; ale kiedy człowieka oczyma tak przewierci na
wylot, do kości, że potem oszaleć trzeba! Niech tyl-
ko stanie, uśmiechnie się i weźmie temi oczyma cis-
kać w duszę, tak i rozum się traci; choćby święty był,
toby do dna piekieł zaprowadziła.

— A po cóż chodzisz pod te oczy? hę?

— Otoż to, proszę jaśnie pana, w tém sztuka, że
od pierwszego razu, gdyby wędka, jak chwyciła, tak
już i pokoju nie ma. Człowiek się boryka, opiera,
a musi iść i tego utrapienia szukać. Już ja wiem,
że z tego cało nie wyjdę... Myślę sobie: przystanę do

szewca; niech się dzieje wola boża... to ja przecie wysłuchę. Tak wczoraj rozmyśliwszy się, poszedłem do niego. E! z razu mię przyjął mało nie pociągaczem, ale jakem go zaczął reflektować: żem terminować gotów u niego, że będę mu służył jak za Rachelę, byleby mi córkę choć obiecał przyrzec, tak się starowina rozdobruchał i powiedział, że byle pozwolenie pańskie, weźmie mnie na próbę do roboty, a potém... e! potém! ino żebyś się do domu dostał, to już ja pewien swojego... nie wykurzy mnie on niczém.

— Byłeś tylko ty sam nie uciekł! dodał Konrad.

I chciał robić uwagi chłopakowi, że zbyt pośpiesznie się rwał, nie znając dziewczyny, do żeniaczki; ale mu na myśl przyszło, że i sam lepszy nie był.

— Młody bardzo jesteś, rzekł powoli,—ale masz, lub powinieś mieć swój rozum. Ja ci w drodze nie stanę... uważaj jak lepić. Jeśli stary zechce cię wziąć na naukę, próbuj szczęścia... nie uda się, znajdziesz u mnie zawsze przytułek i chleba kawałek. Niech Bóg błogosławi... Ja cię w niewoli trzymać nie myślę.. Ale patrz,—dodał po chwili—żebyś téj swéj prędkości nie żałował potém. Czy też nie zatuskuisz po kraju, po naszćj wiosce, po jeziorze, do ludu swego, do krewnych?

Maciek się zamyślił.

— Kiedy to proszę jaśnie panie i w Biblii słyszę stoi napisano, że ezlek rzuci wszystko, a pójdzie za dziewczyną... bo takie na wiek wieków boże przykazanie.

Konrad zaczął się śmiać bardzo z tego osobliwszego wykładu Pisma Świętego, ale nie odpowiedział.

Wtém z za drzwi ukazała się twarz szewca w swi-

teczném ubraniu, który njrzawszy Maćka, trochę się zafrasował.

— A, signor Nani... jakże mi się niewacie?

Maciek podbiegł pocałować rękę starego, który dosyć go przyjął kwaśno.

— Przychodzę się tylko dowiedzieć co u was słychać, wielmożny panie? spytał stary; jak to tam idzie?

— O tém potém! zawołał Konrad; ale ja tu coś nowego się dowiaduję: wszak to waszmościna córka zbalamucila mojego chłopca?

— A! uchowaj Boże, osłuknął się szewc: całe przeciwnie, chłopiec jegomości obalamucił mi córkę... przychodzę się skarżyć.

— Sprawy téj podobno obaj nie rozsądzimy, rzekł Konrad; bo zdaje mi się, że tam równe winy z obu stron, a skutek jeden, że Maciek oszalał, i do terminu się bierze. Nie chcę mu przeszkadzać wcale; lecz zważ kochany majstrze, że to siarka nie chłopiec, a wasze rzemiosło siedzące; cóż to z niego będzie za robotnik?

— Już to proszę wielmożnego pana—odpowiedział szewc poprawiając okularów,— ja mogę za to ręczyć, że jak się dostanie w moje ręce i na naukę do mnie, to mu tę siarczystość precz wyżęnę, i będzie taki spokojny i miękki jak zęchę.

Maciek się wszakże nie uląkł już nawet groźby, wzdychał tylko, jakby mówił w duszy: „Patrz kobieto, co ja cierpię dla ciebie!“

Klepnął go po ramieniu majster.

— Ty do mnie na służbę; a żeby dystrakcyi w domu nie było, Maryetta natychmiast do Weroni do ciotki pojedzie, która jest fórtyanką u panien Franciszkanek. Zamkną ją na ten czas pod klanzurę...

Maciek znacznie z humoru spadł.

— El proszę jegomości, rzekł: a długoż to tego ma być?

— Dopóki z terminu nie wyjdiesz.

— Naprzykład?

— Różnie! rok, dwa, trzy...

Chłopiec zaczął głową kręcić.

— Widzisz Maćku, odparł Konrad: ciekaw jesteś Pisma Świętego, przypomnijże sobie ile lat za Rachelę...

— A! niech go tam i z Rachelą...

— To inaczej nie ma być, zawołał majster—i nie będzie! jak twoja wola! Myślałeś, że cię od razu jak kota... z pozwoleniem, do sadła puszczyć... O! o! nie głupim! Nie zrobiłbym ja cię szewcem i za lat dzieścię, gdybyś przy Maryecie terminował...

Maciek zamilkł.

— A cóż będzie? spytał Konrad.

— Co ma być, proszę jaśnie pana... czy to dwa lata długa rzecz? to furknąć jak skowronek, to ich i nie ma, kiedy wisieć to wisieć... słowo się rzekło...

Sklonił się do nóg Konradowi, a zawaławszy się, padł całując je.

— Tyś mi był ojcem, rzekł płacząc — pobłogosław, już inaczej być nie może...

Patrzając na tę scenę, szewczysko otarł okulary i rzekł w duchu: „Musiał to być dobre chłopię, więc wola boża...”

— Panie majstrze, oddaję go wam i proszę, bądźcie mu rodzicem łaskawym.

— Nie bójcie się, zawołał Nani, dając poufnie znak głową: nie stanie mu się krzywda, ale nowicyat szewcki odbyć musi, to darmo...

Po krótkiej rozmowie urywanój i niezbyt wesolój, Nani wyszedł, zapowiadając chłopcu, żeby pana nie opuszczał, dopóki on będzie w Wenecyi, a do Maryetty się zbyt często nie wykraadał, bo za wezasu pociągacza spróbować może.

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Maciek w smutnej postawie, kiwając głową, stanął przed panem.

— E! panie! zawołał: po co to my do Wenecyi jechali? ano i mnie, i pana... ponoś... schwyciło półdyabłą weneckie !!!

W Robninie stary Pukało jedną wydeptaną ścieżką chodził dwór przecierać, gdański zegar nakręcać o swój godzinie, i po pokojach przesuwając się milczący Zdrowański za nieboszczyków odmawiał, ale mu się tęskniło po panie!

— Gdzie się to on tam teraz obraca? mawiał z raz do Murzynowskić. Żeby go tam aniołowie stróżę prowadzili i nim się opiekowali!... Co to młode, gorące, trochę dziwaczne, a ten szalała Maciek, to mu tam tylko kłopotu przysporzy, nie ulgę sprawić może... Aby go tylko Bóg cało nazad przyprowadził!

Przyszły listy jedne i drugie, i pocieszył się stary choć tém, że z powodu moru już o podróży do Ziemi Świętćj i mowy nie było.

Pukało rad był się o Wenecyi dowiedzieć, ale krom tego co w starćj książce *Świat przejrany* znalazł, niewiele się o nićj nauczył. Prawił mu ksiądz proboszcz różne dziwy, nad któremi serce i fantazyja starca pracowały. Wzdychał i modlił się.

— Co Bóg da, będzie.

Aż tu jednym razem z Poznania przywożą mu pismo długie. Okularów pod ręką nie było, stary je na polu odebrał, a do dworu kawał i posłać nie miał kogo, bo szkła były pod kluczem, klucz przy kłódce z innemi, i powierzyć ich nie sposób.

Gorejąc od niecierpliwości Dalifur, posztykował do domu, a że proboszcza spotkał w drodze (który też bez okularów nie czytał, chyba na uszale, który na pamięć umiał), potem Murzynowską około chmielnika, wszyscy troje z tym listem zawlekli się do pokoju Pnkaly.

Nim się szuflada otworzyła, okulary dobyły, futerał sznurkiem umocowany otworzył, szkła wytarły... co to było domysłów nad długością pisma i jego treścią!!

Naostatek zasiadł tyłem do okna stary i rzucił oczyma po wszech stronicach, a napadłszy kilka wyrazów, aż krzyknął:

— Jezus Marya!

Ksiądz się zerwał, Murzynowska jęknęła.

— Na Boga! co się stało paniczowi?

— Żeni się, jak mi Bóg miły, żeni się! zawołał Dalifur; ot co!

— Gdzie? za granicą? z kimże?

— A no... Panie odpuść, z Włoszką!

Nuż od początku czytać jakoś, i we troje każdy wyraz z listu dobywać. Pismo było dość długie; w niem Konrad uwiadamył o wszystkich podróżnych przygodach. a mianowicie, iż znalazł towarzyszkę życia, młodą, piękną, do której serce jego przemówiło, i z którą już pierścienki zamienił. Prosił o mszę na intencję swoją księdza proboszcza, o wyporządzenie stosowne domu, o zakupienie potrzebnych zapasów; upewniał, że dobrą przywiezie im panią.

W przypisku dodał, że Maciek zostaje u szewca Polaka na terminie w Wenecyi.

— O już jak ja tego bestyę znam! zawołał Pukalo: tobym przysiągł, że albo tam jest majstrowa, —czego Boże broń dla zgorszenia,—albo majstrówna... nie chybi...

Ale o Maćka było mniejsza; posmutnieli wszyscy na tę wesolą wiadomość, bo co do domu polskiego żona cudzoziemka !!

— Skończyły się dobre czasy, szepnął Pukalo, powoli składając list, — chociażby ona była najlepsza, już to ani ład, ani składu nie będzie. Przewróci tu młoda jejmość do góry nogami wszystko na cudzoziemski sposób.

Murzynowska łamała dłonie.

— Ani się z nią będzie rozmówić! zawołała — kto zresztą wie co oni tam jedzą?... zkad ja jej wezmę tych pulpetów i soporów, do których tam jejmościanka przywykła?

— Gdyby tylko choć dobra katoliczka! zawołał z kolei proboszcz, ale innie to pociesza, że we Włoszech wszyscy są w obedyencyi kościelnój.

— Nie musi to znów być nic wielkiego, córka kapitana okrętu, dodał Pukalo — ani familiantka ani bogata.

— Ale! gadaj waćpan zdrów! podchwycił proboszcz: w Wenecyi, gdzie naród cały po morzu żegluje, najwięksi patrycyusze na statkach życie spędzają... i skarby wielkie zyskują, opływając świat...

— Jak tylko jeszcze wielka paui to stokroć gorzej—rzekł Pukalo, — bo z państwa rodzą się muchy w nosie, nie z czego.

— Ja jestem prosta kobieta, przerwała z westchnieniem Murzynowska; rodzę się z Grabinkowskiej, a ojciec był podstarościm; aleśmy przez złych ludzi utracili substancję... No! no! dosyć; nie chcę być długą... ale wiedzą ludzie, że nie byłabym do tego doszła, ażeby się po cudzych tulać kątach... gdyby... Ja jestem prosta kobieta, ale wiele widziałam małżeństw takich, czy pańskich, czy chudopacholskich, gdzie żona była cudzoziemka. Zawsze, nie prorokując, szło to koślawo.

— Ale waćpani zapomniałaś, że on sam z weneckiej rodziny pochodzi, zawołał Dalifur.

— O! o! dziesiąta woda po kisielu!... gdzie to kiedy co było!... A no milczę; niech Bóg da jak najlepiej.

Ksiądz powtarzał:

— Tylko żeby była dobra katoliczka, bo to w kościele grunt; ale ot sęk! jakże ją będę spowiadał, kiedy po włosku nie umiem? chyba po łacinie?

Machnął ręką.

— A jak ja ją spytam, co z młodemi indyczetami robić? zawołała Murzynowska.

— Słowem, że lepiejby było, gdyby się był tu ożenił, rzekł ksiądz.

— No! a jakby miał znowu marnieć jak marniał po tej tam wojnie długi czas, rzekł Pukało, — lepiej niech się żeni... Będzie miał co robić z żoną cudzoziemką; choćby ją po polsku uczył, to się nie znuży i nie zatęskni.

Dopieroż rozpoczęła się narada wielka: kiedy przyjechać mogą? jak dwór przysposobić? co do spiżarni kupić? czém Robnin, trochę staroświecko wyglądający,

odświeżyć? i t. d. Murzynowska chciała nowych firanek i obić. Pukało obawiał się o nicco powychylane posadzki. Ksiądz radził, aby tylko spiżarnia i apteczka była pełna.

— No, i piwnica rzekł Dalifur: boć to i Bolesławowie przyjadą, i pani Anna z mężem i dziećmi, i gości naspraszają, a u nas bez kielichów to się nie obejdzie.

— Byle nie nadto, byle nie nadto! wołał proboszcz: *ne quid nimis, pocula necessitatis, sanitatis, hilaritatis, ale nie dementiae.*

— A zawsze piwnicę zaopatrzyć potrzeba, mówił Dalifur. Stare wino, co jest, to ja tu go nie dam, chyba *na stempel*, a na początek młodego trzeba, byle czystego, okseft jeden albo i drugi.

— A tu te indyczeta! a te indyczeta! wzdychała Murzynowska; one mnie zdrowia pozbawią, jak już snu i apetytu pozbawiły. To okropność, *epidemia* (sic) jak zdychają. Już jak indyk wyrośnie, to tam mówią, że bardzo smaczny.

— Z podlewą, dodał cicho proboszcz.

— Ale niechajby go ten hodował co go chwali, jękliwie dodała Murzynowska; też to z pańskimi dziećmi tyle biedy nie ma! A siekaj im zieleninę, a zaprawiaj, a nie dawaj na twardém, bo głupie dzioby sobie pokaleczą. At! już to nie Pan Bóg indyki wymyślił, rzekła cicho.

Pukało zaczął się śmiać. Proboszcz uważał to za bluźnierstwo, i ostro spojrział na klucznicę, która nmiłła.

— A co masła zjedzą! dodała: bo pewnie kuchacza jakiego Mondkucha ściagną, co je łyżką na ogień rzuca, choćby śmietankowe.

— W gospodarstwie przerwa wielka... zaczął sobie Pukało. Do ogrodu i koło domu ludzi oderwać muszę, aby zaraz robili. Niby z listu widać, że lada dzień spaść nam mogą... Piasek trzeba zwozić, grodzić, bielić... oficyna całkiem obleciała, kominy czarne jak Cygany...

Wszyscy brali się za głowy, zakłopotani.

— Atł at! pocieszał proboszcz, nie trzeba znów nie-szczęścia z tego robić, co Bóg dał na pociechę biednego rodzaju ludzkiego... grzech i to... Jakoś to będzie; Pan Bóg pomoże, aby człowiek dobrze chciał. Niech będzie pochwalony.

I to rzekłszy, wymknął się, brewiarz cisnąc pod pachą, rad starowina, że ich porzucił, bo nie mógł poratować, a stękaniny słuchać niemilo.

Pukało i Murzynowska do północy niemal radzili i kłopotali się.

Nazajutrz wrócił przy pracy i humor lepszy, i weselsze na przyszłość spojrzenie. Krzatali się już jak gdyby państwo młodzi co chwila przybyć mieli.

Ile pobitego drobiu sprzedano, wytrzymawszy do ostatecznego terminu, ile kadzidla wyszafowano we dworze, smolki, skórek od jabłek, trocizdek i proszków, zliczyć trudno. Jesień się zbliżała krokami wielkimi, żniwa skończyły, lasy pożółkły, pozerwieniały, poopadały z liści,— nie przyjeżdżali i nie przyjeżdżali.

Listy wprowadzić przychodziły, obiecujące wkrótce przybycie, nieoznaczające terminu. Po każdym z nich z nową gorliwością brali się Pukało i Murzynowska do przygotowań; ale tygodnie i miesiące upływały, a ich nie było i nie było.

Zaczęto już i w piecach przepalać, i olchowemi suchemi drewnkami po kominkach, bo przymrozki brały, gdy jednego poranku, kiedy Pukało był nieubrany, a Murzynowska chodziła około chorego cielecia, ni ztąd ni z owąd wsunęła się w dziedziniec landara obłożona, zaprzężona kołmi posprzeganemi ze wsi. Chłopiec przybiegł dać znać na folwark, że państwo przyjechali.

— A! dalifur! a kontusz w knfrzel krzyknął Pukało.

— Matko Bozka! to nieszczęśliwe ciele! wołała, biegnąc co tchu po kitajkową zieloną suknię Murzynowska.

W domu nawet od trzech dni, jak na złość, nie przepalano... Był chłód przejmujący po pokojach.

Na progu w ganku nie przyszedł ich nikt z chlebem i z solą powitać... ale Konrad pocałował w czoło młodą swą, piękną, choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domowstwu poważnemu a smutnemu, które się zwalo przyszłym jej domem.

Po tamtym kraju jakże się tu wszystko wydawało dziwnie, smutno, chłodno, dziko, ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie!... a jak na złość nawet w tej porze ani zieleni, ni kwiatu!...

Na jej twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane Lido, brzeg Adryatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczona od stop do głowy.

Jemu radością świeciła twarz, on oddychał rażnić, rozmawiał z każdym kamieniem i drzewem, śmiał się

do ludzi i ścian; ona coraz wyglądała smutniejszą, nie mogąc téj radości podzielać.

Napróżno ścisnął ją, całował, chciał utulić i rozruszać, i njąwszy pod rękę powiodł po domu, ukazując jęj bogactwa swoje. Niestety! choć dom za-
możny był, dostatki te nbgogo się wydały dziewczę-
cin, które widziało pałace Contarinich, Morosinich,
Cornarów i innych patrycynszów Wenecyi. Wszystko
tu było skromne, szare, nieblyszące, ciche jak
dawne życie wiejskie, aż sam Konrad się zdziwił. To
co dawniej wydawało mu się pyszném, znajdował
biedném i małym. Nawet rozmiary dworn zdawały
mu się czegoś ciaśniejsze... Wszystko postarzało i jak-
by w ziemię zapadło.

Cazicie jedno z daleka widne jezioro podobało się...
Woda przypominała jęj ojczyznę, nśmiechnęła się do
nięj jak do staręj młodych lat przyjaciółki.

Ale nareszcie i Pukało nadszedł zdyszany, w no-
wym kontuszu ze źle związanym pasem, za którego
przecię nieforemny węzeł chłopak po uszach obe-
rwał. Niósł w rękach półmisek z chlebem i solą,
która się przewróciła i wysypała. *Omen* był straszny.

Ale Konrad pochwycił starego w objęcia, i cał-
jąc go plakał, a Pukało też sobie się rozszochał.
Cazita patrzyła z dala niespokojna. Nie wiedział stary,
jak ją przywitać, pana prosił za tłumacza, a ukradkiem
spojrzał jej w czarne oczy, i wydała mu się w téj
chwili dobrą i miłą... a dziecięcą... Więc ścisnął raz
i drugi za kołana, schyliwszy się, i tak przemówił
wymownie, a od serca, że Cazita zrozumiała, jeśli nie
słowa, to intencję i uczucie.

Tu w kitajkowej sukni zielonęj, myśląc zawsze
o konającym cielęciu, wbiegła i Murzynowska, mnięj

śmiało. Przypomniała ona pani Konradowej trochę ciotkę Anunziatę na mniejszą skalę, i temu winna była uśmiech, który ją spotkał.

Przyszła jakoś do siebie cudzoziemka, nśmicchnęła się i do męża, poszli razem gospodarstwo oglądać do szeleszczącego liśmi ogrodu, na podwórzec... słowem po całym dworze.

Tu biednej Cazicie wszystko trzeba było tłómaczyć, i wszystko się jćj wydawało niezrozumiałém, mimo pracy, z jaką mąż usilował ją w nowe wtajemniczać życie. Roztargniona, szukała oczyma — jeziora...

Mimo chłodnego powietrza, uprosiła, że doszli aż do brzegu, i stanęli przysłuchując się szumowi fali, ale po chwili pohladła smutna.

— Słuchaj, *mio caro*, rzekła, to coś okropnego! Ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jćj zimny, macoszyn, nie mojej matki Adryi... nie... Ja nie rozumiem nic... to język wasz... obcy... to woda jakaś inna, smutna... bez smaku...

Zaczerpnęła jćj dłoń i rzuciła na ziemię.

— Jak to! zawołała: taka przestrzeń wody bez odrobiny soli!... Mojej fali znam smak ostry i szczypiący... tu... zepsuty, — czy ją mróz wasz wygotował... czy...?

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

— Cóż robić! szepnęła — to twoja ojczyzna... Chciałeś, bym jćj spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... a ja... — dodała tuląc ręką bijące serce — ja bez mojej... dla ciebie, spróbuję!

Poszli, już nie mówiąc do siebie. Czasem zbu-

działa go jakimś pytaniem lub przykrym dla niego uśmiechem.

— U was wszystko z drzewa, u nas wszystko z kamienia... jak to dziwnie! mówiła. I nie boicie się ognia, wiatru, wody?

— Ale u was ja się więcej jeszcze boję morza, wśród tych stosów kamieni na drżących palach, które jedno wstrząśnienie poobalać może.

— O! zawołała Căzită... wieki to stoi...

— I to stoi wieki, dodał Konrad—a człowiek żyje tak krótko...

— To prawda, szeptało dziewczę,— tu na każdym kroku czuć, że się nie na wieczność budowało.

Ludzie, domy, zwierzęta wszystko ją dziwiło. Przestraszyła się rwących koni, które Konrad ze stajni wyprowadzać kazał; załamala ręce, gdy wsiadł na jednego z nich, aby i jęj swą zręczność pokazać, i po długim spoczynku, znowu się uczuć na siodle...

Căzită padła prawie na wschodkach ganku, gdy młodzieniec uniesiony wspomnieniem wojaczki, wypuścił drogą wierzchowca i jak strzała pędząc znikł jęj z oczu. Już płakać zaczęła, gdy zawróciwszy w czwał powrócił, osadził konia i skoczył z niego do stop jęj.

— A! Corradino! już ja ci chyba nigdy nie pozwolę dosiąść konia. Ty szalejesz! to jest dzikie stworzenie!

— Znać, żeś nigdy innych prócz brązowych wazych na kościele Św. Marka nie widziała, zawołał Konrad, czule ją ściskając. Dla nas koń jest tém, czém u was gondola. Czy słyszałaś, by Wenecyanin wywrócił się i utopił z gondolą? Otoż Polak tak z koniem; bądź spokojna.

Na wieczór przybył proboszcz w nowój sutannie z powinszowaniem i błogosławieństwem domu; i ten się wydał trochę dziwnie Cazierie, ale dobry starowi-na wkrótce ją swą łagodną fizyognomią pozyskał.

Tak przeszedł na wpół niezrozumiałej rozmowie długo w noc przeciągniętej, pierwszy wieczór w Robbinie pięknej Wenecyance. Noc była wietrzna, chmurna, wiatr bił okiennicami do rana, wył w kominach i dziwnemi głosy jęczał dokoła domu... Choć przywykła do szumu fali, Cazità usnąć nie mogła, siadła w łóżku i płakała.

Z wymówką prawie spojrzała na uśpionego Konrada, na którego ustach igrał uśmiech uspokojenia błogiego. Wstała po cichu, na palcach i poszła pisać do Anunziaty.

A list był smutny, długi i w niejednym miejscu łzami zmazany.

Nad ranem chmury rozpędziła burza, pokazały się gwiazdy, ale nagły mróz, taki, jaki często chwyta niespodzianie późną jesienią, wyiskrzył się, ścinając lodem wszystko, okrywając drzewa wilgotne szronem, bieląc ziemię, i lasy, i wody...

Cazità usnęła zmęczona. Gdy się zbudziła z czerwonymi jeszcze od płaczu oczyma, Konrad stał nad nią, rumiany od chłodu, z którego wracał, wesół, szczęśliwy.

— Chodź, zawołał, wyjrzyj-no tylko na ogród okienkiem... Póki wyżej nie podejdziesz słońce i nie roztopi brylantów, jakimi noc obwiesiła drzewa, chodź i przypatrz się cndom téj dzikiej ziemi.

Cazità owinięta zarzuconą suknią dała się pociągnąć do okna.

W istocie świat wyglądał jak zaczarowany... przestraszyła się prawie. Gościenna ziemia wystroiła się

dla obcego dziewczęcia, — gałęzie drzew wyglądały jak szklane, najdrobniejszy pączek był oblany brylantem, białe puchy, jakby nowymi liśćmi ubierały krzewy i najcieńsze gałązki. Cazità krzyknęła z podziwu, ale oko jej nieprzywykłe do tego widoku, uciekało strwożone prawie od niego. Wiało chłodem od tych cudów. Ptaszyny z podwórza świergocząc tuliły się pod okno i strzechę, szukając trochę ciepła i drobiny życia.

Cazità o mało im nie otworzyła szyby, aby przyjąć tych jak ona zziębłych wędrowców.

Młodość ma w sobie zapasy siły, któremi wiele przemódz może, gdy zechce, czasem potęgę instynktu, który bezwolnie w człowieku działa, aby go z otaczającym poślubić światem...

Wenecjanka po kilku dniach pobytu w Robninie, trochę się już z nim i krajem oswoić musiała; ale zawsze jeszcze było to obce i nieswoje; czuła, że tu potrafi tylko tęsknić. Wieczorami przywiezione z sobą widoki Wenecyi rozrzucala po stoliku, i jak dziecko bawiła się temi obrazkami, przypominając Konradowi, gdzie z nim byli razem, opowiadając co tam niegdyś widziała i słyszała. Wesoło zaczynała się powieść, ale głos się powoli zniżał, i w końcu łza ukrywana padła na kochaną kartę przypominającą *Venezia la Bella*. Teraz też ona jeszcze świetniejszą, cudowniejszą wydawała się wygnance zbolałej. Leciała do niej myślą, sercem, szukała ojca po morzach dalekich, ciotki na Lido osamotnionej, nawet tych, których nie kochała dawniej: Antonia i Giulii.

Konrad zaledwie przybywszy do domu, napisał zaraz do siostry i brata, zapraszając ich do Robnina;

dalsza też rodzina i powinowaci ciekawi byli poznać cudzoziemkę, do której za wczasu mieli urazę, że im niespodzianie serce brata schwyciła.

Nie znając jój, wszyscy byli po trosze uprzedzeni przeciwko téj obcej, co im się pod strzechę wkradła, a trochę podszeptowała szlachecka dumka przeciwko może nieszlachciance, a pewnie ubogiéj dziewczyninie. Anna, siostra Konrada, nieumiejąca po włosku, Bolesław umiejący niedobrze i niewiele, kłopotali się za wczasu rozmową. Zapominali, że sami pochodzili także od przybysza, wrośli już byli w nowy kraj i do jego obyczajów przywykli. Wszystko to na dzień naznaczony zbiegło się sanna do ośnieżonego dworu, którego kominy pałały i ściany świeciły się od zapalanych świec. Cazità chodziła wystrojona, ale drżąca, czekając na przybycie rodziny; lzy się jój kręciły w oczach. Niktby w niej teraz nie poznał owego wesołego dziewczęcia rozpieszczonego, które się z takim *brio* zjawiało na pokładzie statku *Padre Antonio*. Nie zbrzydła Cazità, była szczęśliwa, kochała Konrada całym sercem południowém, namiętnie... a jednak pożerała ją tęsknota, szarpał sercem widok tego świata, do którego nie była stworzona, który ją przestraszał i męczył, nawet gdy chciał ukołysać i przytulić.

Widziała męża szczęśliwym i milczała, ale w sercu i na ustach miała nieustannie jedno: wrócić tam na brzeg Adryatyku, sięść w domku na Lido, patrzeć na lazurowe fale i oddychać słoném powietrzem morskiém. Ale cóż? Tam Konrad znowu tęsknił po borach swych, tam on smutny wałęsał się, oczywiście szukając jakichś przypomnień swego kraju. Cazità widziała go ze łzą w oku, podsłuchującego roz-

mów Dalmatów, tych *portatore* i *portatrice d'aqua*, których język miał dźwięki do jego mowy podobne; posyłającego westchnienia ku wschodowi i północy; szukającego na horyzoncie strony, z której wiatr mógł mu przynieść dym kominów jego ziemi. Cazità widziała jak szczęśliwy sechł i chudł z niccierpliwości powrotu, jak każdy list z domu oblewał łzami i witał serdecznemi śmiechy, jak pragnął choć na chwilę być tam i zaczerpnąć powietrza, coby mu na czas jakiś życie dało.

Ale tu znowu ona dostała téj samej choroby, tęsknicy. Konrad radził na nią, ale lekarstwa nie było.

Serdeczne były powitania siostry i brata. Cazità poczuła się na chwilę obcą, trochę zazdrosną, ale te pocziwe serca objęły ją zaraz ciepłem swoim i nie dopuściły pozostać samotną. Anna miła, gadatliwa, rumiana, dosyć otyła gospoia, przywykła do krzątania się w domu, poczęła pomagać niedoświadczonéj Włoszce do zajęcia się gospodarstwem; dodała jéj ochoty, śmiałości, wesela... Wszystkiemu poklaskiwała i znajdowała swą uczennicę na podziw pojętną i zręczną; rozmawiały z sobą nie wiedzieć jakim językiem, ale się pokochały.

Bolesław był szlachcic z kośmi, hreczkosiej, domator, wygodniś, przywykły do swych godzin, swojej kuchni, twarzy, ścian i ludzi. Zrobił wielką dla brata ofiarę, że do niego przyjechał, a choć ten dwór stary jego także młodości był piastunem, już mu tu po jego domu własnym nie było bardzo wygodnie.

Splakał się wprawdzie, ściskając starego Pukałę, ale wprędce zatęsknił do swéj kanapki kolbuszowskiej, poduszki tureckiej i komina, na którego ogień

nawykł był patrzeć milczący godzinami całemi, marząc o niebieskich migdałach.

Kochał Konrada, a męczył go Konrad opowiadaniem i pytaniami bez końca... Podobala mu się bratowa, a wolałby żeby jej nie było, boby się wygodniej mógł przebrać i zrzucić paradny żupan i kontusz, a od pasa się uwolnić.

Przy wieczerzy jednak i kieliszku wina, chmurki i obłoczki z czoła pozlatywały, weselość przypłynęła z tokajem starym, rozmowa się ożywiła. Cazità nawet objęta jej wyziewami, poczuła się śmielszą i weselszą. Ale na nieszczęście Konrad przyniósł do wina kielich z pięknego szkła robiony w Murano; Włoszka przypomniała Wenecję, gondole i tę piękną wyspę szklarzy, i swoje Lido, i żeglującego daleko kapitana Zenona. Rozpłakała się; musiała uciec od stołu. Konrad pobiegł za nią, Anna za niemi także. Bolesław, Pukało i ksiądz proboszcz zostali sami przy stole prawie.

— Co to jest? spytał Bolesław Pukały: czy ją kto obraził?

— Ale gdzież zaś panie... to włoskie jakieś fantazje... Ona, proszę pana, tęskni tak po tej swojej Wenecyi, do szaleństwa prawie.

A proboszcz dodał potakująco:

— Extra dobra osoba, ale znać to, że się w naszym kraju nie urodziła; całę inny obyczaj. Dobra katoliczka, pobożna... Co za szkoda, że cudzoziemka!..

— No, to się to powoli przerobić może! rzekł Bolesław.

— Chyba nie, rzekł Pukało z cicha; ja na to patrzę, dalifur, z przeproszeniem pańskim od samego początku, ale choroba zamiast coby się zmniejszać

miała, powiększa się jeszcze z dniem każdym, dalifur. To jest *ni fallor* zły znak.

— Pan Bóg odwróci! szepnął proboszcz, przypatrując się winu przeciwko światłu, i znajdując burztynowy jego kolorek bardzo pięknym.

— E! mospanie, odparł Bolesław, aby Bóg dal potomka Konradowi, wszystko to minie... U kolebki dziecięcia matki ojczyzna... przywiąże się. A zatém konsolacyi przyszlęj!

I potraćili kieliszkami, ale Pukało westchnął.

— Pan wie, rzekł na ucho Bolesławowi: jegomość nasz nie żartem myśli na wiosnę z nią do Wenecyi jechać... To nas zrujnują te wojaże. Prawda, że tam na miejscu mało co życie kosztuje, bo dom swój mają, ale póki się tam dobić...

— A jakże tam z substancją, nie wiesz? zapytał Bolesław: nie mówił Konrad?

— Niewielem się dowiedział, odparł Pukało; nie widzi mi się, żeby to tam wielkie rzeczy być mogły. Cały majątek kapitana statek, a to dalifur, proszę jegomości, byle dobry wiatr może się rozprysnąć, i pójść w deski i trzaski... No, a domek, murowanka, co tam może być wart? Jejmość z sobą przywiozła coś tych cekinów, ale tego ani chce tknąć nasz pan.

— No? przywiozła? spytał Bolesław — sporo? sporo? wszak ei to Konrad, jak orzech zgryść, mógł wziąć w domu spokojnienteńko jakie parę kroć, coby sobie był wioskę kupił jaką sam chciał... Jak miarkujecie, co to tam być może?

— A! tego nie wiem, cicho szepnął Pukało, ale szkatuła ciężka...

— No, to taki coś jest... chwala Bogu... rzekł Bolesław; a nie wiecie, czy szlacheianka?

— Pan mówi, że to dom zubożały, ale z wielkich patrycyuszów gałęzi.

— Nie widziałeś aś herbu?

— Nie, ale mi pan mówił, że mają łódź złotą w niebieskiem polu.

— No! to niczego! rzekł Bolesław... Wszystko dobrze, gdyby nie te fonfry w nosie.

Proboszcz jednem uchem słuchając, dodał z cicha...

— Ale to przejdzie...

W téjże chwili wróciła Cazità uspokojona z siostrą Anną i mężem; mąż był zmieszany, skłopotany, a gospośia udawała wesołość tylko, ale i na jęj czołe znów widać było troskę... Włoszka starała się uśmieczać, zagadywała, była grzeczna, a mąż czytał z jęj twarzy, że rada była, aby się przyjęcie co rychlęj skończyło.

Tak przeszedł dzień pierwszy, mało różnie następujące. Biedne dziecko pracowało nad sobą usilnie, aby się zbliżyć do nowęj rodziny, ale między nią a niemi nie było łącznika prócz Konrada, który sam cierpiał, był roztargniony i dopomódz jęj nie umiał.

Im więcęj, głębięj wglądała w ten świat obcy, tém się jęj strasznijęj robiło. Tam też całe ich gospodarstwo składało się z ciotki Anunziaty, prostęj kobicciny, starego Pietra, co w ogrodzie pomagał, ojca, a czasem kuzyna Antonia.

Cazità była swobodna, wybiegała kiedy chciała bosą na brzeg morza, w kapeluszu słomianym do ogródka, w prostęj sukience płynęli się pomodlić do S. Giorgio Maggiore lub S. Biaggio na Rivie... Tu tyśiące miała różnych prawideł do zachowania, ostrożności, przyzwoitości... Była trochę więcęszą panią, ale

to państwo zamykało ją jak w więzieniu w ciemnym dworze Robnina... Musiała pilnować i swojego uśmiechu, i ruchu, i słowa, straciła wesołość, tracąc swobodę.

Trzpiotowate dziecię stało się przed czasem zamyśloną i posepną niewiastą.

Czy smutek działał? czy klimat? niewiadomo, ale pod koniec zimy, gdy już skowronki zjawiać się poczęły nad szarą rolą budzącą się do wiosny, Caził zasnęła, pobladła, poczęła kaszlać; straciła ochotę do życia, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

— Odwieź mnie tam! tam! niech tylko popatrzę na Adryatyk, niech odetchnę mojem powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka... będę zdrowa... będę zdrowa.

Konrad nie śmiał jej powiedzieć, że on tam może chory będzie, żał mu się zrobiło biednej, ukochanej istoty...

— Poczekaj, rzekł, niech się zazieleni ziemia, niech ja zobaczę moje lasy w ich świątecznych strojach, nasze kwiatki w młodych sukienkach, nasze jezioro rozkołysane... pojedziemy...

Jak Julia w Shakespearowskim dramacie, w tej cudnej scenie nadchodzącego poranka, Caził upatrywała wiosnę nadchodzącą w dniu każdym; przyniosła uszczęśliwiona pierwszy listek dzikiego agrestu, pierwszą rozwiniętą w śniegu przyłasczkę; cieszyła się, gdy lody pękły na jeziorze... i wylatywała na słońce spróbować czy dobrze już grzeje? I wołała:

— Konradzie mój! już wiosna! już wiosna! Na Lido puściła pewnie wiuna latorośl... Jedźmy, jedźmy!

Konrad czekał; jemu tak żał było swojej wiosny

i rozwoniałych brzoź, i pękających bzów... Odkładał do jutra. Próżno przymilała się Cazità, prosił tak pięknie o dzionek jeszcze, o dwa dni—czekała, patrząc okienkiem...

Nawet czarodziejskie to u nas odmlodzenie ziemi, nie zdziwiło jęj i nie ucieszyło, patrzała na drzewa z wyrzutem prawie, że do włoskich nie były podobne, kwiaty znalazła drobnemi i słabemi, wody jeziora wydały się jęj brudniejsze nawet, niż woda lagun weneckich...

Konrad czuł, że potrzeba było jechać, bo Cazità nikła mu w oczach, bo policzki jęj kwitnące traciły barwę, wzrok blaski wypłakane, czoło pogodę...

Ale jak się tu było przyznać przed rodziną, przed swoimi, „nawet przed starym poczeiwym Pukałą, że zamiast wziąć się do gospodarki, Konrad miał znowu puścić się na nie wiedzieć jak długą pielgrzymkę? Domyślał się tego Dalifur, ale przypuszczenia odpędzał, wmawiał w siebie, że się młoda pani przyswoi.

Nareszcie jednego wieczoru, gdy zostali sami, Konrad zbliżył się do starego przyjaciela domu i kładąc mu ręce na ramionach, rzekł cicho:

— Kochany mój Pukało, nie mam co taić przed tobą... Cazità chora... tęskni codziennie gorzej, niczem jęj rozzerwać nie mogę, niepokoi się też o ojca, od którego nie ma wiadomości... Musimy jechać, musimy!

Stary nie odczuwał się słowa, głowa mu opadła na piersi.

— Nic to nie pomoże, rzekł po chwili, ona tęskni tu, ty będziesz tam tęsknił... Rób jegomość, panie, co ci serece dyktuje. Moje oczy może was już

nie zobaczą, a ojcowizna pójdzie marnie. Ale się stało!

Konrad westchnął także.

— Stary przyjacielu, cóż mam począć? Widzisz jak ta biedna wygnanka zbladła, zmieniona, chora? może ją dla siebie poświęcić? godziż się to?

Pukało nie nie odpowiedział, milczał, gładząc wąsa.

— Ano, róbcie jak wola wasza, nie ma co tu rądzić stary...

Sklonił się i odszedł ze łzą na oku, z czapką na uszy głęboko nasuniętą, sumując.

Na progu już Stefanek i Murzynowska poznali po minie, po sposobie otwierania drzwi, że stary z czémś złém powrócił ze dworu.

Stefanek tylko głową kiwnął ku klucznicy, a ona skinęła potakująco, nie śmieli się, szanując smutek jego, odezwać; domyślali się zresztą po trosze o co chodzić mogło.

Wtém stary, nim mu świecę przynieśli, skinął na klucznicę zapraszając ją do siebie, a Stefanek zaraz do drzwi ucho przyłożył, bo był niezmiernie ciekawy.

— A co, moja jejność, rzekł głosem wzruszonym: czegom się bał, tegom się nie ubał.

— No cóż? co? zawołała przestraszona Murzynowska.

— No, jadą do téj Wenecyi!... bodaj ją tam siarczyste...—splunął nie dokończywszy,—taki jadą. Co to kobieta gdy się mospanie uprze, a też jeszcze, z pozwoleniem, półdyablę weneckie; jak zaczęła stękać, kwękać, chorować, grymasić, chudnąć na złość,—otoż jadą...

Murzynowska dzielając to strapienie, załamała ręce.

— Już ich tu żadna siła ludzka nie powstrzyma, rzekł stary, to darmo... Jegomość — panicz z żalu mało nie płacze, tak mu się jechać nie chce, ale musi!

— Ale bo — ujmując się za płąć swą, dodała Murzynowska — ona bo nieboraczka z téj aury choruje; widzisz asindzięj jaka blada.

Pukało ręką machnął.

— Dalifur! zawołał, dalifur! polityka ta choroba, ino się uparła... strzyżono, strzyżono... Juścić jój tam nielepiej w kamieniczce! ale co to gadać... nie posądzam, coś ciągnie jejmość.

Murzynowska się oburzyła.

— Dalbyś-bo jegomość pokój!

— Ano prawda, odparł Pukało, alem zły... Folwark, dwór, wszystkiego dostatek; ptasiego mleka chyba brak, a jeszcze źle i źle.

— Już że dogadzaliśmy, to niech nie grzeszy, z pozwoleniem, jak wrzodowi... a mąka żeby była biała, a bulki tylko pszenne i pszenne... a salaty w zimie... a potrawy cudackie, co ich nikt prócz niej w gębę nie wziął, chyba on przez grzeczność... I powiadam jejmości, — zawołał patetycznie Dalifur, — zobaczycie, że oni tu już nie powrócą... Ona go nie puści, opustoszeje nasz dwór, pójdzie kawał dobrej polskiej ziemi w cudze ręce. Ale, — westchnął, — moje tego oczy nie zobaczą. Dawno trumna wyszła, żytem nasypiana, czeka na strychu... toć w nią wlażę, żebym na ostatnią zgubę nie patrzył.

— I!.. wstydziłbyś się jegomość znowu tak brać do serca.

Stary aż płakał; siadł w krześle na poduszce i oczy ocierał.

Nagle myśl mu jakaś przyszła, porwał za kij, za czapkę, świecę z porywczości palcami zagasił i szybko z folwarku wyszedł. Murzynowska wyjrzała i ruszyła ramionami; nie poszła spać spokojnie, dopóki wysłany Stefanek nie przyszedł z raportem, że stary się powlókł na plebanie.

Świeciło się jeszcze w sypialni proboszcza, gdy do drzwi zdążył Pukało, ale psy już wartowały w dziedzińcu. Dobrze, że go poznały, a chłopak zaspany ledwie mu nierychło otworzył. Ksiądz odmawiał pacierze... Myślał, że do chorego wzywać go przychodzą; sutannę starą narzucił. Zdumiał się, zobaczywszy Pukałę o téj porze.

— A co tam? spytał: czy nie co złego, *quod Deus avertat!*

— Złego, złego, mój ojcze! zawołał Pukało: pociechy u was szukać przychodzę. Już taki postanowiono, nakazano... wyjeżdżają.

— Kto? co?

— Ano państwo.

— Dokąd?

— Do téj Wenecyi przekłétój.

— Któż ci to mówił?

— Z jegom nst miał dyspozycję!... Niewesoło i jemu, rzekł stary, ale kobiecie się oprzeć nie umie... jadą... To ruina! to zguba! Ojcze! jeżeli wy nie uczynicie refleksyi...

— Ja? zapytał ksiądz: a co to do mnie należy?

— Jak nie wy, to któż? macie ich sumienia w ręku, przemówcie.

Proboszcz głową kręcił.

— Zle to być może, rzekł, ale wedle świata grzechu nie ma; ja się w to wdać nie mogę. Szkoda mi ich, a posłuchać mnie nie zechcą.

— Więc wy mi odmawiacie? płaczliwie zapytał Pukało.

— Spróbuję słowo rzucić, ale to będzie groch o ścianę... Nie moja rzecz.

Pukało wstał z krzesła.

— No tak, zawołał, sądzono, sądzono, aby oczy moje patrzyły na ruinę tego domu, na zgubę... Niechże będzie wola Pańska! Ale nie przeżyję ja tego ojca mój! Ten dom, jakby mój rodzicielski własny; ten, chłopiec, to jakby dziecko moje; ten majątek, jakby ojcowizna. Wżyło się tu, wrosło, pracowało, aby pomnożyć, aby utrzymać, a tu fantazya jednej kobieceiny wszystko w proch obraca... Fantazya, mówię jegomości! krzyknął głośnie: bo ja temu nie wierzę, żeby chora była i tęskniła, jeżeli męża kocha. Mąż dla niewiasty światem, wszystkiem, ale to, z pozwoleniem, półdyablę weneckie!

Chwył za czapkę w passyi chcąc wyjść, gdy go proboszcz za ramię ujął.

— Kcehanie, Pukało! z żalu ci się w głowie wywracał A toż po chrześcijańsku, a toż po ojcowsku tak sierznić się na to biedne dziecko? Ha? myślisz, że jemu też serce nie boli opuszczać dom, kraj, rodzinę? a uchowaj Boże, by się jój co stało... dobrzeby mu było nosić trupa na sumieniu? Wstydź się stary, zmów pacierz i uspokój się, a za grzech porywczosci powtórz po pacierzu siedm razy: Bądź wola Twoja...

Pukało zmiękł, proboszcza w ramię pocałował, łzę otarł, i mruczając wyszedł z plebanii.

Piękna była noc wiosenna, a w krzewach ogro-

dowych na zabój śpiewały słowiki... W dali słyhać było szum fali jeziora, jakby ruch kołyski co dzieci-nę usypia... Wiało zewsząd wonią młodości, kwiatami, liśćmi, trawami... a świat ten wyglądał tak cndnie, że Pukale aż się na płacz zebrało.

— I taki to mając kąt własny, trzeba im się tłuc po obeym świecie!!..

Z cicha włókł się po pod ogrodowym parkanem. Księżyc pasami z pomiędzy drzew starych smugami światło po darniach rozrzucał, a wysokie topoli wierzchy w ciemnych kędys tonęły niebios błękitach... W krzakach ledwie się liść ruszył niekiedy, taki był spokój i cisza. Dalifur poglądał w ten ogród; wyobrażał sobie jak w nim obcy gospodarzyć będą, i żółć mu się burzyła. Wtém stanął. Na ławce pod kasztanami zobaczył siedzącego Konrada, który głowę ująwszy w dłoń, żegnał się ze swoją siedzibą. Wśród ciszy wieczorn, Pukalo dosłyszał ledwie pochwyconego jęku, i żał mu się zrobiło znowu tego człowieka jak własnego dziecka. Przeszedł na palcach szanując tę chwilę boleści; a gdy minął kasztany, rzekł w sobie:

— *Mea culpa!*... cóż mnie staremu narzekać, kiedy on cierpi! Mnie ulżyć mu ciężaru, a nie dodawać go jeszcze... Stań się Twa wola Panie... Pukalo wiernym będzie do ostatka sługą... a płakać zawsze czas i po-tém, dodał w duchu.

Gdy już do wyjazdu rozkazy były wydane, odżyła biedna Cazità: teraz wszystko jój było piękne, weselem ożywiła się twarz, błysnęły oczy, uśmiechnęły się usta, rzuciła się na szyję Konrowi.

— *Corradino mio, angelo caro!* tyś dobry, tyś kochany, tyś święty!

I z wielkiego wzruszenia do nóg mu padła.

— O! tak!.. ja czuję, jam ciebie niewarta! zawolała. Ja nie miałam siły tak ci wszystkiego poświęcić, jak ty mnie; jam biedne słabe dziecko! grzesznica! jam rozpieszczona jedynaczka... Ty mi przebacz! jabym tu była umarła, i to powietrze mnie dusiło, zabijało... I ojeiec! ojeiec! ja jednego w świecie mam ojca, a on tyle mnie kochał, i on tam ginie z tęsknicy po niewdzięcznej... Tylko mnie dowieź do niego, niech ja go zobaczę, niech on mnie uściśnie. Jam mu potrzebna: niech się pocieszy, żem szczęśliwa! *Corradino mio!* powrócimy tu, i ja już... nie zatęsknię ci więcej; będę posłuszna, będę wesola, będę tylko twoja...

Jakże się było oprzeć temu gwałtownemu uczuciu? Konrad także ją kochał, nie mógł tego uczynić. Rozkazał przyspieszyć przygotowania do odjazdu. Obawiał się Pukały, ale i stary nazajutrz po tym wieczorze był bardzo zmieniony, do niepoznania. Chcąc gderać Murzynowskię zamknął usta, a sam z troskliwością ojcowską wziął się do wyboru w podróż pancerza.

Tylko gdy w ganku przyszło mu się z nim pożegnać, gdy sobie padli w ramiona, piastun stary, sługa wierny i wychowanek serdeczny, rozplakali się obaj płaczem wielkim, nientulonym, długim, i słowa już do siebie rzec nie mogli.

Proboszcz przeżegnał landarę.

— *Deus ros... ducat, reducat!* szeptał, a lzy mu ciekły po policzkach.

Plakali wszysey... a gdy dwór z oczu zniknął, *Cazità* rzuciła się znów na szyję mężowi.

— Tyś aniol, rzekła, jam niewdzięcznica.
I lza jój pociekła, lecz wiatr wiosenny prędko ją osuszył.

Inaczéj teraz dopływali do miasta, które dziecię jego tak chciwie ujrzeć pragnęło. Wiosna to była znówu, ale powietrze chłodne, burzliwe, pora wietrzna; niebo okryte porozrywanemi na szmaty obłokami z po za których ukazał się czasem różek lazurowy wiekui-stéj obsłony sklepienia, ale natychmiast pokrywały go gęste lecące od ładn tumany.

Wicher i rozkołysane fale nie potrafiły powstrzymać Cazity spragnionéj domu, tém niecierpliwszéj im się bardziéj do niego zbliżała.

W Tryeście dom ciotki zastali pustym i nie od nikogo w nim o „Padre Antonio” i jego panu dowiedzieć się nie mogli; starszka wyjechała była do krewnych. W porcie mało było statków, a i te co stały na kotwicy, czekały pogody, nie chcąc się puszczać na morze rozzloszczone i niebezpieczne. Ale Cazità płakała, Konrad musiał pójść szukać jakiejs łodzi, bodaj rybackiéj nieco więkyszéj, aby ją najać do Wenecyi.

Podróż obiecywała być długą, przykrą, ba! nawet niebezpieczną, ale Wenecyanka śmiała się z postrachów tych i utrzymywała, że żaden prawdziwy marynarz wiosennych się wichrów nie lęka!

Niebo się jakoś rozpogodziło choć niezupełnie; łódź się znalazła z pomostem dość niewygodnym, *padrone* statku ofiarował się jechać natychmiast, ugodzono się więc z nim do Wenecyi.

W mieście zaręczono za kapitana, że był doskonałym żeglarzem i starym doświadczonym sternikiem, że znał brzegi, mielizny, niebo i wodę, jak swoją kieszeń. Wyglądał też na człowieka, który suchary jadł nie z jednej beczki — (bo nie można było o nim powiedzieć, że chleb jadał nie z jednego pieca). Ogozrzały, czarny, ze skórą wyprawną od słońca, zarosły jak niedźwiedź, w osmolonej kurcie podobniejszy był do korsarza niż do uczciwego kapitana statku, trudniącego się przewozem towarów, a w wolnych chwilach rybołówstwem. Kilku ludzi równie dziwnie dobranych składało całą załogę.

Cazità wszakże uczuła się dopiero wesolą i szczęśliwą, gdy pokład kołyszący się już w porcie pod stopami jej, tak, że się ledwie na nogach utrzymać było można — poczuła. Oko jej ku Wenecyi zwrócone błyszczało.

Gdy kotwice ściągnięto, a statek o napół rozwiniętym żaglu wyruszył, fala nim tak rzucać poczęła przy wyjściu na pełne morze, iż wszyscy prócz majtków posiadać i czepiać się musieli lin i drągów, aby ich wiatr nie zrzucił z pokładu, lub woda przez głowy przeskakująca nie zmiotła.

Było to ku wieczorowi, a po małej próbie kapitan Seboni przekonał się, że nocą płynąć dalej nie było podobna; musiano się zwrócić do portu i tam znowu kotwice zarzucać do rana. Ale ani Cazitą, ani Konrad nie wysiedli już na ląd, postanowili czekać uspokojenia lub poranka.

Przebudzili się o brzasku, gdy łódź znowu z portu wypływała, rzucona falami wysoko lub pograżająca się w głębiny.

Rozhukany Adryatyk był przepysznym obrazem, fale piętrzyły się, wyginały, rozbijały z łoskotem ogromnym, z niezmordowaną furią, jakby popychane jakąś siłą niewidzialną, bo wiatr nawet chwilami nie wydał się tak gwałtowny... Przybrały one teraz barwy inne: płowe, zielone, bursztynowe, a na wierzchołkach ich kłębiła się piana śnieżysta, jak w pysku rozjuszonego zwierzęcia.

Łódź zdawała się tonać co chwila, pochylała się u bok, kładła, maszty się uginały i trzaskaly od wiatru nagłego, powrozy rwały, grube płótno żaglowe darło w kawały. Zaledwie odrobinę jego można było na ten prąd wystawić, który nagle ustawał i wracał niepołamowany. Z chmur lało to deszczem chłodnym, to drobnymi zmarzłymi perełkami, to promień słońca spadał na głowy i uciekał zaraz, ślizgając się dalej po morzu, a wlokąc za sobą goniący go cień czarny, od napędzającego obłoku.

Cazitą była w zachwyceniu, Konrad milezący, kapitan Seboni latał, klął i nie żałował ani pięści, ani sznurów, ani też własnej pracy... Łódź unosiła się szybko, trzymana w oddaleniu od niebezpiecznych brzegów.

Cały dzień trwał ten bój z uporezywą burzą, ku wieczorowi znużone fale nieco opadły, niebo porało się długimi pasy chmur układających do spoczynku; płynąć już było można nocą bezpiecniej. Zapalono lampę przed obrazkiem Ś. Teodora, kto jak mógł owińawszy się położył.

Nazajutrz ranek był mglisty, powietrze parne, nie dokoła nie było widać prócz wyziewów jakichś gęstych buchających niby z kotła z rozgotowanego mor

rza. Fale kołysały się szerokimi płatami jak niezmierne opony zielone i szafirowe.

Już nad wieczorem o pomarańczowym słońcu zachodzie, w blaskach ostrych kończącego się dnia, ujrzeli Wenecję... Lido.

Cazità rozplakała się z radości, ale łódź płynęła powoli, wiatr był nierówny, targany, rwał z różnych stron, żagłów całych rozpiąć nie było podobna.

Ława piasku i strzelające nad nią wieżycy rosły powoli. Była noc, gdy naostatek dobili się do portu. Potrzeba było doczekać ranka, aby się na ląd wydostać.

Cazità wpatrując się w światelka nadbrzeżne, całą tę noc nie zmrużyła oka. Nareszcie ukazała się gondola, zrzuceno pakunki, popłynęli milezący wprost na Lido. Już ona mówić nawet nie mogła; wsparła się na ramieniu męża, oddychała powietrzem swoim, była prawie szczęśliwa.

Z dala pokazał się domek murowany. Serce uderzyło gwałtowniej, ranek się rozjaśniał, piękny był nawet, ale koło mieszkania kapitana czegoś pusto, ani żywego ducha... Cazità dojrzała zaraz pozamykanych okiennic w pokoju ojca... zapartych drzwi od ulicy... Przeczucie srogie targnęło jęj duszą.

Wysiedli... nie śmiejąc pytać, szli oboje do drzwi. Konrad w nie uderzył, echo rozległo się, jak po pułstyni raz i drugi. Aż w górze otworzyło się okno nie rychło; siwa głowa Anunziaty ukazała się z niego, i dwa okrzyki powitania razem słyszeć się dały. Kobiety wyciągnęły ku sobie ręce.

Potem jak grzmot przeleciał wschody, rozwarły się drzwi, stara ścisnęła ukochaną siostrzenicę.

— A ojciec? ojciec? pytała Cazità.

— Ojciec ! ojciec dotąd nie powrócił, odpowiedziała ciotka zdyszana; mówią że popłynął do Stambułu... Nie wiemy... ale ileż to razy dłużej go nie było ?

— A wieści?...

— Żadnej... to jest mylę się, jękała ciotka, — powrócił Beppo, który mówił, że z dała widział niedaleko Korfu statek *Tudre Antonio*.

— Dawno ?

— O ! już temu ze cztery miesiące...

Z tą smutną wieścią weszli do opustoszałej kamieniczki.

Cazità pobiegła do swjej izdebki, otworzyła okna, okiennice i klękła przed obrazkiem.

Potém zerwała się dziękować Konradowi, który jak świadek niemy, smętny, stał i patrzył na jęj oszalałe wesele, niepokój i smutek. Była bowiem znowu smutną, a twarz ciotki Anunziaty, gdy ją rozpytywała o kapitana, usprawiedliwiała tę troskę. Jęj odpowiedzi nawet były jakieś jękające się, niepewne, jakby obrachowywane dla córki. Konrad podejrzewał nie bez przyczyny, iż mniej podobno mówiła, niż wiedziała.... Smutek nadawał jęj twarzy zwykle rozjaśnionej, wesołej, dziwnie przygnębiony charakter. Łzy, które się dobywały z oczu, można było wprowadzić i radością, i wzruszeniem tłómaczyć, ale nadto uparcie powracały na powieki.

Cazità wstała od modlitwy i żywo poczęła badać i rozpytywać ciotkę o ojca. Anunziata też coraz się bardziej plątała w odpowiedziach, naostatek przerwała rozmowę pod pozorem gospodarstwa.

— Będziemy sobie o tém mówiły jeszcze wolniejszym czasem, a teraz dajcież mi pomyśleć o tém, byście z głodu nie pomarli. Póki bylam sama, nawet ognia na kuchni nie było; żyło się lada czém, zapasów

żadnych nie mam w domu, muszę Piotra posłać i sama pobiedz...

— A! ja ci pomogę! zawołała Cazità — czyż ja już tak mam być nikomu do niczego? Tak miło mi będzie znaleźć się z wami znówu w téj kuchence naszej i pośmiać się przy robocie.

Ciotka Anunziata wszakże nie miała wcale do śmiechu ochoty; mrugała ona nieznacznie na Konrada od dawna, dając mu do zrozumienia, że coś mu chce powiedzieć potajemnie, ale Cazità nie dawała się odpuścić niczém.

— Wiesz co? odezwiała się ciotka wreszcie, tyś zmęczona, połóż się na godzinę, mężczyzna wytrzymałszy zawsze... Konrada wezmę, posłę go po Piotra, a sama tak wszystko przygotuję, że wam z głodu umrzeć nie dam. Tylko uczyn to dla mnie, połóż się proszę, a odpocznij.

— Jam tak szczęśliwa! tak żyję powrotem, Wene-cya, wam! wołała Cazità.

— Wszystko to dobrze, ale jeśli nie dla siebie, to dla mojego spokoju, proszę cię, kładnij się.

Z wielką niechęcią Cazità posłuchała. Konrad posłał jęj dawne dziewczę łóżecko; zaklinała się, że spać nie może i nie będzie, ale w końcu dała się namówić posłuszna. Zaledwie głowa jęj spoczęła na poduszkach, oczy znużone zamykać się poczęły. Ciotka skinęła na Konrada i wynieśli się na dół po cichu.

— Sluchaj — szepnęła zszedłszy Anunziata, zalamując ręce — sluchaj! — Tu płacz jęj przerwał mówę. — Ty nie nie wiesz... jest wielkie nieszczęście.. a! czekałam na was nie wiedząc co począć, a pisać nie śmiejąc, aby list nie wpadł w jęj ręce. Stary poczciwy Zeno nie żyje...

Tu zaczęła znów lkać i płakać, a Konrad osłupiał sam, bojąc się o to, żeby na górze płaczu jej gwałtownego nie usłyszała Cazità, jął ją łamować.

— Chodźmy ztąd, powiecie mi wszystko...

Wyszli razem na brzeg morza i stanęli za murem tak, aby z okna widzieć ich nie było można. Konrad obawiał się nawet, ażeby Cazità nie wyjrzała i nie poznała po załamanych rękach i płaczu Anunziaty, że coś strasznego przed nią tajono.

— Jakże? kiedyż się to stało? zapytał.

— A już parę miesięcy temu jak otrzymałam wiadomość okropną, że jeden tylko z jego majątków ocalał... Okręt rozbił się w czasie burzy o skały, a biedny *Padre Antonio*! nie nie pozostało z niego! nie! Trupa kapitana widziano jak pływał na morzu... ale zginęło nawet ciało hez chrześcijańskiego pogrzebu! Co tylko miałam, oddałam na msze za jego duszę. On zawsze mówił, przepowiadał, że tak zginąć musi: „Nie leżeć mi w ziemi święconej, ale zginąć na dnie morza.“ *Padre Antonio!*.. już go nie zobaczą oczy nasze... nigdy! nigdy! a z nim cały nasz majątek! Zeno był dużo winien ludziom, którzy mieli w nim zaufanie. Ostatnimi czasy począł na swoją rękę handlować i przestał endzy towar przewozić... Wszystko pochłonęło to nieszczęsne morze, a długi tylko pozostały na tym domku. Zabiorą go nam za długi, zabiorą...

— Nie mówiny o tém, przerwał Konrad, da się dom może ocalić, zapłacę ja; ale jak powiemy o tém Cazicie?... jak ona to przeniesie?... Jesteścież pewni, że Zeno zginął? Może go gdzie u brzegu uratowano, może chory leży?... Ileż to było takich wypadków, że po latach już, za zmarłych miani, wracali marynar-

rze do domu, gdy ich już oplakała rodzina?... Czy zginął pewno?

— Ale przecież nie kłamałby stary Toro, który ocalał, wrócił i najmuje się już teraz tylko do cudzych gondoli, wożąc po kanale... Zobaczycie go sami, stoi obdarty biedaczysko przy Calle Annunziata. Toro mówi, że trupa na oczy swe własne widział, poznał go po sukniach i po włosach, ale to było w chwili, gdy sam się ratował jeszcze. Na głowie krwi dużo... na twarzy... Śnaź, gdzieś nim fala rzuciła, bo pływał tak, że gdyby był żył, uratowałby się był pewno.

Konrad stał przygnębiony, martwy... Drżał namysł tę, że po jego twarzy, smutku, Cazità nieszczęsną odgadnie nowinę.

— Cóż z nią zrobimy! zawolał.

— Nic jęj mówić nie potrzeba, przerwała ciotka musimy przestrzedz Tora, żeby się gdzie skrył i nie wygadał! Ona się powoli domyślać może... przygotowuje do nieszczęścia; niech na nią jak piorun nie spadnie.

— Ale czy nie więcej znuży ją niepewność, domysły, podejrzwanie? mówił Konrad.

— Zostaw to mnie... ja będę wiedziała, jak z mojem dzieckiem postąpić, przerwała ciotka; ty siadaj do gondoli i pływ... wyszukaj Tora, każ mu się skryć, daj mu na życie, bo Cazità wyjedzie, spotka go, a zobaczywszy domysli się wszystkiego...

— Cóż jęj powiecie, gdy wstanie? spytał Konrad.

— Zem cię posłała do miasta... Przywiesz z sobą chleba, owoców, wina, ryby... u mnie w domu nie ma nic... odrobina oliwy, sałata z ogrodu... ot czém żyłam od kilku miesięcy, bom nie sprzedawać nie śmiała ze sprzętów, a nie było grosza... coraz ciszej

poczęła ciotka Anunziata. Ale dla mnie to nie... ja tak bardzo jeść nie potrzebuję, a czasem też zapraszali mię na fryturę sąsiedzi...

Wpatrując się w twarz jej Konrad dostrzegł teraz dopiero, że głód jednak zostawił na niej ślady; była żółtsza niż kiedykolwiek i bardziej niż kiedy wydawała się zgrzybiałą.

— Jedź, jedź zaraz, rzekła do niego, a powracaj prędko, nim się dziecko obudzi; nie trzeba, żeby się rychło domyślić czego mogło.

Konrad niedobrze wiedząc co czyni i co się z nim dzieje, pobiegł ku brzegowi szukając gondoli. Nastręczyła mu się prędko, przewoźnik był znajomy, stary Mazino... Popatrzał on na niego i powitał kiwnięciem głowy smutném.

— Dawnoście tu?

— Tylko co przybywam... rzekł Konrad...

— Ale wiecie już zapewne wszystko, dodał Mazino. Każdy co znał kapitana, żałuje go, dobryż-bo, dobry był człowiek!! Świeć Panie jego duszy!... Zginął, jak morsey ludzie giną prawie wszyscy w końcu. Morze długo przebacza, ale nie daruje nikomu na ostatku, trzeba się słonej wody napić...

Oggi figura,
Domani in sepoltura!

Tak! tak! eccellenza! Szkoda i jego, i statku. Statek był dobry, chodził żwawo i lekki był jak piórko.

Konrad nie odpowiedział... Wysiedli na Rivie, a ledwie kilka kroków uszedłszy, dość żywo uczul się potrąconym przez przechodnia i obejrzał...

Chłopak, który się o niego biegnąc uderzył, obrócił się także... Niby znajoma jakaś twarz i rysy, ale których od razu przypomnieć sobie jakoś nie mógł, zastanowiły Konrada.

Odarte chłopię stanęło także i krzyknęło... Dopiero wtedy poznał pan swojego dawnego węgryzka, ale *quantum mutatus ab illo!*

W istocie trudno było w zgnędniałej; bladziej, schudzonej istocie domyslić się żwawego, rumianego, wesołego dawniej chłopaka.

— Maciek! zawołał Konrad nie dowierzając oczom swoim: to ty!?

— A! to ja! to ja! ze złożonemi rękoma zbliżając się do niego krzyknął chłopiec, cały drżący z radości i uczucia. Pan tutaj? dawno?

— Od wczoraj!

— O mójże ty miły Boże! a toż szczęście, że ja pana potrafił a napotkał, i że go oczy moje widzą jeszcze, a tak mi też tęskno było do was, ba! do wszystkiego... do wszystkiego.

— Cóż! jak ci tu Maćku? coś mi nieszczególnie wyglądasz? czyś chorował?

— Nie, nie, proszę pana, jaskając się rzekł Maciek z jakąś dumą; niczego mi, niczego, owszem dobrze, nawet bardzo, ale tak... mówią, że to człowiek chudnie przez to, że rośnie...

Spuścił głowę pomieszany, Konrad przybliżył się chcąc mu się lepij przypatrzeć, z Maćka cień ledwie został.

— Spodziewam się, żeś miejsca nie stracił; możeś się nawet już i wyzwolił, i ożenił?

Maciek poskrobał się starym obyczajem po głowie.

— A! gdzie zaś! proszę pana, od onego to czasu dużo się, dużo zmieniło, ta i o ożenku ani myśleć.

— Cóż się stało?

— E! panie, ta dziewczka to nie półdyablę, ale dyabel cały, niech ją wciórnatki porwą, bodaj świata nie widziała!

— A nie klnieźże tak Maćku!

— Co tu kłąć, proszę ja pana? jabym ją zabił, gdybym mógł, tyle się przez nią ucierpiało i cierpi... A co majster nabiedował... I co pan powie? jak nam obu za skórę zalała, ano... ot oba tę niegodziwą tak kochamy jak utrapieńcy... i na to nie nie poradzić.

— Mówiłżeś, że zabiłbyś ją?

— Zabićbym zabił, proszę pana, a kochać człek kocha do waryacyi.

— Szczęście jeszcze, żeś się nie ożenił; ale cóż się tam z wami stało? zapytał Kourad.

— E! inoście tylko państwo wyjechali, poczał wzdychając Maciek, jam stanął u majstra do roboty. Ona miała do klasztoru se jechać, ale to się ściągalo, ściągalo, bo jejmościanec nie było do smaku. I mnie też z razu w to graj, mogłem się czasem zobaczyć, a no i pogadać, bo się już tu włoszczyznę przegryzać po trochu zaczęło. Wabiła bestya oczyma jak na wędę, lgnęło serce, lgnęło... Przysięglbym był też, że mnie kochała. Ano, wszystko to były zdrady, bo dawno miała innego kochanka i nie takiego, co by się z nią mógł ożenić, tylko wielkiego pana, do którego się wkradala tak zręcznie, niby do kościoła... niby na odpust, a to sam, a to tam, że nawet ojciec się nie

nie domyślał. Jam tam był piąte koło do wozu na zapas ino, żebym się kim zastawić było w biedzie... Nierychlom się dowąchał, bo nnie tak trzymała na lańeuchu, a wierzyłem téj pokusie jak rodzonemu ojcu... Trwało to długo, aż jednego razu idę ja od majstra posłany przez te uliczki co za Merceryami się wiklają; patrzę, stara baba w łachmanach na czółenku u brzegu prosi jałmużny, bo ono tu taki zwyczaj, że za jałmużną pływają, jak gdzieindziej chodzą. Czółenko było stare, odrapane, dziurawe, pozatykane klakami ze smołą, aby w niego woda nie szła, a biedoty na nim, łachmanów kupka, a przy nich starszka garbata... istna śmierć koścista, a na nich wnuczátko jęj krzyczy w pieluchach z głodu. Tak mi się z téj baby przypomniała wieś nasza i stara Marcinowa chodząca po jałmużnie, ta i nie wiedzieć jeszcze jakie rzeczy, tam swoje, że mnie liłość wzięła okrutna i dalem jęj groszaka, mało mnie w rękę nie pocałowała. Otoż nie, poszedłem za interesem, ta i wróciłem se nazad. W tydzień znów na inném miejscu, patrzę, stoi czółenko z babą u brzegu... dziecko krzyczy znów, tknęła mię Marciniowa, dalem grosz: „Módl się za moich starszko.“ No! i zapomniałem o nićj. Po tygodniu albo i więcej, trzeci raz mi się nawinęła, kiedyni chciał dać jałmużnę, aż ona mnie za rękę z czółna: — „Stój, poczekaj.“ mówi. — „No, a co?“ pytam. — „Za jałmużnę jałmużna, pocciwy chłopce, rzekła. Wszakżeś to ty ten, co terminujesz u Naniego, a starasz się pono o Maryettę? Polaczek? nie prawdaż? ludzie mi tak mówili.“ — „Ano, tak, prawię, co cóż?“ Pokręciła głową jakby się litując nademną... „Oj żalże mi cię, żal!“ zawołała. — „Dla czegoż znowu żal?“ — „Ino mi ci się serca krwawić nie chce, a powie-

działabym ci coś“..—„To mówcie, rzekłem, jeśli z do-
brzej woli.“— „Z najlepszej, powiada, kocham cię jak
syna, boś pocziwy, a kamień sobie do szyi wiążesz.“
Słucham ją i dziwnie się strasznie: co to jest? a ta mi
szepce:—„Chcesz wiedzieć prawdę? Pójdź jutro o go-
dzinie ranniej, weź gondolę zakrytą i zamkniętą, a
pływaj pod pałac Vittorinich, i patrzaj się no dob-
rze, co się tam dzieć będzie.“

I to rzekłszy, baba kijem się odepchnawszy od
brzegu, popłynęła sobie dalej, a jam stał, jakbym
w kamień wrósł. Myślę sobie: co to jest?... Kie tam
lichu w tym pałacu? co to ma do mnie? Ale kiedy ba-
ba gada... wie co mówi, potrzeba tę rzecz przegrze-
bać. Już mi do jutrzejszego dnia czekać było jak ry-
bie na ruszeie... ani jeść, ani spać, tyłkom myślał, co
ja tam za biedę zobaczę? O godzinie, jak potrzeba,
biorę gondolę i płynę, ledwiem się u majstra wypro-
sił... Oczy wytrzeszczam, serczyśko bije gdyby mło-
tem.. aż tu druga gondola za mną śpieszy i tuż pod
wjazd sklepiony, jakby do domu, aż ku wschodom
dopływa, a z niej wysiada... Maryetta, i wprost ot tak,
na ręce młodego Vittoriniego, który ją w pół ujawszy,
poprowadził się razem na górę. Tehu mi zabrakło,
kiedym to zobaczył... Zrozumiałem co baba mówiła,
ale nie wierzył oczom; czekałem godzinę, dwie, trzy,
nareszcie się wymęczywszy doczekał, że jejmościanka
taż samą gondolą, jakby nigdy nie, odprowadzona przez
tamtego, siadła i odpłynęła. Wysadzili ją pod placy-
kiem, ino skoczyła na brzeg, ja w ślad za nią. Nie
chciałem w domu przy ojen historii jej robić... i go-
nię... „Czekaj! gdzieś bywała?“ Ta mi się uśmiecha i
prawi, że w kościele. „A piękny mi to kościół! odpo-
wiadam, jeszcze o takim słyechu nie było.“ Zaczewie-

niał się, a spojrzawszy mi w oczy, jak mię palnie z przeproszeniem jegomości, po pysku... „Trutniu jakis! zawolała, to ty mnie psie N. Panny szpiegować będziesz!... Jeszczem za ciebie za mąż nie poszła! prawa do mnie nie masz!...“ I pobiegła, a jam został jak głupi... Co tu robić? Ojcu powiedzieć, to ją zabije, albo co... milczeć nie mogę; ścierpieć tego się nie godzi... porzucić ją... aż się serce drze. W jednéj téj chwili, proszę pana, poznałem więcej bólu i frasunku, niż przez życie całe. Choć idź, i utop się!... Powłokłem się do majstra, jeszczem od niego dostał pamiętne za zbawienie tyle czasu... Siadłem do roboty, ale gdzie mi tam do niej! Szydło palce kole, a dratew chodzi, by opętana. Wieczorem ino uchyliła drzwi i rzuciła mi przez szparę: „Muszę mówić z tobą.“ Czekałem tylko, by majster odszedł, i choć mi było pod plagami zakazane na górę do niej chodzić, smyknałem. Patrzę: siedzi i płacze, ale tak, jakby nie ze smutku, ino ze złości. Ledwiem na próg... wstała, podeszła, mówi mi tak: „Słuchaj psie jakis, słuchaj niegodziwy! jeżeli ojciec się dowie, jutro ty żyć nie będziesz... nóż w serce ci tak wbiję, że Jezus Marya nic rzekniesz, i z kamieniem u szyi powiezie cię ktoś pod murazze i zatopi... Nikt w świecie wiedzieć nie będzie, co się stało.“—Gęby nie umiałem otworzyć... „Czy się ze mną ożenisz czy nie, jak ty sobie chcesz, mnie wszystko jedno, znajdę dziesięciu na twoje miejsce, ale jeśli piśniesz, gotuj się na śmierć!... Aż mi się lzy z oczu potoczyły, bom ją kochał, Bóg widzi, szczerze a pocciwie, i miałem ją też za uczciwą; więc jak nie wezmę się z nią certować, prosić, to, owo, myślałem, że się w niej co obudzi, ale ta w śmiech tylko ze mnie. —„Cóżes to ty myślał, powiada, smyku jakis bezwąsy,

że to ja się w twojej mlekiem powalaną brodzie rozmiłuję?... albo mnie to iść za szewca? Przypatrz-no się, czym to ja nie na co lepszego stworzona? Jeśli się on ze mną ożenić nie zechce, albo nie będzie mógł, znajdę męża łatwo..." Jąłem ją pytać po co mnie było zwodzić? a ta plunawszy, powiada:—„Kiedyś głupi, pokutuj.“ Jeszcze mnie zbezczeszcila, proszę pana, do ostatniego. Wyszedłem gdyby z łaźni, głowę do reszty postradawszy. Nazajtrz stary szewczysko spostrzegł, że się coś niedobrego święci... alem go zbyt ni tēm, ni owēm; myślał, że to sobie zwykle termedyc, jak to bywają kolo kochania, a jam też mileżał... Trzeciego czy czwartego dnia jakoś się jej litość zrobiła nademną, poczęła być łaskawsza, a trzęsła mną, jak sama chciała, bobym był za nśmicch jej mało nie życie dał. Otoż jak się owo nieszczęście poczęło, myślałem, że tego dyabła swojego porzuci, ale gdzie zaś!.. a mnie trzymała istnie jak psa na uwięzi, żeby oszczekiwał podwórko. Tymczasem ojcu ktoś szepnął... nicem ja o tēm nie wiedział. Ojciec wpadł na górę i zbil ją na śmierć. Na krzyk wpadłem bronić; dostało się i mnie od niego, a co gorsza, nazajtrz, kiedy idę wieczorem nie myśląc nic, aż mnie polaskotał ktoś pod żebro tak, że m padł, pożegnawszy świat boży. O włos chodziło, by mnie nie zabił, a co się krwi slysze wytoczyło, starczyłoby konia napoić, jak ludzie mówili. Przecię Matka Miłosierdzia ratowała, ludzie nadeszli i nie dali mnie wrzucić do gondoli, bobym był pewnie na dno morskie popłynął czekać dnia sądnego. Jakoś się w szpitalu św. Rocha wyskrobałem, a Maryetta przyszła mnie przeprosić, bo się dowiedziała za późno, że ją kto inny wydał, nie ja... i żał się jej zrobiło, com dla niej tak

cierpiał... Mogę powiedzieć, że mnie ona do życia przywróciła dobrém słowem; ale już od tego czasu do siebie przyjść nie mogłem, a dyablica jeszcze mi gorzej znów w serce się wpila.

— Cóż się z nią stało? zapytał Konrad.

— A cóż?... ojciec odesłał do klasztoru, a na drodze ją odbili, i nie wiadomo gdzie uprowadzili. Ja myślę, że tu jest, tylko się ukrywa. Stary mało nie oszalał. Bardzo się nieboraczysko przywiązało do mnie, bo kochamy ją oba równo, choć tego kochania niewarta.

Konradowi pilno odejść było, aby co prędzej do żony powrócić, i chciał biednego Maćka pożegnać, ale chłopak z płaczem się niemal uchwycił dawnego pana.

— Mój jegomościu! mój drogi! nie pozbywajcież się mnie. Już kiedyś ja was zobaczył, zawołał, to biegnę dnem do majstra o pozwolenie i powracam, żeby być przy was i z wami... A! panie! panie! żeby nie ta dyablica, czy jabyś był pana porzucił?... Nie wiedziałem ja, co to kosztuje do swojej ziemi tęsknić! Niem to ja nocą bezsennych przeplakał, przekliuając i ją, i tę jej Wenecją... bodaj ją morze zatopiło! Pachniał mi czasem chleb nasz, aż się człek nbeczał jak dziecko... śniły się drzewa nasze i pola, i pastuszków pieśni, i stare chaty, i stara bieda... a gdyby nie ta woda, toby człek czasem oszalałszy chciał być lecieć do swoich... Oj czy te panie! oj czary, czary, bo to nie może być innego, tylko mnie ona urokiem obrzucić musiała... to pewna... A tu nie było go komu zdjąć, takie babska głupie.

Popatrawszy na gondolę, którą mu pokazał Konrad, w skok rzucił się Maciek do swojego majstra

o pozwolenie, a Konrad poszedł szukać majtka, którego niełatwo znalazł.

Pokazano mu go nareszcie w lachmanach, odartego z posiwiałą, nieogoloną od kilku dni brodą, wspartego o mur i wygrzewającego się na słońcu. Toro był jakby zgnębiony na umyśle dolą swoją; mówić mu było ciężko, słowa z ust wychodziły powolnie i niebardzo powiązane z sobą.

Zrozumiał wreszcie o co go pytał młody człowiek, i czego od niego żądał.

— Jestżeś pewien, że kapitan zginął? dodał w końcu Konrad; — że się nie uratował, lub że go nie uratowano?

Pomyślał długo Toro, i ramionami ruszył.

— Jeśli umarli wracają, to i on na świat może powrócić, rzekł. Zeno nieboszczyk pływał jak ryba, ale skroń miał rozbitą, okrwawioną... a gdy na trupa trafił, to go już woda nosiła i rzuciła nim jak drzewem, a twarz miał zieloną, trupią. Nie! nie! rzekł: nie może on żyć! Z nas wszystkich jednego mnie Pan Bóg ocalił tylko, abym miał czas za grzechy odpokutować.

Konrad dał biedakowi na życie i polecił, aby się nie pokazywał nigdzie, przynajmniej przez czas jakiś.

Toro patrzył na pieniądze, głową kiwał w milczeniu... Nie mógł sobie wytłómaczyć, czego chciano od niego.

— Wszystko to dobrze, mówił: ale to tak nie może być... Ja za żadne w świecie pieniądze zamknąć się nie dam, ino wam powiadam gdzie będę, abyście unikali tych miejsc, bo na niewolę to się ja nie zgódzę, a i do kościołów chodzić muszę.

Nakupiwszy co było potrzeba do domu, Konrad powrócił do swój gondoli, która na niego czekała. Tu zastał już nietylko Maćka z węzelkiem pod pachą, ale i starego szewca, który przez ten rok niespełna tak postarzał, jakby mu ich dziesięć przybyło.

Nani wyciągnął do niego rękę z czapką milezający, a z za okularów łzawemi spojrział oczyma.

— A co? wyście też z powrotem! Hej! hej! paneczku! kogo to miasto raz, pochwyci tego już nie puści nigdy, podobno aż chyba na ementarz. Patrzycie na mnie... hej! hej! widzę ja, widzę, myślicie: „Stary się posunął.” Ale i wam tak z oczu patrzy, jakbyście też niespełna byli szczęśliwi... A wasze teścisko... dobry człek... ot! po nim. Tak to z nami... mój dobry panie... aby do końca!!

Westchnął, splakawszy się starowina.

— Maćka wam pożyczam, rzekł; ale mi go oddacie, to moja jedyna poeiecha. Poczciwe chłopczysko! jeszcze z nim człek choć o swoim kraju pogada, wystęka się, to i na sercu lżej, biedy się zapomni.. A muszę też panu powiedzieć, że z niego będzie rzemieślnik jakich mało.

I poklepał go po ramieniu.

Maciek pocałował w rękę starego, ale już skoczył do gondoli, i libiby zaraz odbili od brzegu, gdyby ich z dala poznawszy, nie nadbiegł *il gran budrow*, stary znajomy Zanaro, szlafmycą potrząsając w powietrzu.

— Eccelenza! eccelenza! wołał: a niechże mam to szczęście choć was powitać na ziemi ojców waszych znówu. Jakże zdrowie? jak humor i dola?

— Ano, jak widzicie... signor Zanaro... wzdychając rzekł Konrad.

— Pojmuję... zmartwienie z powodu zgonu tego nieoszacowanego kapitana Zenona—pokój jego zaczęj duszy! tak! tak! szkoda wielka. Długów słyszę że stawiał mnóstwo, więcej niż ich stara domina dźwignie.

— No? a u was, signor Zanaro... dobrze wszystko?

— Ja! eccellenza, mam metodę moją, żeby mi na świecie dobrze było... jest niechybna:—drwię sobie ze wszystkiego. Na świecie jak na morzu, dziś burza, jutro pogoda, wieher i cisza; otoż w burzę trzeba sobie mówić, że nie potrwa, a wśród ciszy spodziewać się wiatru.

— Wszyscy zdrowi?

— Chwała Bęgu, ale jakże? byłeś eccellenza tu u nas, gdym pierwszą żonę utracił?

— Jak to? zmarła? spytał Konrad.

Zanaro skłonił głowę na piersi, ręce złożył, westchnął, i podnosząc oczy ku niebu, rzekł cicho:

— Powołał ją Bóg do swęj chwały; a nie ma co mówić, jeśli ją tak śpiewać będzie jak za młodu śpiewała... Głos miała śliczny... aniołowie dylettanci słuchać go będą z rozkoszą.

— Signor Zanaro już się miał czas powtórnie ożenić, rzekł szewc mruczając.

— Stój i nie sądz bliźniego twojego, nie chcesz-li być sądzonym, odparł Zanaro. Cożem winien, że we cztery tygodnie byłem zmuszony, mając nóż na gardle, ponowić śluby? A możeż być gospoda bez gospodyni? nie było podobna! Gdybyś zresztą wasza eccellenza chciał się pofatygować do sługi swojego i poznać nową żonę moją, oddalibyście sprawiedliwość gustowi mojemu. Jest to piękność znakomita... Między nami mówiąc, w gospodzie nicobojętną jest rzeczą piękna gospodyni... człek zawsze lubi patrzeć na arecydziela bo-

że. Otoż moja ukochana Ludovisa... może się nazwać arcydziełem; Pan Bóg z Fidyaszem się musiał radzić, gdy ją miał stwarzać.

— Pozostaje winszować tylko i złożyć życzenia, rzekł chcąc się go już pozbyć Konrad. Pokłońcież się i córcie waszój, signor Zanaro, pięknej Madelonecie!

Na te słowa gospodarz Krzyża Maltańskiego skrzywił się i głową odwrócił.

— Nie wspominajcie mi o téj niewdzięcznicy! zawolał. Dziecko wyrodne!! ktoby się mógł był spodziewać! Nie miała lat piętnastu pełna! ale chytróść i przewrotność była nad lata! Wystawcie sobie cecelenza, trzeciego dnia po ślubie moim z eudowną Ludovisą... pod pozorem, że macochy znieść nie może (a była to zazdrość niewieścia o piękną twarz mojego anioła), Madeloneta... szatańska, zabrawszy zręcznie wszystką gotówkę, klejnoty matki, srebro, suknie, ruchomości kosztowne, z podłym histryonem uciekła... słyszę do Bergama. Gdyby się z nią był choć ożenił, ale i to nie... Wydziedziczyłem ją na wieki.

Po ukończeniu téj historyi, mogła nareszcie gondola odpłynąć. Zanaro z szewcem poszedł powoli do Krzyża Maltańskiego.

Konrad zadumany siedział; Maciek patrzył mu w oczy, nie śmiał pytać, ale mu język paliła ciekawość.

— Już to, proszę ja pana—rzekł—teraz nie będę męczył, ale jak później, to mi pozwolicie popytać, co tam u nas się dzieje?... A! żebyście wiedzieli jak mi to pilno o waszyściusieńkiem z panem się nagadać!

— Pogadamy... odparł Konrad z dobrodusznym uśmiechem... bądź spokojny, nie pożałuję ci słów... bo mi i samemu miło będzie choć myślał tam uciec na chwilę.

Przybywszy, znaleźli Cazitę już rozbudzoną... w słomkowym kapeluszu, w dawnych swych sukienkach wybiegła się witać z ogródkiem... z kwiatkami... ze starą cytryną i winną latoroślą u ściany... z kamykiem, na którym siadać była nawykła... z obrazkiem Madonny wmurowanym w plot zagrody. Smiała się, śpiewała, gadała, ale czasem stawała zamyślona i łzami zachodziły jej powieki, trwoga jakaś i niepokój o ojca ogarniały ją.

Konrad zbliżył się do niej, usiłując przybrać postawę wesolą. Cazita nścisnęła go serdecznie i rozplakała się.

— Tyś nad wyraz dobry, rzekła,—a ja teraz wiem, jak tęsknić musisz do swoich. Ale wiesz... ciężki, straszny sen... przebudził mnie. Śnił mi się ojciec, straszliwie, okropnie blady, ze skronią skrwawioną, z piersią rozbitą... boję się o niego. Jutro pójdziemy do *Salute*, damy na mszę, aby nam go Bóg powrócił.

Konrad nie odpowiedział, tylko głowy skinieniem.

Ciotka już się nieco była ożywiła, wzięła Maćka w pomoc i krzątała się w zastygłej kuchni około obiadu, dobywała prowizye, wymyślała potrawy, cieszyła się, że kochaną siostrzenicę już będzie miała czém przyjąć. Czasem jednak odszedłszy do okna, cierała łzę fartuchem...

Konrad rzucony znów w ten świat, którego żyćcie poślubił razem z Cazitą, dźwigać je musiał, ale po mężku. Wiedział dobrze, iż niecierpliwość i zżymanie się na losy po niewczasie, jeszczeby nieznośniejszymi uczyniły pęta, co go ścisnęły. Starał się

więc z twarzą, jeśli nie duszą wesołą, iść dalej, dobrze nie wiedząc, dokąd go miłość dla kobiety zaprowadzi.

Najprzód po ciehu trzeba się było postarać o spłacenie długów ciążących na domku kapitana; napisał więc do starego Pukaly, zaklinając jego, brata i siostrę, aby potrzebną sumę w jak najkrótszym czasie mu dostarczyli. Nie było to tak łatwo, jak się zdawało, ale Konrad gotów był nawet zadłużyć wioskę, byle starą ową murowankę, którą jego żona tak kochała, ocalić. Strzegł też, pilnował, stróżował dokoła, aby wiadomość o śmierci ojca i rozbiciu się statku, do Cazity nie doszła. Było to dość trudnem, gdyż z każdym dniem niepokój o ojca się powiększał, domysły i smutki rosły, pytania się mnożyły, a nie wszystkich uprzedzić było można, aby milczeli.

Statek *Pu tre Antonio* niejedną już raz bardzo był długo w drodze, wieści nie dając o sobie. Zatrzymywany był wiatry przeciwnemi, oczekiwaniem na ładunek lub dalszą jaką wycieczką, ale zawsze o nim choć jakaś wieść przychodziła. Teraz Cazità napróżno biegała na wybrzeża, posyłała do marynarzy przybywających od Wschodu... nikt jej nie o nim powiedzieć nie umiał. Smutniała biedna w tej nieustannej o ojca trwodze i nadziejach próżnych. Ciotka Anunziata powoli przychodziła do siebie, oplakawszy kapitana i wymodlwszy się za jego duszę. Cazità żyła jeszcze zawsze złudzeniem, które przez miłosierdzie nad nią pielegnowano.

Tak dni płynęły w smutnej teraz dla Konrada Wenecyi, na strzeżeniu Cazity i na długich z Maćkiem rozmowach.

Któżby się był mógł spodziewać, że ów biedny chłopak tak wielką będzie wygnańcowi dobrowolnemu pociechą? Z każdym dniem rosła, zwiększała się tęsknica jego do kraju... Nie chciał jej pokazywać po sobie, ale gdy się z wyschłym od smutku Maćkiem zeszedł na piaszczystém wybrzeżu Lida, chodzili często całe wieczory, spędzali długie godziny, mówiąc nie wiedzieć o czém, byle kraj swój przypomnieć. Konrad tał dobrze cierpienie, ndawał wesołość i swobodę, któręj w duszy nie miał; ale z każdym dniem uciesniony był mocnięj nieprzewyciężonym bolem po utraconym domu i życia własném dla tego zapożyczonem, obcego, cudzego. Wenecya całkiem mu teraz obrzydła; godził się z Maćkiem na wynajdowanie w nięj samych skaz, plam i niewygód... ale w domu przy Cazicie wszystko potrzeba było chwalić i ze wszystkiego się cieszyć. Cazitą, gdy ją trochę ominał niepokój o ojca, żyła swoją Wenecyą, cieszyła się nią, kwitła; a ile razy Konrad wspomniał o podróży, usta mu pocałunkami zamykała, nie dopuszczając nawet mówić o nięj.

Położenie to dla biednego wygnańca coraz się nieznośnieszem stawało... Pokój, szczęście, swoboda znikły z jego twarzy; dręczył się, marniał w tęg walce męskiej, którą wytrzymywał jak Spartanin, pożerany od zwierzęcia dzikiego, co mu piersi tajemnie szarpało.

Jedyną pociechą było — gdy Cazitą z ciotką gwarzyła wesoło — wyjść gdzieś daleko z Maćkiem i o swoim kraju pogadać.

Tęsknica karci się wszystkiém, co spotka... tak jest zgłodniała i spragniona... ogryza suchą korę, pożera liście opadłe, którychby już nikt nie tknął. Maćciek był skarbem dla Konrada, choć niewiele z nie-

go dobyć można było... rozpytywał, przypominał i zawsze prawie jedno powtarzał.

Czasem tylko biedne chłopię od swojego pana, któremu służyło teraz wiercić niż kiedy, wymykało się do swojego majstra, aby tam języka dostać o Marycie... ale słyhu nawet o niej nie było. Dawny kochanek Vittorini mieszkał w Wenecyi, prowadził życie wesole i płoche; zdawał się wcale o nią nie troszczyć. Pilne śledzenie okolo pałacu do żadnego nie doprowadzało odkrycia.

I Nani też, który się był do chłopca przywiązał, przyhywał czasem na Lido, gdy go przez dui kilka nie widział, aby się o nim dowiedzieć. Naówczas kupka tych ludzi razem wyszedłszy na nstroń, przegawdziła często godzin kilka nie wiedzieć o czém, ale zawsze o czémś swojém.

Dziwne to były rozmowy, zawsze prawie jedne, wiecznie się powtarzające, a przecież tak skuteczne, że na zbladłe twarze i zamilkłe usta wyprowadzały trochę rumieńca i żywe wyrazy. Maciek rozpytywał, Konrad odpowiadał, a Nani jeśli był przytomny, słuchał gwałn i niekiedy słówko swoje ze starszej przeszłości dorzucił. I parę godzin czasami spłynęło tak w słodkiem zapomnieniu terażniejszości.

— Mój jegomościuniu — rzekł jednego dnia Maciek do chodzącego po wybrzeżu Konrada — mój jegomościuniu, proszę ja pana, jeśli mnie spytać wolno, co my dalej robić będziemy?... Nie już tak życie całe dreptać po tym piasku i stękać?... a czego my się tu lepszego doczekamy?

Konrad spojrział na niego i ramionami ruszył.

— Czegożbyś ty chciał? spytał.

— Otoż to, proszę jegomości, że ja sam nie wiem, czegooby tu chcieć, żeby człowiekowi było lepiej. Pojechać precz z Wenecyi, to się człowiek znowuż po tój dyablicy zatęskni... a nuż ją kiedy sumienie ruszy, albo bieda przybędzi!...

— A gdyby? cóż? ożeniłbyś się? rzekł Konrad.

Maciek po głowie się skubnął, ramionami ściskając.

— Bogać to kto wie coby zrobił! jakby mi zapłakała, toby człek za nią w studnię skoczył!

Konrad się uśmiechnął tylko.

Pochlebca Maciek zaraz inaczej pokierował rozmowę na tryb swój zwykły.

— El proszę jegomości, która to teraz godzina?

— Dobrze z południa... za parę godzin to się ku zachodowi będzie miało.

— A tak, prawda, rzekł Maciek, — a dziś mamy jak obczył sobotę, to już jakbym widział co u nas w Robninie się dzieje. Ja myślę, że tam około siana musi być rozgardyas wieki, żeby je kiedy nie w stogi, to w kopice pościagać wszystkie, nechowaj Boże w niedzielę deszczu. Pukalo krzyczy a lata... „Pośpieszajcie dziecil“... gumieny sobie na dereszowatym się zwija... Ano pewnie już ta łąka, co pod lasem, musi być pokoszona, bo o tój porze bywało czasem w stogach stoi... ino tę na ostatek zostawiają, co najdalej, bo tamtęj tak nie psują szkodnicy i siano lepsze, choćby słoty przyszy, niewielka szkoda... Proszę jegomości, czy też Pukalo zawsze w tym białym kitlu chodzi, co to, jak zapamiętam od dzieciństwa, służył mu na lato, a od prania się był pościagał, że ledwie go już mógł włożyć?

— A pewnie... odparł Konrad.

— Jakbym go wczoraj widział! mówił Maciek. Pewnie i klucze zawsze w tój samėj kieszeni, a z drugiej czerwona chustka wisi jak bywało... A co czapczyzna wytarta, gdyby mu kto i darował nową, nie włożyłby innėj... Jak sobie raz o gałąź rozdarł, a Murzynowska mu ją zacerowała... tak po dziś dzień...

— Jak ty to wszystko pamiętasz!... westchnął Konrad.

— A! proszę jegomości! ja dalipan nie wiem, dał Maciek—zkał się to mnie bierze, a jak człowiek zacznie dobywać, dobywać, wszystko znajdzie co kiedy przypadkiem do głowy mu zaleciało, do ostatniej odrobiuki... Żeby tak malować umiał jak ci, co to po kościolach i wielkim dworze (palac Dożów) malowali, toby tak rychtyk namalował gdy by żywych i starego Pukałę z podstrzyżonym wąsem siwym, i Murzynowską w czepcu białym z chusteczką żółtą w szafranie farbowaną i szlafroku cycowym wzorzystym, i dobrodzieja w sutannie wytartej na lokciach i kolanach,—at! at! i wiele ich tam jest... wszystkich...

A czy my tam jeszcze kiedy powrócimy? gwarzył Maciek. Żeby człek choć gdakanie starego zegara posłyszał, toby był szczęśliwy, wszystkoby się zapomniało, a splunąwszy na marę, możeby i te przekłete czarne oczyska z pozwoleniem, tój małpy... poszły precz... i co się człowiek dla nich wycierpiał...

Umilkli na chwilę.

Potém Konrad przypomniał, jak Maćka nieraz brał na polowanie, jak stawali kędy słomki ciągnęły, jak się zasadzali na cietrzewie i głusce.

Maciek znów wpadł na zimę, i sanna i kuligi, na kolędy Bożego Narodzenia, co je z rzemieślnikami odprawiał, na figle płatane staremu Pukałę, który

wycia psów cierpieć nie mógł, a chłopcy udając je pod jego oknem, uspokoić mu się nie dawali. Co wyleci stary z bizunem na podwórze, a skropi psy niewinne, które skowycząc poniekają, to za chwilę nowy koncert pod oknem, ale nim Dalifur z dyscypliną wyskoczy, już chłopcy po wyżkach i chlewkach... Trafiło się, że i Murzynowskićj napędzili strachu, bo wierzyła w duchy, to jćj do okiennic pukali nieraz... że nieboraczka świecę po północy zapalać i do różańca uciekać się musiała.

— Żebym ja miał rozum, kończył poufale rozgadyjąc się Maciek, byłbym ja ludzi posłuchał... Taż to proszę jegomości, stręczyli mnie wszyscy Kachnę, kowala córkę, tę, co potem poszła słysząc do miasteczka za stolarza, a była dziewczyna niczego, prawda takich bestyjskich oczu nie miała, ino siwe, spokojne, co jak się popatrzy, to człowiekowi jakoś jakby na sen się zbierało, ale porządna, stateczna i pobożna... I ojciec słysząc nie był od tego, i ludzie zmawiali, i ona się uśmiechała niekrzywo do mnie, ale widać woli bożęj nie było. — Albo proszę pana Maryśka, ta co gumieny ją wziął, niczego i ta... miała trzysta złotych swoich własnych po ojcu, i odzież bardzo porządna, i sama gładka a rezolutna jakby z miasta. Ta mi nawet była do serca przypadła, i nosiłem jćj jabłka i orzechy, i omal co do pierścionków nie przyszło... kiedy gumieny przypadł i zmówił... Słysząc nawet gadała, że byłaby mnie wołała...

Pomiarkowawszy się Maciek, że zbyt może się rozgadał, zatrzymał się nagle.

— Ale co ja tam pana będę tém nudził!

— Praw Maćku, nic nie szkodzi...

— Ano, już dość, zawołał chłopak: człowiek jak się rozgada, rozmarzy, to mu się potem całą noc mały snują po głowiznie... a tu już żywój biedy dosyć, żeby jeszcze sobie senną samemu gotować...

W takim życiu tęskliwém przerywaném chwilami cichego zapomnienia u boku Cazyty, płynęły miesiące... Konrad w oczach nikł, sechł i bladnął; postrzegli to wszyscy, że na zdrowiu źle było, ale się ani czuł chorym, ani na cierpienie skarżał. Świat tylko powoli cały mu obojętniał... ochoty do życia coraz bardziej brakowało.

Cazyta coraz dla niego była czulszą, wiedziona jakby przecznieciem jakimś i obawą. On zawsze równie był w niej zakochany, ale milczący, przygnębiony, jakby zrezygnowany na los, który go spotkał.

Brak zajęcia także przyczyniał się do zwiększenia strapienia. Brał książki do ręki i rzucał, szedł oglądać miasto i wracał nie nie widząc, jeździł z rybakami, a zamyślony na pokładzie przesiedziawszy kilka godzin, budził się jakby ze snu, gdy nazad do łądu przybili.

Pieszczoty żony nie nie pomagały; słodkie jej szepty koily chwilowo tęsknicę, powracającą coraz gwałtowniej do serca.

Maciek, który już znał usposobienie pańskie, jak skoro go zobaczył wysuwającego się na odludne wybrzeże, szedł za nim po cichu, powoli od słowa do słowa zaczynała się rozmowa o domu, co to tam oni teraz robią? Pukalo, Murzynowska, ksiądz proboszcz, stary zegar w sieniach, stary pies podwórzowy, konie stajenne, wierzehowiec jegomości...

Godzinę i dwie pan i sługa opowiadając na przemiany, usiłowali zapomnieć teraźniejszości.

Konrad nie miał w sobie siły, aby się z nią wyzwolić; naostatek tak podpadł na zdrowiu i humorze, iż i ciotce Anunziacie oczy otworzyły się acz nie-rychło.

Poszła raz za nim do ogrodu, i siadłszy na kamieniu pod rozpiętą winną latoroślą, rzekła do niego:

— No, dosyćśmy już téj biednej Cazyty strzegli, czas przecię z tego wyjść, nie można tak całe życie tać przed nią śmierci ojcowskiej i zostawiać jej w ciągłych nadziejach i złudzeniach...

— Niech się dowie, jak Bóg da; ale ja nie mam serca jej trapić, rzekł Konrad; wy jej też pewnie sami powiedzieć się nie podejmiecie.

— A! uchowaj Panie Boże! odparła żywo ciotka. Ale gdyby Tora spotkała...

— Róbcie sami co się wam zda, zakończył Konrad; ja się do tego mieszać nie chcę...

Rozmowa ta wieczorna skończyła się łzami ciotki Anunziaty, nie doprowadziwszy do niczego. Nazajutrz rano Cazyta wstała z rozjaśnioném obliczem na podziw wesółą. Przybiegła w cień, gdzie ciotka była śniadanie na podwórku przygotowała, ożywiona, z oczyma błyszczącemi, niespokojna, lecz dziwnie wesółą.

— Ciocin! mążul zawołala zbliżając się: wiecie? wiecie?... doskonale uowiny... ojciec — ojciec...

Tu Konrad i Anunziata spojrzeli na siebie z politowaniem.

— Ojciec się zbliża, powraca...

Anunziata zebrała się na odwagę uczynienia jej kilku surowych prawie przestróg, aby w sny i ma-

zenia nie wierzyła, dodając nawet śmielój, że wszyscy w Wenecyi źle o losach kapitana wróżą.

Ale Cazità ruszyła tylko ramionami, spoglądając na ciotkę...

— Nie śmiecież się ze mnie, rzekła,—nie dziwujcie mi się. Kochał kto z was kiedy jak ja ojca, jak ojciec mnie? O! nie! wy tego znać i pojąć nie możecie, co to miłość dziecięcia dla takiego rodzica, który mu matkę zastąpił, wynosił na rękach, przy sereu!... On i ja, mieliśmy jakby jedno wspólne życie; gdyby umarł, jabym poczuła, jakby mi mojego pół ubywało. Słuchajcie! zawołała z błyszczącemi oczyma natchniona. Ja wiem wszystko od dawna, widzę, choć mi nikt nie mówił; wy sądzicie, że statek się rozbił, że ojciec utonął, wam to mówili ludzie, a wy uwierzyliście ślepi... To fałsz! On żyje... ale przebywał i przebywa ciężką dołę... Był raniony, topiony, o mało nie utracił życia... wszystko zwyciężył, ażeby do mnie powrócić. Ten, który był sprawcą nieszczęść jego, pierwszym ich powodem,—znajduje się tu w Wenecyi. Czuję to... sprawiedliwość nie minie, powłoką go na Piazzetę... i głowę mu utną.

— Kochana moja, przerwał jój Konrad prawie ze strachem: ty marzysz, tworzysz sobie sny i widziadła, ludzisz się niemi, życie spędzasz w tych urojeniach, nabijasz sobie niemi głowę...

Cazità tęsknie zbliżyła się do niego i pocałowała go w czoło.

— Nie broń mi, szepnęła,—nie guciwaj się na mnie, bądź cierpliwy... przekonasz się, czém jest serce córki i jak silnym węzłem wiąże miłość dziecięcia. Bądź dla mnie tak dobrym do końca jak byleś.

Konrad zamilkł pokonany, ale ciotka gderać zaczęła.

— Już pewnie rodzona matka nie kocha mocniej córki, niż ja ciebie... Tailan przed tobą wszystko, chcąc cię przygotować... ale nie czas się łudzić... Ojciec twój nie żyje... statek się rozbil... Jeden z jego majtków ocalał tylko... jest tutaj.

— Który? gdzie? szybko zawołała Cazità. Pokażcie mi go... potrzeba uwięzić, to zabójca!

I Konrad, i Anunziata zdziwili się gorącości, pewnością, z jaką to wymówiła. Cazità niezłęknioua bynajmniej, stała drżąca tylko niepokojem, aby się jój ten człowiek nie wymknął... O ojca zdawała się być spokojną.

Napróżno teraz starali się już całą przed nią odkryć prawdę... miała przeczucie, widzenie, jakąś pewność, której nie zachwiać nie mogło. Konrad zaledwie potrafił jój wytłómaczyć, że żaden sąd w świecie na snach opierając się, majtką ocalonego pociągnąć nie mógł. Cazità zamilkła wreszcie, palcem pokazując niebo.

— Bóg sprawiedliwy, zawołała: zobaczycie, ja więcej wiem od was... ja widuję ojca we śnie, codzień mam wiadomość o jego zbliżaniu się do nas... on jedzie i lada chwila tu stanie... jam pewna...

Nie chciała słuchać nic więcej nawet. Ciotka Anunziata trochę słaba i przesadna, uczuła się zachwianą i gotową już uwierzyć w te przeczucia i widzenia... zamilkła. Konrad postanowił też zostawić wszystko czasowi.

Tak znów upłynęło kilka tygodni jednostajnym zawsze życiem. Konrad chodził na rozmowę ze swym chłopakiem, Anunziata się modliła, Cazità wysiady-

wała u brzegu morza, przyglądając się przybywającym okrętom, upatrując statku, który miał ojca jej przywicić.

— Ty marzysz dziecko moje, rzekła jej raz ciotka,—marzysz o ojcu, choć go nie ma na świecie, a tego nieszczęścia, które ci grozi, na które codziennie patrzysz, nie widzisz... Ależ to ten biedny twój Konrad i tęsknoty po swoim kraju, z nudów czy ja tam już wiem z czego, w oczach nam ginie... Przypatrz-no ty się jemu uważnie, co się z niego zrobiło!... On wyschł, wymizerniał, pobladł, niszczał tak, że ledwie się w nim duch trzyma... a pocziwe człeczysko ani się odezwie.

Cazità uderzona została słowami ciotki; dopiero teraz jakoś postrzegła, że pocziwy Konrad od niejkiego czasu chodził już tylko jak cień i widmo młodości... poczęła płakać, ręce łamać i wołać.

— Cóż począć? co począć z nim?

— Ja nie poradzę, szemrała Anunziata: jakeście wy tam razem, to ty umieras z tęsknoty, jakeście tu, to on... głowa pęka, a środka na to nieszczęście znaleźć nie można...

Kobiety popłakały się obie; Cazità wszakże na chwilę przypuścić nie chciała, ażeby mogły rzucić Wenecję, teraz zwłaszcza, gdy ona tu oczekiwała powrotu ojca, zawsze będąc przekonana, że on lada chwila się ukaze. Sny, widziadła, przestrogi, powtarzały się teraz coraz częściej, wyraźniej, a było w nich to szczególniej dziwnego, że się zgadzały w osobliwszy sposób z niektórymi okolicznościami, o jakich wspominał Toro. Uderzyło to i Konrada.

Jednego poranka, Maciek, który był w mieście, pobiegł co żywiej od brzegu do pana swego, oznajmując

mu, że słyshał na Rivie między gondolierami, iż staro Tora z rozkazu sądu zbiry poprowadzili do więzienia, jako oskarżonego przez kogoś o bunt i zabójstwo kapitana Zenona. Kourad zakazał o tém mówić Cazyicie, ale niespokojny, natychmiast sam popłynął się dowiedzieć.

Pierwszy, którego spotkał, Zanaro, powitał go powinszowaniami i okrzykami ze zwykłą sobie górnolotną deklamacją, opowiadając, iż z Korfu przybyli marynarze widzieli tam ocalonego cudownie kapitana Zenona, a w skutek jego zeznań, zbiry pochwycili majtkę Tora, który do spisku na życie Zenona należał, a podobno nim przywoził.

Zanaro dodał, że wedle krążącej po mieście powieści, Toro namówił był załogę statku naladowanego bogatym towarem na zabicie kapitana, a uprowadzenie ładunku do jednego z portów tureckich, gdzie mieli się sprzedaną podzielić zdobyczą, i poturczywszy się, osiedlić. Zeno został przez nich nocą napadnięty, po bohaterkiej obronie zabity uderzeniem w głowę i rzucony w morze. Ale Pan Bóg pomścił krzywdy jego. Korsarze napadli żeglujących, którzy nie umieli się im wyknuć, i wszysej w niewolę zabrani zostali. Toro jeden potrafił się później ratować ucieczką. Ciało kapitana Zenona wyniosła woda na brzeg, gdzie cudem do życia przyszedł po długiej słabości, pielęgnowany w niej przez łitościwego rybaka. Dostał się potem na wyspę Korfu, i miał lada moment zjawić się w Wenecyi, ale wiedząc przez marynarzy o ocaleniu Tora, wprzód go zaskarżył, aby go ująć czas miano, nimby dowiedziawszy się o nim, uszedł.

Kourad słuchając, bladł i truchlał, przekonywając się, jak owe przeczucia i sny Cazyity, z których się

naśmiewali, były wieszczemi. Chwili nie tracąc popłynął nazad na Lido, ale zastał żonę rozpromienioną, i już jakby wiedzącą o wszystkiém, bo znown miała we śnie widzenie.

Anunziata o mało nie zemdlala z trwogi, dowiedziawszy się, że jój siostrzenica w istocie wyprorokowała wszystko.

Znajomi i przyjaciele Zenonów rodziny, przybywali teraz jedni za drugimi, cudownego ocalenia winszując. Cazità promieniała szczęściem; Konrad nawet ożywił się był na chwilę, ale wesele jego wprędce ustąpiło dawniej obojętności.

Trzeciego czy czwartego dnia potém, przybył okręt z Korfu. Od Rivy de Schiavoni cała processya gondol, tłmy ludu prowadziły kapitana Zeno na Lido. Cazità wypłynęła naprzeciw niemu.

Radość była nie do opisania wielka i powszechna... a że poczeiwy kapitan lubiony był bardzo, zrobiono z tego prawie uroczystość miejską. Cały ten dzień Lido było pełne; dom nie mieścił gości.

Radość córki dochodziła prawie do szalu... Anunziata rozpowiadała o cudzie, głowę trając.

Zeno był zdrow, ale straszliwie zmieniony i zestarzały; choroba go wycieńczyła, posiwiiał, ogromną bliznę miał na skroni i piersiach, a wytrwałego zdrowia zahartowanego marynarza śladu nie pozostało. Chodził o kiju, z oczyma wpadłemi, cały drżący.

Dopiero późno w noc rodzina się sam na sam znalazła w cichym domku, a Zeno po raz setny powtórzył jój swoje dziwne przygody, swoją śmierć, gdyż można powiedzieć, że z tamtego świata powracał, i powolne, dzięki liłościwemu rybakowi ubogiemu, zmartwychwstanie. Klęskę jednak niepowetowaną nie tylko

na zdrowiu poniósł... majątek też niepowrotnie był stracony... Zeno ścisnął dłoń Konrada, który mu dach na starość zabezpieczył swém poświęceniem.

Postrzegł on także, rozpatrując się w swym zięciu, groźną na jego twarzy zmianę, ale o tém nie rzekł słowa.

Trochę wesela zawitało znówu do domku na Lido. Cazītà zwycięzka ożyła.. Na krótko wszakże... Konrad gasnął... Ludzie się nie było podobna... Widzieli to wszyscy prócz niego samego. Przestrzegany śmiał się, rnszał ranionami i zapewniał wszystkich, że się ma najlepiej, że lekkie tylko czuje osłabienie.

Pieszczoty i troskliwość żony zaradzić nie mogły złemu... uśmiechał się do nięj, uspakajał ją, mileżący wszakże najczęściej znaczną część dnia spędzał na samotnych przechadzkach. Czasem Maciek mu jeden towarzyszył.

Po milezeniu długiem, Konrad się zwykle do niego obracał, uśmiechnięty łagodnie, zapytując:

— Maćku, co tam się u nas dzieje?

Naówczas chłopię zbierało myśli, i usilnjąc odgadnąć, powiadało coś o Robninie, o starym Pukale, o gospodarstwie i dworze.

Listy przybywające ztamtąd Konrad cheiwie czytał i na piersi je nosił. Ale mimo widocznego stęsknienia nie użalał się nigdy, nie okazywał już nawet gwałtownej chęci powrotu.

Baczące oko starego kapitana postrzegło wreszcie, że nie było na to innego ratunku nad powrót, a przynajmniej podróż do kraju, z któregooby nowego zaczerpnął życia. Cazīcie wszakże nie chciało się opuszczać ojca.

I ona jeduak w ostatku oplakawszy tę myśl samą, gotowała się do spełnienia obowiązku.

— Pojedziemy do Polski! szepnęła mu na ucho jednego wieczoru, gdy razem w ogródku siedzieli.

Konrad zdawał się zdziwiony mocno i raczej wyłękły niż uradowany zapowiedzią.

— Tak! powtórzyła Cazītà: pojedziemy do Polski. Zbierz siły, pomyśl o środkach, jam gotowa... Żal mi ojca opuszczać, ale pojedę z tobą.

Konrad ścisnął jej rękę i pocałował ją w czoło, nie nie odpowiadając. Głowę tylko powoli potrząsnął.

— Dziękuję ci, odezwał się po chwili obojętnie: tak! tak! kiedyż pojedziemy?...

— Zaraz, odparła Cazītà.

— Zaraz... nie... niepodobna... naciesz się ojcem, zawołał Konrad,—ja poczekam.

Trochę też od tej chwili poweselał; mówili z Maciekiem o wyborze w drogę, o podróży, o powrocie i jak tam w domu zastaną.

— To jakbym widział, proszę jegomości, rzekł Maciek. Dalifur wyleci z lysą głową bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z przakarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. „Pan! pan! pan nasz!“ A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu... wszędy radość, wesele... Nazajutrz wójt ze starszymi powinnować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie: pan powrócił! drzewa szmerzą: pan... bociany krzyczą: pan... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha! Tylko stary indyk napyrzony, nie rozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzydłami sunie po piasku bełkocząc... a ja go po czerwonym nosie: „Masz trutniu!“

Maciek się tak zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazyja. Pan śmiejąc się zakaszał mocno, musiał na lawecę przysiąść; pełną krwi chustę odjął od ust. Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powłókł się do łóżka... Cazità siadła przy nim; zdawał się jęj nie widzieć... Maćkowi kazał obrazek N. Panny z konfederackim ryngrafem i szablą powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy-nickiedy lzy mu poszły z powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcił.

Cazità nie odstępowała go na chwilę... całowała ją w ręce, przyciskała do piersi, pocieszała.

— To nie, to nie, mówił,—to z powietrza mi przyszło, ale po wypoczynku przeminie. Nie frasujcie się... bądźz wesola, popłyn z ojcem na przejażdżkę, to cię rozerwie.

Tegoż wieczoru w istocie Zeno zabrawszy córkę i Anunziatę, a sądząc, że Konradowi spokój był potrzebny, wybrał się z nimi na Murano do dawnych znajomych. Ledwie odpłynęła gondola, Konrad wyjrawszy oknem, zawołał na Maćka żywo.

— Słuchaj chłopcze, słuchaj! a spraw-no mi się dobrze. Płyn mi zaraz do klasztoru *l'Fari*, spytaj o *Padre Serafino*, a proś odemnie, aby tu przybył, bo się z nim... dodał ciszéj —potrzebuję rozmówić.

Maciek spojrział panu w oczy niespokojny, ale przywykł mu być posłusznym, pochwycił łódkę i popłynął.

Przez ten czas, gdy nikogo w domu nie było, Konrad się drżącemi rękami przedział w hieliznę świeżą, wąsa pokręcił, usiłował sobie nadać twarz i posiawę

weselszą. Stojące przy sobie w szkatułce przejrzał papiery, podarł niektóre, uporządkował inne i czekał.

Nieruchło chód posłyszał na wschodkach. Ojciec Serafin wchodził powoli z chłopakiem, a spojrzawszy na leżącego, odgadł od razu po co go wezwano. Po przywitaniu cichem, njął za rękę chorego.

— E! e! rzekł: młodości jeszcze w tobie wiele, dziecko moje, przyjdiesz do zdrowia, nie trać jeno otuchy.

— Ale mi dobrze, ojcze, i zdrów się czuję, tylko trochę zesłabły, rzekł Konrad. Nie sądzicie, że sobie co przypuszczam, albo się lękam... Ot tak... dawnem nie był u spowiedzi, chcę się z sumieniem porachować...

Dość długo trwały zbolalcj duszy zwierzenia, a ojciec Serafin pozostał przy łóżku chorego.

— Gdy moi powrócą, szepnął Konrad — nie mówciez im, że was sam wzywał; powiedzcie, że przybyliście sami pozdrowić starych znajomych.

Kapucyn głową tylko potrząsł.

— Nie doczekam ja ich tu, odpowiedział: zajadę jutro rano... dziś mnie tam w klasztorze potrzeba...

Konrad ucieszył się, widząc, że odjeżdża; wsunął mu w rękę jałmużnę; rad był, że powracający go nie zastana.

Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

— A która tam godzina? zapytał Konrad.

— O! już słonko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak. Bydelko powróciło z paszy, Pukalo obszedłszy obory, idzie, „Zdrowaś“ mruczając, na folwark do wieczery... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamy-

kać we dworze, a na plebanii księżyna odmawia
browiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

— Ano, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek.

Żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze...
Cichło! cichło! tylko ode młyna turkot słychać, jak tam
koła szumia i tarkoczą... a na wsi może pastuszki
gdzie śpiewają... „Na Anioł Pański” dawno przedzwonili.

— A we dworze? spytał Konrad.

— Pustka panie.

— Zegar idzie?

— O! ten to się nie zająknie pewnie!

— Która godzina? począł Konrad...

— Ciemno dobrze... ino nie wiem—dodał chłopak
czegoś przełękły—czemu oni nie powracają?

— Mów o Robninie, poprawił go Konrad.

— Może świecę zapalić?

— Tak dobrze... słabym głosem zawołał Konrad—
przed N. Panną; zmówimy konfederacką litanię... Ale
spojrz-no: czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę. Dziwnie
mu się błada wydała twarz pana; dziwne, straszne
uczul po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił
ucha; myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brze-
gu gondoli,—ale do kate cicho było jak w grobie.

Konrad zdawał się drzemać.

Na palcach chodził Maciek koło niego.

Podniosły się powieki ciężko.

— Maćku—rzekł—co tam w domu?

— Śpią, panie.

Chłopak przysunął się do łóżka. Konrad chuda, koścista

rękę dobył z pod okrycia poszukał w okolo i podał mu woreczek.

— To dla ciebie, rzekł—abyś miał o czém powrócić do domu.

— A! mój panie drogi! przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, rzekł! i daj mi rękę... taki dziękuję ci.... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł, pokląkł przy nim.

— Co ty się tam trwożysz! począł Konrad: nie ma czego. Jam zdrow! mnie już dobrze... tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj co naszego... po cichu... ja się zdrzemnę.

Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się. Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrział na chłopca, siadł i począł mówić słabym, ale prędkim głosem:

— Słuchaj: co tam się stanie ze mną, w woli bożej. Jeśli byś został sam, nie mieszkaj tu dłużej, jedź do domu, do chaty. Powietrze tu niezdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o! nie nasze... Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Tam lepić, nawet z samotnością i nędzą.... Porzuć swego starego, albo go weźmiej z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu łyzy pomagą! wyszeptał chory. Nie masz czego jeszcze płakać... to babska rzecz... wstydz się...

A po chwili znowu spytał:

— Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? Wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeri księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc, jak u nas...

— Tak! u nas piękniejszy, potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... Chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdał usypiać powoli; ale oddech ten coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słyszeć już nie było...

Bo nie było już i duszy Konrada na tym świecie.

EPILOG.

Przed gospodą *Croce di Malta*, stał z rękami na pulehnym brzuszku założonemi *il gran ladicne*, z twarzą wypogodzoną, czystém smmieniem i dobrze nabitą kaletą, z obliczem kraglém i lśniącym człowieka, który tyle chodził około kuchni w życiu, że nie mógł się w niej smaczno jeść nie nauczyć.

Ożenienie nowe widocznie go odmłodziło; usta się uśmiechały, rumieniły policzki, tylko po zbyt krzaczasto rozrosłych brwiach i kępkach włosów siwiejących na uszach, poznać było można, że Zanaro nie piętnastą, a nawet nie trzydziestą już przeżył wiosnę. Zresztą ruchawy, żywy, biegający często, aby dowieść, że lekki jest jeszcze i zwinny, i że mu o tyłość nie wadzi, Zanaro tém troskliwiej odegrał rolę młodzieńca dojrzałego, iż czuł się do tego obowiązany, mając tak piękną, młodzieńczą żonę.

Wiadomo bowiem było wszystkim na wybrzeżu słowiańskim, ba! i dalej zamieszkującym, i w ogóle

tym, co się do signora Zanara, choćby na kilka minut tylko zbliżyć i mówić z nim mieli zrzeczność, iż signora Ludovisa wyglądała jak Flora Tycjana, mąż bowiem chlubił się nią nieustannie i wchodził nawet w zbyteczne szczegóły, opisując jej nieporównane wdzięki, których był zapalonym wielbicielem.

Tym razem jednak snadź nie o żonie była mowa, bo jej pochwały śpiewać był zwykły tonem żartobliwym i wesołym, a na twarzy signora Zanara malowała się niezwykła powaga i zamyślenie; usta miał niceo odęte, czoło posępną powleczone zasłoną. Ohok niego stał chudy, kościsty, stary Kapucyn, ksiądz Serafin, dawny znajomy Zanarów, i bodaj nie całego miasta. Dalej jeszcze gruppowało się kilkanaście głów ciekawych, przyjezdnych gości, dla których właśnie opowiadanie gospodarza musiałoby być przeznaczone, i kilku domowników z pod Krzyża, i kilku głośną rozmową przywabionych przechodniów.

Zanaro opowiadał, przerywając sobie niekiedy głosami westchnieniami z szerokiej piersi wyrywającemi się, naksztalt sapania kowalskiego miecha, i wykrzykami: *Ecco! spettate.*

— Tak jest, tak jest, mówił powoli do zgromadzonych słuchaczy: są tajemnice i przeznaczenia niepojęte, są wypadki zdumiewające, które chyba na tamtym świecie wytłumaczają się dla człowieka. Te jednak pewna, że ja wiem niesłychane przecucia. Kiedym raz pierwszy ujrzał na ląd wysiadającego tego człowieka, z taką dobrą miną, z takim w sobie zaufaniem, z tą szlachetną postawą, coś mnie tknęło zaraz, że go tu spotka nieszczęście.

— Z czegoś tak wnioskował? zapytał Kapucyn.

— Z bardzo wielu rzeczy i tajemnych znaków, Najprzód dla tego, że wyładowywał właśnie dnia trzy-nastego czerwca, który jest dniem feralnym, a wiadomo wszystkim niezonym, iż są dni feralne tylko nie każdy posiada jak ja spis tych dni, których strzedz się należy, aby w ciągu ich nie ważnego nie przedsiębrać... Ecco! powtóre, przyjaciel mój dobry, Beroni, człek niesłychanie mądry, a przechodzący nanką wielu professorów padewskich, chociaż był całc życie tylko ubogim bakalarzem szkółki w kwartale San Giorgio... pokój duszy jego... (Zanaro nchylił szlafmocy),—Beroni powiadał mi, że nie ma nic nieszczęśliwszego, niż gdy człewiek, który kraj swój opuści i wyrzeczć się go, albo sam lub następcy jego powrócić do niego zamierzają: niechybnie naówczas powietrze samo ich zabija.

— Zanaro, synu mój! przerwał Kapucyn: Beroni i ty, prawiecie wierutne glupstwo.

— Ojczc szanowny, zawolał Zanaro, całując rękaw habitu ojea Serafina: to, cò ja powiem, zwiéjcie jak chcecie, ale szanujcie Beroniego, dla którego mam weneracyę największą... Był to rzadki człewiek!.. Nikt się na nim nie znał, prócz mnie!

— Mówcież dalej, signor Zanaro, ozwał się głos niecierpliwy, jak to było...

— Historya nader ciekawa, a godna, by ją dla potomności zapisały kroniki weneckie... tragedia, że tak rzekę... mówił wzdychając gospodarz. Ecco!

Młody ów Polak miał coś w sobie, co zwiastowało, że go złe jakieś spotkać musi. Na swój wiek był do zbytku poważny, zamyślony, wstrzemięźliwy a namiętny w duszy... Zaraz płynąc tu do Wenecyi, na statku *Pudre Antonio* poznał się i pokochał

szalenie piękną nadzwyczaj Cazitę, córkę kapitana Zenona. Gdyśmy się o t'm dowiedzieli, a raczej domyślili tego, gdyż Polak ów, Wenecyanin razem, był nadzwyczaj skryty, powiedzieliśmy sobie, ja, nieboszczka pierwsza żona moja i ta niegodziwa a przebiegła Madelonetta.. (która już naówczas choć nie miała lat piętnastu, dobrze w oczy mężczyznom patrzała...) „Żle być musi... źle! źle!“ Był bowiem tak oszalał z t'ej nagłej miłości, która go pochwyciła jak choroba, że na żadną więcej kobietę patrzeć nie chciał. Była tu naówczas signora Zenobia Boccatorra, śpiewaczka pyszn'ej piękności, jak dzisiejsza żona moja (lubo ta ją bogactwem form i świeżością kolorytu o wiele przechodzi)... lecz ani na nią, ani na uśmiechającą mu się Madelonettę, dziewczkę nieszp'etną i piętnastoletnią... spojrzeć nawet nie raczył... *Ecco!*

Na Lido raz wraz do kapitana Zenona... A miał z sobą chłopaka, wyrostka, który też nie tracąc czasu, znalazł sobie na Merceryach szewcównę, córkę Naniego, o którym wicść chodzi, iż był także Polakiem... i w t'ej się też do szaleństwa zakochał, choć podówczas całemu miastu oprócz ojca wiadomo było, że Vittorini, o którym zaraz obszerniej powiemy, dawno był ją zbalamucił.

Cazitą, córką kapitana Zenona, mówił dalej Zanaro — z pomocą Anunziaty, ciotki sw'ej, rzuciła urok na bogatego Polaka... Tak jest panowie! był to urok, a może nawet dały mu pić jaki filtr miłosny, gdyż stare niewiasty są w tych rzeczach bardzo biegle... przekonał mnie o t'm Beroni.

Odprawiono zaraz Sabronego, narzeczonego Cazyty, któremu Anunziata zaswatała wpr'dec piękną Giulię (między nami mówiąc, na jego nieszczęście...). Polak

się piorunem oświadczył i ożenił... Wszyscy naówczas mówili mi: „Signor Zanaro... fałszywy wróżbicie, otoż widzisz jak się to wszystko złożyło szczęśliwie...” A jam odpowiadał z głęboką wiarą w wielkie prawdy, których mnie nauczył Beroni: „Czekajcie, a patrzcie końca!!”

Cóż się dzieje!.. Polak z Cazitą jadą do jego kraju, chłopak zakochany zostaje w Wenecyi przy Nanim i ma się żenić, a ja patrzę i powtarzam: „Czekajmy, a patrzmy końca...”

Niedługo czekałem: jak luną nieszczęścia... Matko Miłosierdzia! sprawdziły się przepowiednie moje do ostatniej kropelki.

— Jak? szanowny panie Zanaro...

— Zaraz opowiem wam to, poważnie ciągnął gospodarz. *Ecco!* Niedługo zabawiwszy w Polsce, przyciągnął, aby się wyroki spełniły, Polak ów do Wenecyi z żoną... Tymczasem kapitan Zeno ze statkiem swym przepadł... ani wieści, miało go za umarłego... odprowadzali nawet za niego nabożeństwa żałobne, świadkiem ojciec Serafin... a nabożeństwa te, zdaniem teologów, jeśli na drugim świecie nie zastaną duszy, dla której były przeznaczone, idą do powszechniej skarbony, dla najpilniej potrzebujących dusz czyscowych, gdyż nie przepaść nie może...

Kapucyn głową kiwał potwierdzająco.

— Gdym Polaka powracającego ujrzał, mówił Zanaro—utwierdziłem się jeszcze w mniemaniu, iż czeka nas rozwiązanie jakieś straszliwe... Miał na czole wypisaną śmierć i niedolę. Chłopcu też jego szewca nie lepiej się działo. Pchnięty był nożem z rozkazu Vittoriniego, ledwie się wykrobał, a dziewczeczka od niego i od ojca uciekła i skryła się... Słuchajcie pa-

nowie, tu się dopiero poczyną pełna cudowności przygoda krwawa i łzawa.

Zamaro otarł pot z czoła... upajał się widocznie wymową własną.

— Na raz zabity kapitan Zeno powraca i zmartwychpowstaje! Znowa zły znak... upiór z drugiego świata widocznie... za zabójstwo jego schwytany Torro, ścięty na placu pod czerwonym ślepem graczków... początek rozlewn krwi... Ale to jeszcze nie... nie... *ecco!* słuchajcie! Ów szczęśliwy małżonek Polak, ukochany Cazyty, poczyną schować w oczach, usychać, więdnąć jak drzewo podcięte, jak ryba wyjęta z wody... i najniespodzianiej kona... *ecco!* Młoda małżonka oddaje się niepomiernej żalości... Indzie wszyscy prorokują jej śmierć... Rzecz ucieboszczykowi włosy obcięte... nader zły znak, którzy wszyscy mają za dowód przywiązania, a jest wróżbą rozbratu... włosy bowiem, mawiał Beroni, mają w sobie siłę rozprzegającą.. Chłopak, który był sierotą pozostał po Polaku, szaleje po nim... całe dni i noce spędza płacząc na mogile swojego pana na Lido... jak pies wyje po nim i lży leje... Napróżno stary Nani stara się go uspokoić, pocieszyć...

Przechodzi czas jakiś; bółość żony Polaka, młodej i pięknej Cazyty, powoli się uśmierzać zaczyna. Mówiono z razu, że miała wstąpić do klasztoru, ale ją weześnie szepłalen, patrząc na jej weale ładną twarzyczkę, że raczej do zakonu Adama i Ewy jest przeznaczona... Dodajcie, iż Polak kapitana długi popłacił, a signora Lippi uchodziła za weale majątną wdówkę.

Po pewnym czasie umiera kapitan, ojciec Cazyty, która pozostała sam na sam ze swą ciotką Anunzia-

ta. Pogrzeb mu sprawili, nie można powiedzieć, wspa-
niały, a godny patrycynsza. — Ale wdowa i sierota
w żalobie poczęła się z ciotką pokazywać na odpas-
tach... cała w czerni, co jeszcze podnosiło jej wdzię-
ki. Młodzież za nią szalala... Zobaczył ją widocznie
w kościele, choć rzadko do kościołów uczęszczał, ten
balaмут Vittorini, który córkę Naniego z domu rodzi-
cielkiego wykradł, a raczej odbił w drodze, gdy ją
do klasztoru wieziono. Zakochał się...

Powoli przyszło bliższe poznanie się, podoba-
nie, aż i projekt małżeństwa... *ecco!* słuchajcie...

Tymczasem ów chłopak od szewca siedział na mo-
gile swojego pana... Jednym razem przychodzi do niego
stary Nani i powiada mu: „Słuchaj chłopcze, a miał
imię Matia... słuchaj Matia... twoja ulubiona, a moja
córka, piękna Maryetta, powróciła pod dach rodziciel-
ski, żalując grzechów swych przeszłych... domaga się,
abyś i ty żalobę swą skończył.. widzieć cię pragnie...

Z razu chłopak, któremu pewnie także zadano filtr
jakiś, dość się opierał, nie chcąc widzieć niewdzięcz-
nicy... i na Lido pozostał.--Gdy jednak Maryetta sa-
ma po niego poszła, dał się skusić... Wraca tedy do
szewca... Maryetta iznani i cobytrością starała się go
przeblagać i miłość na nowo obudzić... a szło jej nie
o niego, ale o zemstę... *ecco!* Vittorini miał się już
żeńić z wdową po Polaku... Maryetta opuszczona przez
niego, szalala... *ecco!*

Namawia więc Matię, obiecując mu rękę swą, je-
śliby Vittoriniego zgladził, przez co i pamięć swojego
ukochanego pana i ją pomści!... Daje mu nóż w dłoń,
i jątrzy...

Zbliżamy się do rozwiązania, panowie... krwawa
tragedya!... straszne dzieje!...

Wicie już, że w chwili, gdy do kościoła Frari zdążała młoda para, wdowa po Polaku i Vitterini, na wschodach samych, z tłumu się wyrwał ktoś, i nożem w piersi pchnął nowożeńca, który padł i dotąd jeszcze do siebie przyjsię nie może.

Zabójcy nie pochwycono... nie wiadomo co się z nim stało, lecz wiadomo kto nim był, nieochybnie kochanek ów Maryetty... chłopak Polaczek, mszczący razem swą kochankę i swego pana.

— A Maryetta? spytał ktoś.

— Maryetta — rzekł Zanaro — chodzi i śmieje się wesoło, pomszczona na Vittorinim i uwolniona od nudnego zalotnika, który po coltellectie zmykać musiał. Włóczy się, szukając go stary Nani, od tych wszystkich przygód krwawych dostawszy pomieszania... Tylko co go nie widać — dodał gospodarz, — bo najmniej razy pięć na dzień tedy się mi przesunie...

— A Vittorini? spytał ktoś ciekawy.

— Vittorini wyzdrowieje: ręka była niepewna, zadał mu ranę nie wedle prawideł sztuki — studencką... wiele krwi wytoczył, wiele strachu przyczynił nieszczęśliwej Cazić, ale to z tego wszystkiego nie nie będzie. Ślub wezmą, to pewna. Ciotka Anunziata go nie puści... a i piękna wdówka też po tej historyi nie łatwoby innego znalazła, chyba go znówu w Polsce szukać musiała.

To mówiąc, odetchnął Zanaro i obejrzał się po słuchaczach, którzy zdawali się po nim zakończenia i sensu moralnego powieści wymagać. Pojął to gospodarz Maltańskiego Krzyża i touem poważnym dodał:

— Otoż, panowie, jak się to wystrzegać potrzeba, dui feralnych, filtrów bab starych i ludzi napiętnowanych, nieszczęście z sobą niosących.

— Gdyby to ich poznać można!... rzekł ktoś w tłumie.

— Można! dokończył Zanaro: są na to pewne znaki... Beroni nauczył mnie ich wiele. Już gdy kto niespokojny kręci się po obczyźnie i żony sobie w cudzém gnieździe szuka, presumpcya wielka, że naznaczony jest ową fatalnością, która rodzi niepokój i w miejscu usiedzieć nie daje...

— A, wszystko to bałamuctwa! zawołał w tej chwili Kapucyn,—tylko ja wiem prawdziwą przyczynę tych wszystkich nieszczęść Polaka i jego chłopca, i tych, których oni pociągnęli za sobą... Płynąłem z nimi na statku *Padre Antonio*, kiedy raz pierwszy do Wenecyi przybywali.

— Słuchajcie! przerwał Zanaro.

— Otoż, oświadczył mi się Polak naówczas, że miał zamiar, a może był nawet ślub uczynił, odwiedzić Grób Pański i pielgrzymować do Ziemi Świętęj. Zastraszili go naówczas wszyscy morem, i ślubu nie dopełnił ani zaraz, ani później; ztąd wszystko owo zle spłynęło,

— Ma słuszność! zawołał Zanaro, całując znowu w rękaw zakonnika: tak jest, i to się także przyczyniło! Paniętam, że i przedemną się w początkach zwierzał z tym zamiarem... *Ecco!*... Ale jedno drugiego nie osłabia...

W tej chwili urwał, spostrzeżono bowiem przechodzącego niedaleko starego Naniego. Zanaro tak był rozgorączkowany, że musiał go zaczepić.

— E! e! zawołał: dzień dobry, ojcze Nani, dzień dobry!

Szewc, który szedł z głową spuszczoną i okula-

rami spadającymi na koniec nosa, odwrócił się, ruszając ramionami.

— Kto mnie śmie ojcem nazywać? spytał; czy to ty stary wole karmny... he?

— Źle! rzekł Zanaro—źle koło niego... Patrzcie jak się wyraził nicobycajnie!

— Ojcem nie jestem, dodał Nani: bo się córka mnie wyrzekła, a zięć we krwi umyty, uszedł... Włóczęgą jestem i żebrakiem.

— Biedaczysko! szeptali przytomni.

— Ale co komu do tego? dla czego mnie prześladujecie? gwałtownie począł, obracając się do Zanara: czyś to ty lepszy? a twoja córka? tatku?

— Ostry jest, szepnął Zanaro.

Niektórzy się uśmiechali...

— Ej! Zanaro! Zanaro, *gran ladrone!* dodał:—gdyby była sprawiedliwość na świecie, czybyś ty dawno wisieć nie powinien?

Kapucyn się uśmiechnął, śmiał się i sam Zanaro, ale jakoś nieserdecznie.

— Daj już pokój, Nani! rzekł,—daj pokój, rachunki z sznubienicą niebezpieczne...

— Dla mnie nie... o nie! odparł szewc: mnie się jeszcze coś od niej należy... a z wielką przyjemnością patrzyłbym i na twoje nogi w powietrzu.

— Fe! fe! Nani, co pleciesz! wołał Zanaro. Dość tych żartów... daj mi pokój... powiedz lepiej dokąd idziesz?...

— Szukam tego, czegom nie zgubił; idę tam, zkad nie przyszedłem, rzekł dziko, śmiejąc się szewc,—i pozdrawiam was ciekawych, co z biedaka szydzicie... Bodaj was ten sam los spotkał!...

Zanaro obawiając się uroku, szybko dwa palce ro-

gato wystawił *contra la jettatura*, przeciwko szewcowi, który opierając się na kij, powoli powlókł się mrużąc dalej.

Chodził tak codzień na Lido, na cmentarz, wypatrując, czy tam nie znajdzie Maćka, po którym szczególnie tęsknił... Ale na grobowcu Konrada nikogo nigdy już nie spotkał; nawet tamarysy i cyprys, które tam posadzili pierwszój wiosny, wkrótce pousychały, a rodzina ani wdowa o postawieniu grobowca nie myślała.

W Robbinie bowiem, wkrótce jakoś po nadeszłej wiadomości o śmierci Konrada, pochował ksiądz proboszcz starego Pukałę Dalifura, którego do trumny ubrała własnymi rękami poczciwa Murzynowska. Małatek po zmarłym w Wenecyi bracie objął pan Boleśław; ale i temu się jakoś nie szczęściło, dzieci się nie hodowały... Na nim ostatnim wygasła rodzina Lippich de Bucellis.

KONIEC.

POMYWACZKA.



Życie w końcu XVIII wieku, szczególnie w krajach naszym, miało barwę, jakiej dziś próżnoby w nim szukać.

Piszą, że około tysięcznego roku ery naszej, spodziewając się końca świata przepowiedzianego, ludzie zupełnie na sprawy jego zubożeli. Daje się to czuć w dziejach dziesiątego wieku zawieszeniem wszelkiej działalności; w wieku XVIII przeciwnie ludzie widzą, że ten ich świat się kończy, ale w szalach szukają zapomnienia katastrofy codzien bliższej, widoczniejszej codziennie. W wyższych warstwach społeczności śpieszą używać bez rachuby, rzucając przez okna co się trafi pod ręką... a téj stypie ostatecznej towarzyszy suchy śmiech obłąkanego, który z zaciętością bierze się do niszczenia.

Mniejsza o pozjadane majątności na zbytkach bezmyślnych, o zmarnowane miliony, o rozproszone zapasy wiekowe i opróżnione skarbce dziadowskie; gorszem jest to niszczenie w sobie charakteru i dostojności lat przeszłych, to dobrowolne znizanie się

i kąpanie w rynsztokach, gdy marmurowe łożnice nie smakują.

Kraj cały wre jakimś szaleństwem niepojętym, kobiety, młodzież i starce zarówno. Wśród tej orgii rzadki głos zwiastuje dni ciężkiej pokuty, ale nikt go nie słucha, pijani śmieją się z niego. W głębi serc nawet znają, że prorokowi wierzą, ale myślą, że gdy fatalnego losu odwrócić nie można, resztki biesiady spożyć przynajmniej potrzeba.

Od peruk i fraków rozpacz bezpamiętna na jutro przechodzi do kontuszów i konfederatek; siwe podgólone czupryny dymią i stolica od nich się pali.

Na dnie tego zamętu są przecie i fasy saskiej epoki, pozostałości miłostek i bankietów, jest wszczepione bezprawie i pogarda starzej obyczajowi prostoty. Przypatrując się bliżej Stanisławowskiemu czasom, znajdziesz w nich, jak w zakręcie rzeki, która wszystkie śmiecie zbiera w jeden kąt, pełno nazmiatanych do kupy brudów odwiecznych, których razem na wierzech wystąpiło co niemiara. Potrzebaby analizy chemicznej, aby ich pochodzenie oznaczyć.

W obyczajach nie może się wszczepić teorya, dezorganizacya widna wszędzie; mówią wszyscy o braterstwie wedle Russa, a zbliżywszy się do siebie, odpychają mimowolnie. Na trzy wielkie warstwy, wedle usposobień moralnych, dzieli się towarzystwo: na starą masę domorosłą, instynktowo poczuwającą, że się przy dawnym zachowywać potrzeba i z niego dalej rozwijać; na młode szumowiny, pragnące postępu, ale rozumiejące go jako zupełną, do głębi sięgającą reformę; na pośrednie sfery, które z jednej strony rumieni jutrzeńka jutra, z drugiej srebrzy

blask wczorajszego księżycy, w pośrodku okrywa pomroka...

Miasta naturalnie przodują w tém położeniu, z którego sobie sprawy nie zdają; wioski upierają się przy dawnym porządku i widzą w nim zbawienie; magnateria ze szlachtą na wsi narzeka na zepsucie, w mieście z dworem śmieje się z zadomowionych.

W pośród tego wiru istne ukazują się cuda: filozofowie bez Boga, wielcy panowie, którzy się przedzierzgają w bankierów, królewscy kucharze chorujący na arystokrację, nieokrzesane gburzy cisnące się do salonów i rozpieszczeni wychowañcy pałaców szukający z nudów szczęścia pod zgrzebną odzieżą. Chwilami wszystko się to miesza, płacze, zaciera, to znowu rozpada, dzieli, rozechodzi i wojuje.

Nie ma chwili, któraby nie miała swojej jak ówczesna, *tężyżny* między młodzieżą, tylko że każda z nich inaczej wygląda. Stanisławowska niepodobna jest wcale do saskiej. Przypatrzysz się z bliska takiemu Radziwillowi „panie kochanku“ i księciu Józefowi, dostrzeżesz tu jedne odcienie, a bohater, co zginął pod Lipskiem, sam do siebie w różnych dobach życia nie jest podobny.

Na jego twarzy, którą wizerunki ówczesne podają nam wesolą, ożywioną, częściej niż się zdaje osiadła gorycz znużenia i tęsknota nieprzemierzona, przecucie zgonu w pełni sił, tragicznego, nagłego... Stał on przed oczyma naszymi w tej burce tradycyjnej, z dumnie odwróconą twarzą, z pogodą na czole. Takim przecię nie był zawsze; podźwignąć się umiał na placu boju, ale w samotnych godzinach, gdy spójrział

w nierozwikłaną przyszłość własną, gdy się stawał człowiekiem w obec siebie, na te powicki iskrzące się męstwem występowała łza przezroczysta.

Ale się wstydził przed światem téj słabości ludzkiej, i w ulicach Warszawy pędził czwalem, powołując się sam, z pogardliwym śmiechem pustaka, szalenie szczęśliwego człowieka... Ulubieniec kobiet, wzór niedościgniony młodzieży, ksiązę Józef był w istocie nieszczęśliwym, choć się w męczarniach uśmiechał; brakło mu wiary w życie, i jak człowiek zrujnowany, co bierze z kapitału, żył i on moralnym kapitałem swoim, bez rachuby na dzień jutrzejszy.

Na nieszczęście z tego życia, nad którym psychologiczne badanie byłoby niezmiernie ciekawym dodatkiem do rysn epoki, pozostały nam tylko ulamki, podania, legendy, a mało takich danych, któreby rozświeciły wewnętrzny stan duszy człowieka. Wszakże i z tych drobnostek, niekiedy charakterystycznych, dają się odtworzyć pewne momenta téj biografii, choć mniej dla historyi znaczące, dla poznania człowieka i czasu ciekawe.

Tak wśród mglistego dnia w górach, gdy chwila mi wiatr chmury rozedrze i słońce wierchy ozłoci widzisz je zawieszone gdzieś w obłokach, wśród tumanów, i po tych częściach całego olbrzyma Alp, śniegami wiekniesteni okrytego, domyslać się możesz.

Wyobraźnia dosnuwa obrazu okrytego płaszczem mgły nieprzebitój.

Trucizną, która wyżerała serca i wypróżniała pierśi młodych ludzi owego czasu, było zwątpienie i przedwczesne wyżycie się. Z tego to płynęła owa *tężyzna*,

to rzucanie się pozornie namiętne, w istocie rozpaczliwe, na niemożliwe wyciśnienie z życia jakiegś upajającej treści. W epokach normalnych, to co żywot dać może, starczy człowiekowi i nasycę go; w podobnych przesileniach ludzie szukają po za krańcami możliwości upojen, dziwnych wzruszeń i rozkoszy. Ztąd idzie miotanie się gorączkowe, które w historii obyczajów zawsze znamionuje chwile ciężkich walk i przejścia.

Orgie XVIII wieku nie czém inném są, tylko takiem upędzaniem się za wytworzeniem czegoś nowego, czego życie zwyczajne dać nie może; żądano od napoju, od miłości dziwnych, od nezt sardanapałowskich, by przeistoczyły warunki istnienia, by rozszerzyły granice nieodwołalnie naznaczone człowiekowi... Chleb razowy życia nie starczył głodowi ogromnemu: wypiekano ciasto z manny, ze spadających z nieba kropelek rzadkieb, nawet w ich niedostatku z błota ulicznego.

I kończyło się na tém, że po niestrawnym pokarmie głód był większy jeszcze, choroba sroższa... szła stokroć straszniejszy...

Książę Józef był człowiekiem swojej epoki; wystawiał może dobitniej niż inne indywidualności, jej stronę piękną, szlachetną; zarówno poryw jej ku ideałom i chętki chorobliwe, pragnienia serca i szala zmysłów rozdrażnionych. Za wczesnie poznawszy wszystko, co życie dać mogło, nie smakował już w nicém, i szukał czegoś więcej, sądząc, że pragnienie nietyle dowodzi gorączki człowieka, ile *stanu* napoju. Napróżno piękne panie owych czasów usiłowały go sta-

lój przywiązać do siebie; wabiła go wszelka nowość zaglądał w oczy każdej przybywającej, lecz prędko jednostajność wrażeń odpychała go, nudziła forma taż sama, w głębi toż samo wrażenie, te same powtarzane codzieln słowa, płochości jednakie... Te setne edycye jednej książki już po okładce mógł poznać i czytać ich nie pragnął. Życie nie umiało mu dać nic nowego... Prostota, sroce szczere, świeżość wrażeń byłyby go nawrócić mogły; ale gdzież je spotkać miał, wśród tej sceny pełnej wynuczonych od pieluszek aktorów?

Po tych dniach spędzonych na rozrywkach nierozrywających, na niespodziankach spodziewanych, następowały wieczory do dni podobne, a po powrocie do domu, długie często godziny rozmyślań i apatii...

Aby pojąć i samego księcia Józefa, i tę społeczność, której on był wytwornym owocem, potrzebaby się jój przypatrzeć z blizka i beznamiętnie, oczyma dziejopisa niemającego ojczyzny; pojedynczo wzięta każda postać tego społeczeństwa wydaje się dziś dziwaczną i niezrozumiałą, zbliżone i zestawione w ową całość, którą tworzyły niegdyś, tłómaczą się wzajemnie. Dla tego nim opowiemy podanie, któreśmy słyszeli z ust starca, co na część historyi tej patrzył, musimy rzucić okiem na Warszawę w tej epoce.

Magnaci, dorobkowicze, nawet możniejsza szlachta porwana wirem szalała, wiedząc, że gmach się mógł roztrzaskać nad jój głową; im łoskot upadku był straszniejszy, tém głośniej nakazywano grać muzyce.

W przeddzień tryumfu wyrachowanego i pewnego, nie byłoby weselój niż naówczas w stolicy. Wszyscy cudzoziemcy, którzy w owych latach zwiedzali ją, zgodnie malują Warszawę i jej ludność jako najweselejsze towarzystwo w świecie. Ci nawet, co tu przybywali z najożywniejszych grodów Zachodu, uderzeni byli niezmierną gorączką, która tu panowała.

Bale następowały po balach, noce spędzano za stolikami gry; dni na śniadaniach i podwieczorkach; taniec, ten wyraz szalu, najulubieńszą stał się rozrywką. Maledzieci wprawiano do niego, tak jak niemowlętom dają matki napój usypiający. Starzy i posiwiali gorączki szukali u zielonych stolików, lub w oczach mnóstwa ślicznych bogiń, których płochość nie zrażała wcale, bo cały ten świat z niej sobie życia robił prawidło.

Malżeństwa zawierały się z przewidywaniem rozvodu, zrywały po kilku tygodniach, często wiązały znowu, a trwając nie były węzłem żadnym, stawały się wygodną formą. Najdziwniejsze związki fantazyi wykwiwały na nich, jak orchidee na zgnilym pniu dębowym.

Księżę Józef, jak większa część młodzieży ówczesnej, pochwycony falą, za wczasu przestał być młodym; ta spiekota, jak afrykańskie słońce, przedwczesną sprowadzała zgrzybiałość. Ale w szlachetnej jego piersi utrata złudzeń młodych i tego idealnego świata, który człowiek z sobą przynosi z lepszej ojczyzny przedziemskiej, nie pociągnęła za sobą rozczarowania i chłodu, tylko tęsknotę i jakieś o społeczeństwie zwątpienie.

Serca ciasne w takiem położeniu i boleści nie widzą nie po za niemi, wątpią o człowieka; szersze boleją nad czasem, mają nadzieję w przyszłości.

W tych chwilach samotności i rozmyśłów, gdy po wirach balu i szale reduty powracał znużony całodzienną wrzawą i nadaremnią pracą szukania rozkoszy w pustych jój łupinach, książę Józef padał na sofę w saloniku, zakrywał twarz rękoma i cierpiał walcząc z sobą, by do ostatka wiary nie stracić. Niebezpieczeństwo było w istocie wielkie: począwszy od stryja, którego pojąć nie mógł, a przecież kochać musiał, aż do najidealniejszych z tych pań, której dłoń czuł drżącą w swój ręce, gdy z nią w szalonym tańcu sale przebiegał, której głos cichy szeptał mu dzisiaj to, co wczoraj przyrzekał innemu, a jutro miał jeszcze innemu poprzysiądz; od starego kuzyna domu, co godzinami był dyplomata niezrównanym, a indziej młokosem bez rachuby,—wszystko i wszyscy składali się na poniżenie w oczach jego człowieka.

W tych dniach życia przecię, w téj dobie którą przebiegł książę Józef, jedna szczególniejsza istota uosabia w sobie ludzkość, przedstawia jój najjaśniejszą stronę. Jest nią kobieta. Młodzieniec widzi w niej wybrańca bożego, przeznaczonego, by resztki uczucia i serca wyratował z potopu; jeśli w téj istocie nie znajdzie ich, wątpi łatwo o reszcie.

Książę Józef, otoczony tym światem płochych lalek we fryzurach, malowanych jednemi barwami, nasłuchawszy się ich szczebiotu jednostajnego, sto razy zdradzany z uśmiechem, pociągany kłamstwem i próżnością, naostatek pytał już się niespokojnie, czy mi-

łość i wiara nie są próżnemi tylko słowy, przeznaczonemi, by na ziemi latały jak anioły, nigdy jój nie tykając stopą? Wszakże po zdradach tylu nie przeklął, jak drudzy, człowieka; uchwycił się téj myśli, że na dnie osiadła enota, prawość, szczerota.

Było to jesienią, jednego z lat następujących po sejmie czteroletnim, który nie przerwał życia rozszałego większości. Warszawa wyglądała nadzwyczaj świetnie i niezrozumiale wesoło. Pieniądze zdawały się płynąć rynsztokami, tak je nierozważnie rzucono na wszystkie strony; pracowity świat wielki nie mógł wystarczyć balom, wicezorom, piknikom, rednotom, spacerom, kartowym stolikom i rozrywkom, którym napróżno starano się coraz nową nadawać barwę, a były jak piekło jednostajne i nudne. Nowi ludzie bawili się niemi kilka tygodni, jak człowiek, który wchodzi w gorącą kąpiel i czuje z razu trochę ciepła, ale po chwili drzeć zaczyna w tym ukropie. Księżę Józef, jak wielu jego rówieśników, był niesłychanie smutny; patrząc na tego Apollina w całym blasku męskiej piękności, którego czoło osnuwała mgła jakaś nierozbita, żał serce ściszał, tak widocznie cierpiał, choć się uśmiechał... Wypełniał on ściśle obowiązki swojego stanu, mozolne, choć pozornie bardzo rozkoszne, a bliżej się weń wpatrując, przychodziło na myśl, że Dante nie wyczerpał wszystkich kar w swoim piekle, nie umieściwszy w niém kłamanego szczęścia nwieńczonego laurami i różami, z tajemną raną w piersi zakrwawionej i zazdroścącymi dokola.

Tymczasem pół świata zazdrościło mu męczarni

a gdy w swém *whisky*, zaprzężoném ośmiu karemi końmi przelatywał Krakowskie Przedmieście, mając po bokach Wielhorskiego i Kościuszkę, lub na przepysznym karoszk, w twardój od srebrnych haftów kurtce pędził do Mokotowa, na Wolę, do Jabłonny, stawali ludzie mówiąc sobie po eichu: „Co to za szczęśliwy człowiek!”

Tego dnia książę Józef nie próżnował od rana. Chociaż późna była jesień, ale pora, jak to się często w Warszawie trafia, prześliczna; wstawszy więc ruszył na przejażdżkę ku Willanowu. Po powrocie był u króla na chwilę, odwiedził Ignacego Potockiego, żeby trochę w jego towarzystwie spoważnieć, oglądał potem angielskie konie wystawione na sprzedaż, które młodzi Tepperowie za niezmiernie wysoką kupili cenę, oddał kilka wizyt pięknym paniom, próżno go uśmiechami zatrzymującym, jadł obiad długi i niesmaczny u Prota Potockiego, nasłuchawszy się do przesytu o projektach przemysłowych i handlowych, potem wbiegł do kilku domów wieczorem, jeździł do teatru, aby się na nim wyziewać dowoli, był na reducie w Radziwiłłowskim pałacu, na prośzonej kolacyi kawalerskiej u Branickiego, i znużony powrócił do domu, jak po najmozolniejszym trudzie. Z całego dnia zostało mu wspomnienie nieograniczonej tęsknoty.

Siadł na sofie, jak zwykle, i zamyślił się głęboko...

— Jest to życie niemożliwe! rzekł nareszcie w duchu: jeszcze rok, a człowiek zgrzybieje i zgłupieje. Wir ten nie daje myśleć, szal ten nie dozwala oprzy-

tomnieć. Stać się pustelnikiem wśród téj ciżby? ogłosić za szaleńca... uciec? tak! byłby to jedyny niezły środek, ale dokąd?... A! serce! serce — dodał — czemu ty mnie nie poratujesz?.. czemu nie uderzysz tak silnie i głośno, aby ten hałas zagłuszyć?..

Do kogo? spytał się z uśmiechem, — i myśl przebiegła wszystkie piękności dworu i stolicy, sztydersko zdzierając z nich mrok wdzięku. Księżę Józef widział je niemal wszystkie tego dnia w łóżach teatru, i do każdej z tych twarzy, co się ku niemu zwracały, pamięć przypięła historię, która jej urok odejmowała. Ta jest już z dziesiątym ulubieńcem, tamta z trzecim mężem... tamta z piętnastym przyjacielem, nie licząc nieprzyjaciół, których kochała po chrześcijańsku i przez uczucie obowiązku... Z takimi myślami po północy położył się księżę Józef, ale nie usnął; rozgorączkowany dniem, rozmarzony myślą własną, rzucał się, marzył, aż gdy na dzień się już zbierało, wstał, zadzwonił niespodzianie na kamerdynera, który nieprędko nadszedł dosyć przestraszony, i kazał sobie przygotować ubranie. Francuz był posłuszny, ale widząc, że księżę ani wierzchowca, ani powozu nie żąda, nie wiedział co myśleć.

Po chwili księżę Józef, zostawując go w tém zdumieniu, ubrany po cywilnemu, wyruszył z pałacu na miasto.

Ranek był rzadkiej piękności, i mgła nawet, która prawie zawsze u nas pogodzie jesiennéj towarzyszy, już się gnana wiatrem rozwiewała; niebo, choć blade, ale czyste, miało ten ton łagodny północy, który się w taką z kołorytem pejzażu zlewa harmonię.

Gdzie niegdzie białe bawełniane przelatywał po niém obłoczek, ozłocony wschodzącém słońcem, które otaczały rumiane pasy dalekich tumanów. W powietrzu była cisza, na ziemi spój, i ledwie dający się czuć powiew zachodnio-południowy opędzał z drzew resztki liści, które się jeszcze po kołach galezi trzymały.

W ulicach miasta ujrzał książę to, co na nich rzadko widywał: ludność różną od téj, która we dnie się po nich kręciła, wiejską, przedmieściową, pracowitą, ubogą. Szły z Pragi firy z drzewem, z jarzynami, z zapasami różnemi. Kobiety z ciężarami na plecach, mężczyźni z pilami i siekierami, po ulicach łączyły się ranne dzwonki mszy cichych, na które cislali się wieśniacy. Gdzie niegdzie wśród tego zalewu przybyłej ludności, przepływała i miejscowa uboższa: mieszczanie w kapotach długich z laskami, poważnie kroczący na prymaryę, jejmoście starszki, chcące się tanio zaopatrzyć do domu, przekupnie i przekupki, ostro targujący się o nabycie tego, co wkrótce jak najdrożej sprzedawać mieli, i młodzież pleci obci z najbiedniejszej klasy, wybiegająca po zapasy gospodarskie, wodę, mleko, świeżą bułkę do piekarza.

Książę Józef przypatrywał się z ciekawością temu widokowi nowemu dla siebie, który go przyciągał żądzą poznania utajonych sprężyn, poruszających nieznanym światem.

Im głębiej spuszczał się książę ku Pradze, odchodząc od środka stolicy, tém otaczająca go ludność inny przybierała charakter i mniej w niej czuć było miasta. Naostatek szedł aż do brzegu rzeki, gdzie już prawie było pusto. Ubogie domki rybaków, szychły drzewa, czółna popróchniałe, rozwieszane sieci,

chałupki z desek pozbijane, i tuż szeroką rozlana Wiśła płowa, spokojna, choć groźna, a na nią w dali parę ciemniejących czółenek.

Tu cisza była uroczysta... książę od dawna takiego nie zakosztował spokoju.

Życie całkiem mu się tu inaczej wydawało. Tam, z kąd przychodził, było ono teatralnym widowiskiem dramatu, napisanego bez talentu, odegrywanego rutyną, czémś kłamanem i sztucznem; tu widział je prawdziwem, poważnem, wśród nędzy i walki wspaniale, majestatycznie pięknem. Na czołach tych ludzi była troska, ale obok niej siła i wiara w tę siłę człowieka, która tam wyżej czuła się wyczerpaną. Praca uszlachetniała tu ruch każdy... a mimo niej niepewność jutra ożywiała, budziła, nie dawała usnąć głuśnie.

Gdy książę usiadł na kłodzie nad brzegiem i począł się rozpatrywać w otaczającym go obrazie, z chaty dosyć biednej, nicopodal stojącej, której drzwi się otworzyły powoli, ukazała się postać w bieli.

Była to może piętnastoletnia dziewczeczka, z blond włosami rozpuszczonemi, bo je właśnie zgarniała i czesała, w koszulce i spódnice, bosa, szczupła, drobna, ale prześliczna. Mała chusteczka okrywała jej ramiona od ранego chłodu, z którym zresztą oswojona widać była, bo się wychyliła za próg, i stała przypatrując się niebu, próbując powietrza...

Nie postrzegła ona księcia, który siedział, osłonięty wysoką szczytą drzewa, naprzeciw światła, i nie też jej w tej tualecie na podwórzu nic przeszkadzało. Zbierała obfite, piękne blond włosy, rozczesy-

wala je, plotła, a niekiedy drobne jój usteczka różowe, z pod których białe patrzyły ząbki, otwierały się poziewaniem, jakby resztki snu odpędzała od siebie. Parę razy zdawała się przysłuchiwać czemuś wewnątrz chaty, i uspokojona powracała do swego stroju. Przy drzwiach stało wiadro z wodą, poczęła się oblewać starannie i wycierać twarz i ręce grubym ręcznikiem. Potém znikła i powróciła znowu z gorsecikiem, który sznurowała powoli. Usta jój w czasie tego zajęcia poruszały się powoli, mówiła pacierz poranny. Niekiedy ręką uderzyła się w piersi, to znowu przyklękła i pochyliła głowę, wreszcie narzuciła na siebie sukienkę pstrą i poczęła ją starannie obciągać.

Wszystko na niej było niezmiernie ubogie, ale bogata była we wdzięk młodości, którego nie zastąpić nie może. Książę wpatrywał się w nią—po twarzach wybielonych, wyróżzowanych, wymuskanych pań stołecznych—jak w kwiatek polny, rozkwitły na ustroniu.

Kwiatek był w istocie uroczy; najwybredniejszy znawca musiałby mu się zdumieć. Piękność rysów nie jest wcale, jak sądzą, wyłącznym udziałem tych klas społeczeństwa, w których pokoleniami wydelfikowana krew, wydaje arcydziela formy, naprzemian z poczwarnymi monstrami. U ludu od kolebki zmęczone dziecię, często traci kształt wdzięczny i barwę młodości, ale jeśli przetrwa pierwsze życia zapasy, często też wyrasta na Wenus z Milo lub Antinousa... I naówczas siła a energia tej piękności przechodzi blade kwiatki arystokratycznych cieplarni. Wychowanie też wpływa wiele na wyrobienie w tych ostatnich czegoś fałszywego, sztucznego, sztywnego, gdy prostota obyczajów uposażuje ludowe wdzięki. Jest w nich coś jakby

z marmuru kutego; arystokratyczne piękności podobniejsze są do figurek z cukru i ciasta.

Dziewczę, któremu książę Józef przypatrywał się z takim zajęciem, że oczu od niego oderwać nie mógł, nie było może tak regularnie piękne, ani ak potężnie zbudowane, by je rzeźbiarz wybrał za wzór sobie, ale w szczupłych kształtach jego sił dziecinnych, napół kobiecych, rozlany był wdzięk naiwny, nieporównany. Nóżki, ręce, choć silne i spracowane, ale w wiślanej wodzie wypłókanе codziennie i białe, piersi szczupłe, główka drobna, oczy niebieskie, uszko małeńkie, nosek prosty i nieposzlakowanego kształtu, składały się na obrazek przypominający fantazyę Grenze'a, i niektóre szczęśliwsze pasterstwa Boucher'a.

Była to właśnie chwila, w której pastuszek, lud i wioskowe życie, pojęte po teatralnem, były w wielkiej modzie u świata... Książę Józef napatrzył się ich na parawanach, wachlarzach, na drzwiach i rycinach, ale mu się nie trafiło nigdy w żywym świecie spotkać wzoru dla Greuze'a... Był nawet przekonany, że Boucher i Watteau, że sam rozczawiony Greuze są wielkimi kłamcami, że przebierają często wielkie pannie za pasterki. Obrazek, który ujrzał tak nagle w ramach drzwi ubogiej chatki, zachwycił go.

Dodajmy, że książę Józef był nieco marzycielem i trochę fatalistą... To wyjście ranne, jakby mimowolne, ta siła, która go tu przeciągnęła, ukazanie się dziewczęcia, poddały mu jakąś myśl przeznaczenia. Wczoraj upominał się u świata i losu o coś, coby mógł ukochać; dziś zjawiała się przed nim istota ślicz-

na, dzika, bo właśnie dzikięj i prostęj pragnął... Nie byłoż w tém coś fatalnego? Odczwał się do losu, los mu odpowiadał: „Chciałeś, oto jest.”

Myśl mu poddała wczorajszą tęsknotę i postawiła obok nięj to zjawisko niespodziane.

Gdy tak narzył, dziewczę za drzwi znikło, a książę, namyśliwszy się nieco, nie bez pewnej obawy, z której sam się uśmiechał, wstał i powoli skierował się ku ubogiemu domkowi. Powierzchność jego zdradzała stan mieszkańców bardzo biedny; chatka dosyć stara, na malęj podniosłości brzegu wybudowana, była szczupła i nadniszczona. Dach na nięj cały porastał zielonemi kupkami melów, które widocznie rozszerzając się zjadaly zezerniałe gonty; komin był wyszczerbiony i okopcony...

Ściany trochę wpadły w ziemię. Jedne drzwi, te właśnie, w których mu się dziewczę ukazało, prowadziły do wnętrza. Książę zawahał się chwilę, nie próg przestąpił, myśląc czem się wytłómaczy z odwiedziny? ale po krótkiej rozwadze, uległ pokusie.

Się, do której się wśliznął, była pusta, pełna przyborów rybackich, długich węd, zezerniałych sieć i węcierzy; jedne drzwi wiodły w prawo do mieszkania. Książę Józef zapukał do nich, nie śmiejąc się wpierać do środka bez pozwolenia.

— A no! wejdzcie! odczwał się głosik ze środka miły, cieniuchny, dziecienny. Cóż to wam przyszło do głowy pалеc sobie objąć o drzwi?

— Ino zobacz, bo może to kto obey, przerwał głos drugi starszëj kobiety.

W tęgëj chwili drzwi uchylone roztworzyły się

powoli, ale mimo téj ostrożności książę Józef dostał niemi w głowę i uchylić się musiał. Dzieweczka, która je otworzyła, stanęła zdziwiona na widok bardzo pięknego nieznajomego pana, przypatrującego się jéj z równą jak ona jemu ciekawością. Oboje poczerwienieli. Mniej to dziwne było ze strony dziewczęcia, ale książę, dawno odzwyczajony od palącego ramięca, uczul go na twarzy, jakby przynosił mu na nowo stracone lata dzieciństwa. Był to gość niespodziany...

Domyśliła się dziewczeczka, że ten pan przez omyłkę chyba do ubogiej chaty zajrzeć musiał i trzymała drzwi ciągle, nie chcąc go puścić do środka. Przez tę chwilę niemego przypatrywania się, ona miała czas przeżyć w nim jakąś istotę wyższą, on rozplomieniał się, marząc, że trafił na ów ideał prostoty i serca, który dotąd tylko w złych francuzkich romansach niedołącznie malowany spotykał...

— Ale czegoż pan chce? odezwało się dziewczę:— bo na matulę ciągnie chłodne powietrze.

— Ja? pśńciec-no mnie, to wam powiem, odparł książę, i uchyłając drzwi przytrzymywane, wszedł do izdebki.

Ubóstwo jak zbytek ma pewne rysy ogólne, z którymi się okazuje zawsze trochę jednostajnie; przepych potrafi się łatwiej urozmaicić, choć mu niezawszę udaje się szczęśliwie wyjść z pospolitości, unikając przesady i niesmaku. Nie widzę więc potrzeby malować wam ubogiej chaty, bo z maleńką różnicą, wszystkie one są do siebie podobne; tu fantazyja rozposażać się nie może, coby w drobnych szczegółach.

Wnętrze izby było uderzająco czyste i schludne, i to stanowiło jego całą ozdobę. Na ścianach pełno obrazków świętych, pookrażanych wiaukami i palma-

mi, w okienkach trochę zieloności, stół, szafa wielka, parę ławek, a w kącie szerokie łoże białe, na którym leżała stara, blada i chorobą widocznie wycieńczona kobieta... Na kominku paliło się trochę ognia, przy którym coś w garnuszczyku gotowała dziewczynka...

Książę, im mocniej się jęj przypatrywał, tém więcej czuł, że mu do niej goręcej biło serce... Była prześliczna, a z oczu niebieskich taki wyraz spokoju i niezmiernęj łagodności przezierał, taka płonęła słodycz i dobroć jakaś rozumna!... Po codziennych rewiiach salo nowych kobiet, wysnurowanych, wypiękniomych a nie pięknych, po licach tych malowanych a nieświeżych, wyraz młodości i świeżości uderzał prawdą porywającą... Na księciu uczynił on wrażenie takie, jakiego by doznał człowiek przywykły patrzeć na obrazki, a nagle stający w obec żywego życia...

Dziewczę niespokojne, wciąż zapierało mu sobą drogę; widocznie chodziło o matkę. Nie czuła ona niebezpieczeństwa własnego; szło jęj o staruszkę, która, wyglądając ciekawie, pokaszliwała ze strachu...

— Pozwólcie mi wejść i spocząć, rzekł książę jak mógł najłagodniej. Zmęczyłem się przechadzką... proszę was o szklankę wody i pozwolenie posiedzenia na minutkę.

— Julko... Julko! przerwał głos matki: ale puść ciż tego jegomości... cóż tam się tak drożycie?

Książę wszedł powoli i odwrócił się ku łóżku, aby staręj podziękować, gdy ta wychyliwszy się lepić z za firanek, załamała ręce wychudłe i krzyknęła prawie przestraszona:

— Jezu Marya! a to nasz śliczny książę!

Książę Józef aż się cofnął, z kolei przelekkły tém,

że go poznano; a Julka, ścierając pył fartuszkciem ze stołka, przybiegła z nim szybko do gościa, który stał w pośrodku izby zmieszany.

— A cóż to księcia do naszej biedy przypędziło, mój śliczny panie? żywić niżby się można spodziewać poczęła chora. A mój ty miły Jezu! a toż to cud! Jakimże sposobem?...

— A zkadże wy kohełana matko mnie znacie? zapytał ksiązę, odzyskując mowę.

— Albo to was zapomnieć można? zakrzyknęła stara. Ja służywałam w Jabłonnój i w zamku, a kto księcia raz tylko zobaczył, toć go nie zapomni!

— I cóż tu teraz porabiacie?

— A! mój miły ksiązę! nieszczęście nas tu zepelnięło! Były lepsze czasy... Owdowiawszy po pierwszym swoim mężu, który był nie potem dworak, wyszło się drugi raz za rybaka. Pocziwe czeczysko... aleć go Bóg długo na świecie nie trzymał, a wziął do swój chwaly... Mój Macieisko załamali się z lodem na Wiśle, i aż trzeciego dnia znaleźli jego ciało, żeśmy je po chrześciańsku pogrzebać mogli...

Stara zaszła się od placzu.

— Zostało nas po nim sierot dwoje, mój ksiązę: ja i to pocziwe dziecko... a tu choroba na mnie... co mnie jak trupa na nie nieprzydatnego rzuciła na łożo... Gdyby nie pocziwi towarzysze Maciej, rybacy, co nam pomagają, jużby z głodu przyszło umrzeć i to dziecko zostawić na straszliwe sieroctwo. Ale Bóg opiekun...

Ksiązę milezał wciąż zmieszany, oglądając się to na starą, która śpiesznie i coraz żywić mówiła, to na dziewczkę zaplonioną, dającą znaki matce, aby się nie męczyła zbytecznie rozmową.

— Czy nie słyszeliście, że ksiązę prosili wody! dajcież mu świeżęj i weźcie czystą szklankę białą, moja Julko, a pocałujcie go w rękę i przeproście, żeście go puszczać nie chcieli... Taż to synowiec króla jmei i taki dobry pan...

Julka, mocno przejęta nowiną, że to był synowiec króla i ksiązę, zakrzyknęła się okolo wody, ale jak na złość wszystko jej z rąk padało, wymykało się, palnszki krzepły, i gdy przyszło na talerzyku podać szklankę, to się woda na pół na niego rozlała, tak Julce rączęta biegaly ze wzruszenia.

Ksiązę siadlszy, rad był jak najdlużej tu pozostać, aby patrzeć na śliczną Julkę; szczęściem nieskończona gawędka staruszeki, która na nowo cale mu życie swoje opowiadać zaczęła, przedłużyła odwiedziny, hojnym ukończone podarkiem.

Nazajutrz ksiązę przywiózł z sobą do choręj doktora Lafontaine'a.

Na wiosnę następnego roku szeptano po Warszawie, od neha do neha podając sobie nowinę, obruszającą szczególnie kobiety wyższego świata, że ksiązę Józef, który tak sobie lekko i prawie pogardliwie traktował najcenniejsze piękności Stanisławowskiego dworu, zamiast się zakochać w jednej z najzałotniejszych i najpiękniejszych pań, od dawna okazującej dla niego nadzwyczajną passyę, miał jakąś miłość pokatną, ukrytą, poniżającą go dla jakiegoś nbogiego, nieznanego dziewczęcia.

Gniew wielkiego świata był potężny. Ksiązę spotykał rozplomienione lica, uszczypliwe przymówki, aluzye bolesne, ale przyjmował je z obojętnością szczęś-

liwego człowieka, z uśmiechem prawie wzgardliwym, nie sobie z nich nie czyniąc. Wieść o téj miłości nadzwyczajnej, dowodząca, że księżę nie był zupełnie ostygly i mógł kochać, obudziła niezwykajnie usiłowania pochwycenia tak drogiego serca. Panie sądziły, że z łatwością wybiją mu z głowy tę fantazyę chwilową, i zabiegały drogę w sposób, który tylko obyczaje tamtego czasu nieco uniewinniać mogły. Ale księżę na to wszystko był dziwnie zimny, grzecznością nieco ryderską odpierając potwarze i zaloty, bardzo często miewał, odwracał rozmowę i mówić weale nie chciał. Narobiło to wiele nienawiści, niechęci i spisków: bo wszystkie panie uznały, że tak rzeczy zostawić nie można; iż należało koniecznie zmusić księcia, by w swoim świecie szukał uspokojenia serca. Donoszono prawie codziennie o nowych zamiarach i czyhaniu na spokój bohatera, który pokręcając wąsa, ruszał ramionami tylko, lub odpowiadał swym służnym szpiegom:

— Dajcie im pokój! niech się sobie bawią... co to mi szkodził...

Nikt prawie nie wiedział, jak rzeczy stały w istocie. W życiu człowieka tak wystawionego na ciekawe ludzi szperania jak księżę, trudno było ukryć się z chwilą życia, odkraść ją dla siebie. Śledzili go wszędzie oczy niespokojne; powtarzano sobie po cichu gdzie go i kiedy widziano, kiedy jego whisky przeleciał, o której przejechał konno, gdzie się przemknął pieszo... obliczano potem godziny, aby dojść jak dnia użył, badano sługi, by się dowiedzieć, o której do domu powracał. Na to wszystko księżę Józef uśmiechał się pogardliwie, zwłaszcza gdy mu piękna Anna, prześladowająca go miłością swoją od dawna, zdawała rachun-

nek z użycia dnia, który ją niezmierniej pracy kosztował, a był wszakże fałszywy.

Miłość Anny była przywiązaniem, passyą, fantazyą, nazwiéjcie to jak chcecie, wielkiej pani właściwą. Anna była od powijaków pieszczonóm dzieckiem, miała zachcenia gwałtowne, jak dziecię kapryśne, nie rozumiała poświęceń od siebie, tylko dla siebie... Książę Józef podobał się jéj tak, jak wielu innych, ale był synowcem królewskim, był królowi młodzieży, był najgłośniejszym... a Annie, która dla niego od dwóch lat okazywała najszaleńszą, kompromitującą miłość, nie dał innych nad zimną grzeczność dowodów współczucia. Miłości jéj, oświadczeń, gniewów, zajęcia sobą, nie chciał rozumieć...

Anna była prześliczną brunetką... ale tak piękną, jak bywają obrazki; rysy miała regularne, wyraz twarzy łagodny i wystudyowany do rodzaju piękności; brak jéj było charakteru i wdzięku. Coś marmurowego, zimnego szpeciło tę istotę, w piętnastym roku rozczarowaną, w dwudziestym zestarzałą moralnie. Ze wszystkiego pozostały jéj tylko gwałtowne, dziecinne fantazyje... gdy zapragnęła czego, musiała dojść, choćby najkosztowniejszymi ofiarami. Jedną z takich fantazyj była dla niéj miłość księcia Józefa, której pragnęła tém goręcej, im książę był obojętniejszy. Chciała się nim pochlubić... chciała pokazać swą siłę. Książę Józef w samym początku zaciekawiony zbliżył się do niéj, ale poznawszy lepiej, odstąpił prędko... Pięknej Annie ta passya głośna i umyślnie uwidoczniwana nie przeszkadzała wcale wieść za sobą rojów wielbieli... uśmieszać się, bawić, dawać przez kilka dni pierwszeństwo to temu, to innemu, a wzdychać do księcia i nawet trochę czasem płakać wieczorem z gnie-

wu na niego. Goniąc za księciem po balach i przechadzkach, piękna Anna trafiała na tych, co się za nią upędzali, zapominała o nim i śmiała się do rozpuku z trzpiotami... potem znowu napadała ją tęsknota okrutna na kwadrans i szła pusty po niej. Anne była jednym z najdoskonalszych produktów wyrafinowanej arystokratycznej cywilizacji, próbką tego, co może z dobrego serca kobiecego uczynić złe wychowanie i zwiechnienie pojęć o życiu. Wietrzna, rozpieszczona, zdziwaczała, chwilami dobra jak anioł, to znowu rozwścieczona i niepamiętna na nic, pobożna i zalotna razem, enotliwa a nieumiejąca granic rozemnieć gdzie się kończy cnota a poczyną wina, szła w życiu, szczęściem prowadzona jego formami, bez których trudno przewidzieć gdzieby zająć mogła. Jeżeli kto to ona zasługiwała na to imię wietrznej istoty, jakim poeta wszystkie napiętnował kobiety. Książę Józef miał dla niej jakąś pocziwą litość braterską, ale pokochać jej nie mógł. Im trudniejszemu stało się do zdobycia to serce, tém było pożądańsze dla Anny; wmówiła w siebie, że bez niego żyć nie będzie mogła, że umrze jeżeli go nie zdobędzie. Był to wielki cel jej bezcelowego życia.

Można sobie wystawić rozpacz i gniew pięknej Anny, gdy po stolicy rozeszła się wieść, że książę Józef jest zakochany—w kim? nie w jednej z tych piękności, które uwieczniły pastelle Marteau lub pendzel Grassiego, ale w prostym dziewczęciu. Wieści mówiły o wieśniaczce... gorzej! o służącej jakiejś... a starościna. O... powtarzała, że książę *à le gout si depravé*, iż mógł się zakochać i przywiązać tylko do *pomywaczki*. Zwano tę tajemniczą istotę nieinaczéj tylko *pomywaczką* a przydomek ten wyrażał całą wzgar-

dę, cały gniew wyższego społeczeństwa przeciwko księcin i owój pięknej (nie wiadano nawet czy pięknej) nieznanomój jego kochance.

Najgłębsza tajemnica osłaniała stosunki księcia z ową dziewczką. Śledzono daremnie gdzie się ukrywa, wiadano zaledwie o jej istnieniu. Lecz sama zmiana humoru księcia Józefa jużby go była zdradziła. Inaczej całkiem wygląda człowiek szczęśliwy i spokojny, od znudzonego życiem i zmęczonem człowieka szukaniem serca i przywiązania człowieka.

Od niejakiego czasu książę Józef niesłychanie się zmienił, przyznawali to nawet najumiń baczni postrzegacze: z złośliwego, pochmurnego, czasem trochę złośliwego człowieka, stał się wesołym, pobłażającym, dobrym, jak każdy, co czując szczęście, radby niem, dla harmonii, cały świat obdzielić. Jest to w ludziach pocziwyc, że gdy im na świecie lepić, chcieliby, żeby wszystkim dobrze było. Ten, komu dla przyprawy jego szczęścia potrzeba cudzych cierpień, jest niegodziwą istotą... komu boleść bliźniego zwiększa rozkosze, niewart imienia człowieka.

Nigdy też może książę Józef tak bardzo nie był dla ludzi pobłażającym, nie szukał tak we wszystkim dobrego, nie upierał się, by widzieć jasno świat, człowieka, życie. Nawet ta piękna twarz jego, którą znacie, przybrała wyraz łagodnie zamyszonego spokoju i błogości.

Na pozór w jego zwyczajnem życiu i porządku dni nie się nie zmieniło; szperania i rachunki godzin nie wykryły różnego ich nżycia... Jak dawniej przelatował wzdłuż Krakowskiego Przedmiescia i Nowego

Świata aż do Ujazdowskich alei, niekiedy do Łazienek, konno lub karyklem, sam się powozil i dokazywał endów, kierując ośmiu szalonemi końmi, uprężonymi do lekkiego powoziku, a słuchającami skinienia jego silnej dłoni; jak dawniej dawał się zapraszać na Wolę, do sali Szulca, na pikniki i podwieczorki; jak dawniej tańczył ze śliczną Julią Potocką i z nieodstępnym Wielhorskim pokazywał się wszędzie... a jednak szeptało po cichu, że książę spędza długie godziny u nóg tej, którą nazywano ze wzgardą! - *pomywaczką!*

Raz na wieczorze u pani Branickiej, śmiała i znana ze swych dowcipów pani Lucchesini, żona posła pruskiego, której miłość dla Juliana Ursyna była znana wszystkim, zagadnęła księcia w sposób przykry:

— Mości książę, rzekła do niego po francuzku: prawdaż to, że w. ks. m. masz poczwarne gusta i że wolisz zgrzebne płótno od atlasów, a ręce czerwone od pięknych wypieszczonych dłoni? Cały świat mówi, że książę kocha się, daruj mi wyraz, ale to nie ja go stworzyłam... *w pomywaczce!*

Książę Józef się zaczerwienił.

— Pani, rzekł: mógłbym jej odpowiedzieć, że nie każdemu dano kochać się poetycznie i mieć ideał na rozkazy, ale nie chcę być złośliwym. Nie widzę nie tak straszliwie poczwarnego w miłości dla... choćby zresztą dla pomywaczki. Serce idzie gdzie je wola niezwykła siła magnetyczna; nikt za nie nie odpowiada, jeśli ma się poddaje... Ale powiedz mi pani, co tak znasz dobrze życie salonów, w których atmosferze wzrosłaś, czy w puchach labędziej wyhodowują się piękniejsze serca i czystsze dusze od

tych, które Bóg, powietrze, tęsknota, nędza, opuszczenie wyrabiają w piersiach prostaczych?

— Widzę, odparła kwaskowato pani Lucchesini: żeś księżę zwolennik Russa, że wracasz do stanu natury...

Na tém przerwała się rozmowa, a posłowa darować nie mogła księciu, że jój przypomniał tak wyraźnie to, o czém wszyscy dobrze wiedzieli, ale na co umyślnie zamykano niby oczy.

Najbliżsi przyjaciele księcia, ci, z którymi żył ciągle i widywał się codziennie, gdy mowa była o tój nieszczęśliwej pomywaczce, najmocniej przeciwko potwarzy się obruszali, dowodząc, że to wszystko było niegodziwie zmyśloną baśnią. Plotka pomimo to, sił nabierając w pochodzie, wedle łacińskiego przysłowia: *Vires acquirit eundo*, — nieoparta na niczém, coraz to się rozchodziła głośniej i jaskrawszćj nabierała barwy. Nie wiedzieć zkąd i jak zaczerpnięte, powtarzano sobie na neho szczegóły osobliwsze poznania się księcia z ową dziewczeczką, jój przeszłości, charakteru, rysowano nawet fizyognomię i obnoszono jakieś mniemane portrety owęj kochanki, tak jak owęj ładnej *młynarki*, która do dziś dnia uchodzi za ulubienicę Stanisława Augusta...

Szcześnie dla księcia, usłużni salonowi dostarczyciele plotek razeni zaczęli popisywać się z dwoma aż portretami, z których jeden do drugiego wcale nie był podobny i zdradzał fantazyę ołówkową któregoś z uczniów Bacciarellego lub Norblina. Ta okoliczność wiarę w nich zachwiała,

— Są podrobione, zawołała piękna Anna. Szczególna rzecz, gdy wszystko się wie w Warszawie... jeden książkę Józef ma talent ukrywania się z każdą czynnością i pozostania tajemnicą! To upokarzające! doprawdy.

Z innych całkiem powodów, mężczyźni podrażnieni byli tym odgłosem miłostek okrywających się tajemnicą, przeciwko zwyczajowi; gdyż w owe czasy więcej szukano chluby z tego rodzaju stosunków, niżeli zaspokojenia w nich jakiegoś serca potrzeby. Zdradzało to zazdrość kochanka i wywolywało z drugiej strony chętkę współubiegania się o lepsze. Grano chętnie w odbitego naówczas, i silono się nieraz odsadzić, nie dla przywiązania, ale przez miłość własną. Staremu Tepperowi odbił ktoś piękną Alicję Włoszkę, o czym przynajmniej trzy dni mówiono na ucho, ale tak, że wszyscy słyszeli... Najbliżsi przyjaciele serdeczni księcia Józefa zabierali nm się wypłatać figla, do którego i piękna Anna z drugiej strony zachęcała... Na nieszczęście owa *pomywaczka* kryła się tak, że nikt a nikt o niej nie wiedział... Jedni szukali jej w Mokotowie, drudzy na Woli, inni upatrywali ją na Krakowskim-Przedmieściu... lecz koniec końców nikt jej nie widział i nikt o niej nie wiedział...

— Ale to ostatni wstyd i sromota! wołała piękna Anna: waćpanowie nie zdaliście się na nie wszyscy... Jużciż można krok w krok za nim chodzić i dośledzić. O, gdybym ja była mężczyzną!...

Chodzili też krok w krok, ale niczego nie doszli. Jednego wieczoru piękna Anna jakoś była znużona, czuła się chorą i postanowiła nie wyjeżdżać i nie przyjmować nikogo. Galonowany szwajcar odpra-

wiał przybywających zinném: „Nie ma kasztelanowej w domu.“

Ponfali wszakże, nie słuchając go, wchodzili na górę i zasięgali bliższej wiadomości od kamerdynera Francuza. Louis wiedział doskonale, kogo można było, mimo niedyspozycji, dopuścić do przedpokoju, kogo oznajnić, a komu potwierdzić tylko udzieloną na dole nowinę o niehytności pani.

W istocie piękna Anna siedziała w swoim buduarze w białym negliżowym stroju, osztyltem koronkami, i bawiła się z ulubionym szpicem, pozewijając nad życiem, które jakoś coraz robiło się dla niej nudniejsze... Miejsce na kanapie niebieskiej, które zajmowała wśród atlasowych poduszek, tak było urządzone, że naprzeciwko miała zwierciadło, stanowiące drzwi do drugiego pokoiku toaletowego, i Anna spoczywając mogła zawsze surowo się zastanawiać nad sobą, czytając rachunek sumienia, z pomocą wiernego odbicia swych wdzięków.

Miała nawet to przywyknienie, że w domu i wszędzie gdziekolwiek się znajdowała, szukała zwierciadła, lubiła w nie patrzeć, chcąc zawsze zdawać sobie sprawę z najmniejszych szczegółów ubrania, po biły, rumieńca, pudru, fryzury...

Obok Anny siedziały dwie jej najserdeczniejsze i nieodstępne przyjaciółki: pani, którą naówczas w Warszawie zwano Dziobatką, bo ją ośpa mocno poszcifica, znana ze złośliwości i dowcipu, a chlubiąca się najpiękniejszą figurą w pałacu, dającą się ująć w dłoń mężczyzny, i siostra stryjeczna Anny, stolnikowa, młoda kobiecina, której charakter stanowiło, że się zawsze i wszędzie nudziła i ziewała. Mimo młodości i wdzięku, świat, w którym się obracała

wcale jój nie zdawał się obchodzić, żyła w nim nie znajdując przyjemności. Kręciła się wszakże z drugimi, ale roztargniona i zaspana.

Ta trójka przyjaciółek długo gwarzyła, przebiegając dzieje całej Warszawy, wyszukując skandalików, karmiąc się świeżuchnemi nowinami, jak olbrzymy mięsem świeżem w bajkach, gdy nareszcie piękna Anna spytała Dziobatkę wdychając:

— A cóż o księciu Józefie? nic nowego?

— Zawsze Pepi ciebie zajmuje, moja droga...

— Nie wymawiajcie mi mojej słabości czy uporu...
C'est plus tort que moi... Ale wicież co nowego?

— A! co mi dasz, to ci rozpowiem całą i ciekawą historję? odczuwała się Dziobątka.

— Cóż? może tę, którą sto razy słyszałam, o pomywacze? Ale wicież gdzie się to jego bóstwo ukrywa?

— Wiemy przynajmniej jak wygląda, co robi. To cały romans moja droga...

— A mówże i nie trzymaj unnie na dwóch łapkach, jak czasem mego Dzidzi cukrem zmuszam do służenia... No mów! bez przedmowy...

Dziobątka uśmiechnęła się...

— Wicie gdzie ona mieszka? spytała Anna.

— Jeszcze nie, ale się dowiemy wkrótce...

— Wicie jak się zowie?...

— O i tego nie jeszcze...

— Jak wygląda przynajmniej?

— Wszyscy mówią, że blondynka i że wcale nie jest tak ładną jakby się domyślać można... dziewczę młodziuchne, twarzyczka dosyć pospolita, trochę świeżości... *Mais le curieux de l'histoire*, to miłość Pepi,

który ją wychowuje, daje jój metrów, kształci, uczy, i odwiedzając, całuje w rękę z uszanowaniem...

I Dziobotka szepnęła coś na ucho Annie, która ruszyła ramionami.

Stolnikowa ziewając dopomniała się o udział w nowinie owój, którą powtarzano na ncho. Anna śmiejąc się podała jój trzy słowa, i wszystkie śmiać się zaczęły.

— Ale to niepodobna!

— To nie ma sensu...

— Mów dalej kochana... dodała Anna; ludzie stworzyli sobie jak widzę romans Marmontel'a z tój bardzo pospolitój historyi.

— To co wiem, mam z najlepszego źródła, rzekła Dziobotka. Wierzyć, nie powiem żebym wierzyła... ale jest w tém coś prawdy... a wreszcie: *se non e vero, e ben trovato*.

— Koniecznie chcą go zrobić bohaterem! szepnęła stolnikowa.

— Ale moja kochana mów już, bo goreję z ciekawości.

— Pepi najął dla niej przepyszne mieszkanie, osadził przy niej starą guwernantkę, rozpoczął wychowanie tego dziecka... ale sam prawie jój nie widuje...

— A! to coś szkaradnego, odezwała Anna: z taką zimną krwią, z taką bezlitością karmić tę nie-szczęśliwą jak bydłę, które jutro na rzeź wydane zostanie! Wiele się przebacza namiętności gwałtownej, ale w tém jest coś tak rozmyślnie występnego! Uważacie, dodała, radabym Pepi uniewinnić; ale bądźcie szczere—do czego to podobne, taka wyrafinowana, chłodna, obrzydliwa rozpusta?...

Stolnikowa potwierdziła sąd siostry.

— *Cela n'a pas de nom!* rzekła powoli.

Dziobotka, która wcale inaczej zapatrywała się do-
tąd na tę romantyczną przygodę, z razu milezała, po-
trzebując czasu na zmianę nagłą zdania, ale po chwi-
li zawołała:

— Może nie macie racyi... On ją kocha gwałtow-
nie, szczerze, serdecznie i właśnie dla tego szanuje ją.

— Miłość platoniczna! rozśmiała się Anna: dajże
mi z tém pokój! Pepi platonicznie rozkochany!...

Chwilka mileżenia przerwała rozmowę; na twarz
Anny wystąpił rumieniec gniewu... wstała i poczęła
się przechadzać po buduarze.

— Ale to wstyd, to ohyda dla nas wszystkich!
zawołała wzruszona, stając naprzeciwko lustra, w któ-
rém się przypatrywała z przyjemnością wdzięcznej swęj
postaci i rozdramatyzowanym ruchom... Wy wszyst-
kie nie umiecie obrachować następstw tego wypadku.
Zastanówcież się! pomyślcie! uważajcie! Pepi jest
kwiatem naszej młodzieży, na niego świat ma oczy
zwrócone... Człowiek jego wieku, jego temperamentu
musi kochać... Odrzuca kobiety, kobiety swojego świa-
ta, gardzi nami wszystkiemi, rzuca nam w oczy obe-
lgę, jakby mówił: „Żadna z was mojej miłości i serca
nie jest warta, będę sobie szukał kochanki na śmie-
cisku, tamta jeszcze lepszą od was będzie!” Czyż to
nie jasno? czy nie wyraźnie?... Posądzam go, że to
zrobił umyślnie; mężczyzna jego wychowania, jego
charakteru, nie mógłby się przywiązać do takiejś pro-
staczki, szurgota... Jest to po prostu tylko wymierzona
do nas impertynencya; mówi nam: „Żadna z was na-
wet *pomywaczki* nie warta!” To śliczne! A my? my
z założonemi rękami spoglądamy na tę historię i obo-

jętnie przyjmujemy policzek... nie umiemy się ująć za sobą nawet... brak nam wstydu, któryby obudził gniew! Nie chcemy się pomścić, jakbyśmy czuły, że nas słusznie ta obelga dotyka...

Stolnikowa, rozbudzona żywem przemówieniem siostry, zmierzyla ją oczyma blademi, otworzyła usta, ruszyła ramionami, ale się nie odezwała. Dziobątka śmiać się zaczęła.

Podskoczyła ku Annie, schwyciła ją w objęcia i krzyknęła z zapalem:

— Wiesz co, zrobimy spisek na Pepi... Ty stajesz na czele.. pokażemy, że pomścić się potrafimy... Masz słuszość, tego przebaczyć niepodobna... Potrzeba obmyślić środki, naradzić się *et porter un grand coup*... Pepi nam wszystkim nbliżył, jest to niegodziwość z jego strony, jest to obrażowana obelga...

— A więc zemsta!... Jutro zbieramy się u mnie dla narady; mężczyźni będą wyłączeni: którykolwiek z nich mógłby nas zdradzić; kochają go wszyscy i są dla niego pobbżający...

— Ale czy się bez nich obejdzimy?

— Obejdzimy! Tajemnica jest najściślejsza pod przysięgą! dodała żywo zapalając się Anna. U mnie jutro pierwsze posiedzenie...

Dziobątka, ilekroć miała coś do czynienia i intrygę do prowadzenia, była najszcześliwszą; znać było zaraz po niej, że myśl spisku dogadzała jej niezmiernie. Pochwyciła kapelusz i chustkę...

— Jadę i zwołam na jutro wszystkie... O której godzinie?

— Na dwunastą! ale tajemnica!

— O! tajemnica! Od niej wszystko zależy...

— Słowo?...

— Jak najuroczystsze...

Tegoż wieczoru książę Józef wiedział o niedoszłym jeżezie spisku... Stolnikowa szepnęła o tem mężowi, Dziobatka Francuzowi, który się w nią kochał, Anna jednemu z wielbicieli. Książę śmiał się do rozpuku.

Narada nroczysta u pięknej Anny odbyła się o naznaczonej godzinie i przedstawiała prawdziwy sejmik niewieści... Uznano sprawę w istocie za niezmiernie ważną i wymagającą gwałtownych środków... postanowiono wymierzyć wszystkie baterye wdzięków i przy miłość na księcia Józefa, aby go od miłości, niegodnej bohatera, oderwać, a z drugiej strony dojść koniecznie do tajemniczój kochanki i starać się dowieść, że stałość i wierność nie są weale przymiotami ludu i niższych stanów. Tryumfowano za wczasu trochę.. Piękna Anna brała na siebie oderwanie tego, którego serce postanowiła pozyskać choćby dla tego, by je potem ze wzgardą odrzucić i pomścić się za długą nieczułość...

Pierwsza część programu łatwa była do wypełnienia, bo nie było dnia, żeby się nie spotykali z księciem Józefem; druga zależała cała od tego, by odkryć mieszkanie i istotę ową tajemniczą, o której mówili wszyscy, a nikt jej dotąd nie widział. Nie można było tego dojść inaczej, tylko śledząc wszystkie kroki bohatera i w ślad za nim wkradając się do mieszkania nieznajomiej. Tu już kobiece zabiegi były niewystarczające. Dziobatka wprawdzie ofiarowała się przebrać za mężczyznę, ale wszystkie panie odrzuciły to poświęcenie, znajdując je daremnie. Na szpiega takiego potrzeba było mężczyzny zręcznego, któryby nie wahał się znieść przykrości, jakie ten stan za sobą

pociąga, i dotrwał, choćby u zamkniętych wrot, na ulicy, w błocie, póki by do celu nie doszedł.

W tém była główna trudność, bo poświadczano wszystkim bez wyjątku mężczyznom o stronność dla księcia, o tajoną przyjaźń dla niego, wreszcie o sprzyjanie sprawie mężkiej więcej niż wielkiemu przedsięwzięciu pięknych pań. Gdy przyszło do wyboru, zdania wielce się rozdzieliły, i podawani kandydaci przez to panie, niemal wszyscy odrzuceni zostali. Znalezienie potrzebnego człowieka było niesłychanie trudne... Obawiano się zdrady...

Po długich i burzliwych rozprawach, w których dzwonek prezydentki Anny często nie skuteczna, ale niespokojną odegrywał rolę,—stało się na tém, żeby powierzyć jej samą wybór tego, którego sejm niewieści do odkrycia tajemnicy delegował. Piękna Anna wzięła to na siebie, mając w myśli niedawno ze wsi przybyłego kuzynka, śmiertelnie w nią zakochanego, o którego poświęceniu dla siebie nie wątpiła.

Dalsze prowadzenie ważnej dla wszystkich sprawy miało obmyślić naówczas, gdy kuzynka na pewno dojdzie do ukrytego skarbu i da o nim szczegółową wiadomość. Słówek o tym kuzynku jest konieczne. Był to młody staroście Zabielski, wielkich nadziei, ale małego doświadczenia w świecie; Anna obowiązywała się nim pokierować i być mu we wszystkiemi mistrzynią.

Staroście, oddany przez matkę w opiekę pięknej Annie, zaczął od tego warszawską karierę, że się w nią śmiertelnie zakochał. Wychowany na wsi chociaż ocierał się o świat większy, mało go znał wprzód. Matka, kobieta najzaciejsza i nienajbardziej

ca dostrzedz nigdzie złego, ani w nie uwierzyć, strzegła jego młodości i zachowała w nim świeżość serca, z którą przybył do Warszawy, ciekawy, rozmarzony, pragnący... Tu jakoś rozjaśniło mu się w głowie, ale odchorować musiał na utratę ideałów, na wiarę zachwianą w to, co święta matka tłómaczyła mu wcale inaczej, niż się z bliska pokazywało. Staś Zabielski pozostał tylko z jedną niewzruszoną wiarą... w piękną Annę... Miłość, z której sobie kuzyka żartowała, czyliła z niej dla niego bóstwo; widział w kasztelanowej samą doskonałość.

Niezbýt wielkiego umysłu, poczciwego dosyć serca, lekki i ulegający wrażeniom, Staś w świecie zaczynał odegrywać tę rolę, która dla niego była przeznaczona, istoty niesamoistnej, łagodnej, mającej być narzędziem silniejszych. Na teraz władała nim piękna Anna...

Nazajutrz po wielkim sejmiku niewieścim, wyprawiła Anna karteczkę do Zabielskiego, prosząc go do siebie na samo południe. Chłopiec przyleciał jak oparzony o jedenastój i przesiedział w przedpokoju godzinę, nim się pani trochę przybrała i stała widzialną. Wpuszczono go nareszcie do buduaru, w którym śliczna Anna właśnie piła czekoladę, siedząc jak zawsze naprzeciw zwierciadła. Była zachwycającą... w białych obsłonach negliżu, w czepeczku rannym, z lokami rozpuszczonemi umiejętnie, w szlafrocuku różowym, który roztwarty, bogato oszytą koronkami odsłaniał spódnicekę. Koniec maleńkiej nóżki w pantofelku aksamitnym gryzł właśnie Dzidzi, który porzucił tę zabawkę, lecąc natarczywie na przybyłego... Staś przystawał we drzwiach, zachwycony obrazem... Anna

uśmiechnęła się w duszy, czując, jaki urok na niego rzuciła; nieśmiały młodzieniec z bijącym sercem ledwie umiał się przywitać.

— Chodźże tu bliżej, kuzynku... chodź i siadaj... Chcesz filiżankę czekolady?

— O! dziękuję, dziękuję...

— Słuchaj, mam wielkiej wagi sprawę, którą ci chcę powierzyć, *ce seront vos premières armes*... Ale nie zawieźże, mnie, starościcu... Wybrałam cię, bo wiem, że mi jesteś oddany. *N'est ce pas?*

— A! całą duszą.. życiem.

— O! o! tylko proszę nie iść za daleko! Będę ci bardzo wdzięczna, ale bardzo!...

Spojrzenie dokończyło, pełne głębokiego znaczenia, pełne nroczych obietnic.

— Nim zacznę, dodała Anna stawiając filiżankę: muszę najprzód wymagać przysięgi...

— Na co każesz?...

— Przysięgi *d'un homme d'honneur*, na największą tajemnicę... *J'espère que vous êtes discret.*

— Jak kamień...

— Przysięgasz?

— Przysięgam na wszystko najświętsze... a najprzód na moją... na mój szacunek dla ciebie...

Podła mu rączkę białą, miękką, atlasową jakby dla przyjęcia przysięgi. Staś złożył na nią gorący pocałunek. Gotów był dać się powiesić za nią.

— Zobacz, czy ta nieznośna Róża nie podsłuchuje podozwami. *Elle est d'une curiosité*... Idź na palcach...

Młodzieniaszek poszedł i obejrzał się dokoła, a Dzi-dzi towarzyszył mu w przechadzce, chwytając go za nogi.

— Nie ma nikogo.

— Siadajże, ale bliżej, abym cicho mówić mogła...
I wskazała mu miejsce tuż przy sobie.

— Wiesz, lub nie wiesz, musiałeś słyszeć przecie, że książę Józef, gardząc nami wszystkimi... pokochał się w jakiśś prostej dziewczynie, w szurgocie, *une lavandière da vaissell... enjin*, nie wiedzieć w kim... *C'est une horreur!* Postanowiliśmy go ukarać! Ale potrzeba dojsć kto jest ta kobieta, gdzie ona mieszka.. jak wygląda... a nikt dotąd téj tajemnicy przeniknąć nie umiał. Jesteś wybrany na to... musisz się dla mnie poświęcić...

— A! rzekł młody chłopiec... Ale nauczcież mnie co mam robić?...

— Śledzić go krok w krok i dojsć, dojsć koniecznie; naówczas doniesiesz mi gdzie się ta kobieta ukrywa. A... resztę zobaczymy...

Staś mocno był zmieszany: spodziewał się innéj roli, wyznaczona zdawała mu się niemal uwłaczającą... Być szpiegiem, nawet dla ślicznój kuzynki, nie było dla niego milém. Twarz jego mimowolnie wydała to wrażenie... ale Anna uśmiechnęła się, a oczy jéj, przez chwilę skierowane na starościca, przekonały go wkrótce, że nie było ofiary, do którejby dla niéj nie czuł się zdolnym...

— A więc?

— Zrobię co tylko będę mógł! rzekł Zabielski...

— Zrób nawet to, co ci się zda niemożliwe i wierz mojej wdzięczności...

— Idę, leczę, nie odstąpię go krokiem...

— Ale rozumie się, musisz go śledzić niepostrzeżony, przerwała Anna przestraszona: w największym sekrecie... Książę jest domyslny, ty musisz być ostrożny, pamiętny. A teraz idź i nie trać czasu...

— Lecę! rzekł staroście...

Anna podała mu rękę na pożegnanie i upoiła go wzrokiem.

— Byleby jakiego głupstwa nie zrobił! rzekła w duchu; o zapale nie wątpię. Ale czy ten mu *da szczęście?*

Wybiegłszy dopiero na ulicę i ochłoniwszy po wrażeniu tych czarodziejskich spojrzeń, które go nabawiły szalu, staroście pomiarkował, że rzecz, której się podjął, nie była tak łatwa, jak się na pierwszy rzut oka zdawało...

Nie należał on do tych satellitów, do *teżyzny*, która nicodstępnie prawie okrążała księcia i całe dni z nim spędzała... nie mógł tak nagle przywiązać się, przyczepić i śledzić go niepostrzeżony... bał się, aby go nie odkryto, aby się roli upakarzającej, jaką przyjął na siebie, nie domyślono; nie chciał narazić się księciu i jego przyjaciółom, bo z wpływem ich walczyć nie mógł... Poczul, że się porwał na zadanie przechodzące jego siły...

Na los szczęścia rzucił się do powozu najętego i kazał wieźć się na Krakowskie, spodziewając się gdziekolwiek spotkać księcia i znaleźć pretekst, by się go uczepić na dzień cały. Ale zaraz na wstępie postrzegł karyki karemi kołmi zaprzężony, który szybkim klusem mignął mu tylko przed oczyma i zniknął lecąc w aleje Ujazdowskie...

Staś kazał jechać za księciem...

Chociaż powóz, który naprędee pochwycił, zaprzężony był dobrymi końmi, świeżo sprzedanymi przez hr. Thomatisa, i rozpoczynającemi dopiero swój zawód

najemników, nie można było niemi walczyć z rumakami księcia Józefa, który tylko kurzawę ogromną podniosłszy za sobą, mignął jak strzała i zostawił w tyle wszystkich. Na rogu alei Ujazdowskiej była naówczas modna garkuchnia, w której wyprawiano śniadania; najślawniejsze w niej były raki, ale że na nie pora jeszcze nie przyszła, zastępowały je kurczęta i różne przysmaki, a lepiej jeszcze olbrzymie libacje, tak naówczas częste i w codzienny prawie obyczaj weszłe od Sasów.

Karykl księcia Józefa stał właśnie przed tym domkiem otoczonym zielenią, a kilka innych powozów dowodziło, że oprócz niego było gości wielu... Staś poznał konie Potęckich, Lubomirskiego, Sapiehy.... Chociaż nieproszony weisnął się do sali...

Książę Józef przechadzał się, nie myśląc zasiąść do śniadania, zrobił grzeczność amfitryonowi, że przybył, ale nienawykły do kielicha, umoczył tylko usta i zabierał się już do odjazdu, pod pozorem pilnej bardzo wojskowej sprawy...

Staś przywitał się z nim grzecznie... i z przestraszeniem dostrzegł na twarzy księcia dziwny, prawie szyderski uśmiech.

— A! spodziewałem się tu ciebie! rzekł mu książę.

— Jak to?

— Chodź, to ci powiem dla czego, dodał pierwszy, biorąc go pod rękę i uprowadzając w głąb salki. No! patrz mi w oczy śmiało! Anna ci kazała mnie śledzić i wykryć tajemniczą istotę jakąś, o której wieść chodzi, że w niej zakochany szatanie. Nie kłam i przyznaj się... zdrowiej ci będzie.

Piorun byłby mniej może wstrząsnął starościca niż te wyrazy. Cofnął się przestraszony...

— Widzisz, ja jestem czarownik i wiem wszystko, nawet to, coście przed półgodziną mówili z sobą w buduarze Anny... choć jeden Dzidzi był świadkiem. Nie zapieraj się, nie mam ci za złe, żeś jej przyrzekł co chciała. Jesteś w tym wieku, kiedy dla czarnych oczu, dla ramion otoczonych koronkami białymi, osłoniionych w aksamity i atlasy, życie się nawet poświęca... Niestety! szkoda życia! ale mniejsza o to... Mina podsadzona podemnie jest odkrytą... ale mi cię żał, chcę cię ratować Stasiu...

— Mości książę...

— Dwa słowa... Daj sobie wieczorem zawiązać oczy, a będziesz widział tę, którą tak odkryć pragniesz... i pozwolę ci opowiedzieć co posłyszysz i zobaczysz... Chcesz?

Staś stał osłupiały. Struchlał, nie wiedząc co ma odpowiedzieć.

— Nie zapieraj się... przyjmujesz?

— Przyjmuję! rzekł zaczerwieniony chłopak... Ale książę się nie gniewasz?

— Widzisz, że się tylko śmieję...

Podali sobie ręce...

— Starościen, jesteś młody, dodał książę Józef, — jedną ci dam radę: dawaj kobietom życie, jeśli je masz na zbyciu, ale... strzeż się w ich ręce powierzyć... honoru... Dziś to jest igraszka, jutroby mogło być gorzej... Do zobaczenia! o godzinie dziesiątej czekam cię u siebie... przyjdź pieszo... Dopóki nie zobaczymy się, nie masz prawa pisać ani słowa...

Staś skłonił się pomieszanym.

— Unikaj dziś Anny... jutro powiesz jej wszystko... Latać za mną... byłoby napróżno, nie odkryjesz nic... ja ci sam wszystko pokażę... Anna będzie na

herbacie u hetmanowej, ty nie jedź... Zresztą bądź spokojny, wyjdiesz zawsze z tryumfem, zobaczysz to, czego świat nie widział... Do widzenia.

To mówiąc, książę odwrócił się, wbiegł w kółko biesiadujących na chwilę i pojechał do Mokotowa, do księżny marszałkowej Lubomirskiej. Śniadanie, na które gwałtem wproszono Stasia, przeciągało się dalej, przybierając rozmiary niezmierniej pijatyki. Młodzież doszła do tego stopnia rozszalenia i dobrego humoru, iż przewidywać było łatwo, że się śniadanie na sucho bez jakiegś historyi nie skończy. Jakoż w istocie gotowała się ta sławna później sprawa, o której wspomnieć musimy, bo maluje dobrze ten dziwaczny szal, jakim ówczesna młodzież uległa. Rozpowiadano długo o tém śniadaniu, i Inflantezyk podróżny, który zostawił opis swj podróży po Polsce, wspominał o niem jako o charakterystycznym rysie obyczajowym epoki.

Księżna marszałkowa utrzymywała u siebie w Mokotowie wielką ilość rozmaitego ptactwa i drobin: bażanty, kury afrykańskie, pawie, które ożywiały ogród i dziedziniec. Do wielu ówczesnych fantazyj, na jakie próżnujący ludzie chorować zwykli, należała hodowla zwierząt, zamiłowanie w bonończykach, a u mężczyzn amatorstwo koni niepospolitych i drogieh. Przeplacano taranty, konie izabellowe, maleńkie kucyki, długogrzywe lub fryzowane. Księżna marszałkowa lubiła bardzo swoje kury i gąski; może też krowiarnia Maryi Antoniny trochę na to wpływała. Po wyjeździe księcia Józefa do Mokotowa, młodzież wychylała kielichy, które wprędce rozpałyły głowy. Zrodziły się żale i pretensye do księcia, że im towarzystwa nie dotrzymał. Ktos rzucił myśl: „Weźmiemy winę z sobą i pogonimy za nim do Mokotowa...”

— Brawo! jedźmy do Mokotowa!

W takiem usposobieniu umysłów najniedorzeczniejszy wniosek bywa przyjmowany łatwo. Ruszyli się wszyscy, obsiedli powozy, zabrano kosz szampana, i cała ta czereďa, śpiewając pieśni pół-francuzkie, pół-polskie, zatoczyła się przed ganek, gdzie naturalnie jej nie przyjęto; księcia Józefa także nie zastali. Odmówienie, które spotkali u drzwi, obraziło przewodców tej demonstracyi...

Musimy choć kartę wizytową po sobie zostawić...

— Zrobimy polowanie!

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale wszystek dół i ptactwo księżny marszałkowej padło ofiarą śniadania; kury, indyki, pawie, gęsi, poćcinano szablami. Trwała ta rzecz i upędzanie się za wypłoszonem ptactwem dobrą godzinę, a ludzie księżny, z razu spróbowawszy stanąć w obronie przeciw napaści, zniarkowali, że z podehmielonymi nie ma co żartować, cofnęli się i wydali na pastwę nieszczęśliwe zwierzęta...

Dokonawszy tej krwawej zemsty na niewinnych ofiarach, tryumfatorowie powrócili w Ujazdowskie alceje, aby tam czas przepędzić aż do reduty... na którą umyślili wtargnąć wszyscy, ufarbowani i poprzebierani za kominiarzy... Przysposobienie do tej nowej wyprawy zabrało czas do wieczora.

Wieczorem przed redutą była herbata u pani Branickej. Księżę Józef, który resztę dnia po przejażdżce rannęj spędził w domu z książką, ubrany w tę kurtkę, w której mu tak było ślicznie i do twarzy, pojechał do hetmanowej. Wiedział, że i król miał być tam

na chwilę. Traf chciał, żeby się z nim właśnie u drzwi spotkali.

— A cóż to cię Pepi nie widać nigdzie? spytał Stanisław August.

— *Cher oncle*, ci mnie tylko nie widzą, co nie chcą.

— Ale rzadkim poczynasz być w zamku...

— Zawsze jestem na rozkazy, najjaśniejszy panie, dodał książę Józef.

Król westchnął i spuścił głowę... Weszli na wschody, gdzie u góry czekało króla niemal całe towarzysztwo. Książę Józef wsunął się w jego orszaku, i znalazł się wkrótce otoczony kwiatem kobiet wystrojonych, wybrylantowanych, które mu się uśmiechały z dziwnie szyderską miną...

Anna była pomiędzy nimi, prawie tryumfująca; ndawała, że wacha przepyszny bukiet, który trzymała w ręku, ale oczy jej z ukosa wpatrywały się w bohatera, który postrzegłszy ją, ze szczególnym pośpiechem i nadszatkowaniem zbliżył się zaraz do niej. Anna z razu udawała, że go nie spostrzega, przywitała dosyć obojętnie; tak wymagała strategia, która każe grać chłód, gdy postrzega z drugiej strony choćby promyczek uczucia. Książę Józef uśmiechając się ją przywitał.

— Jakżeśmy się dawno nie widzieli!

— A! to przynajmniej nie moja wina! odparła Anna z wymówką.

— Moja zbrodnia, do której się przyznaję, i na klęczkach o przebaczenie za nią proszę.

— Książę to nie na mnie jedną jesteś tak niełaskaw, ale na cały nasz biedny świat... Utonąłeś gdzieś w swych książkach, czy... ja nie wiem, ludzie różnie mówią.

— A! czegoż to ludzie nie mówią!

— O! to prawda! na księcia szczególniej, o którego wszyscyśmy zazdrośni...

— Cóż naprzykład?

— Żeś zakochany...

— A! w pomywaczce! *vieille histoire!* słyszałem...

— Bo jużciż w wieku twym, mości książę, nie można nie kochać...

— Ale można głęboko miłość ukrywać...

Książę westchnął.

— Jeżeli się jćj wstydzić potrzeba...

— Jeżeli jest bez nadziei i bez przyszłości...

— Dla was, mości książę! nie ma miłości bez nadziei... cicho szepnęła piękna Anna.

— O! pani, rzekł książę—różne są nadzieje... Nazywam najnieszczęśliwszą miłością bez nadziei taką, która nie zaslania nam sobą całego życia aż do grobu... która jest jak kwiatek wdzięczny, co ma nieodzwonne jutro uwieźnąć; lepić go nie zrywać.

— Dla czego? nie jestże wszystko szczęście tego świata tylko wonią kwiatka chwilową?

— To odstręcza od życia! westchnął książę. Szczęściem, że całe życie nie zamyka się w miłości...

— Tak, dla was... ale dla nas...

— A! droga pani, dajmyż pokój tój żegludze po rzece *du ténbre*... mówmy otwarciej, wybuchnął książę Józef. Szalony, ktoby życie za miłość postawił... bo któraż z was kochać umie?

— Mości książę!

— Któraż z was ma serce? dodał książę Józef: co się u was sercem i miłością nazywa? Bądźmy szczerzy: fantazya, podbudzona miłość własna, próżnostka, próżnowanie... ale cichego, głębokiego przy-

wiązania na wieki, gotowego do poświęceń... o! tego u was szukać byłoby stratą czasu i szaleństwem...

— I dla tego książę—odparła urażona Anna—puściłeś się w podróż odkryć pomiędzy... pomywaczki...

— *Vous y tenez!* rzekł śmiejąc się książę; niech i tak będzie... Spodziewam się odkryć jeśli nie Amerykę, to choć spokojną jaką wysepkę na oceanie, gdzieby po trudach długiej żeglugi i burzliwego morza odetchnąć można...

— Coś w rodzaju Robinsona Cruzoe'go? rzekła Anna

— Pani dziś jesteś złośliwą.

— O! nie, wierz mi książę, jestem w jak najlepszym humorze...

— Ja także, zawołał książę Józef. Jak to się szczęśliwie schodzi! moglibyśmy zabawić się wesoło...

Anna spojrzała mu w oczy; w istocie błyszczał w nich dowcip i swoboda.

— On szczęśliwy! rzekła w duszy: z czoła mu promienieje tajemnica! Szczęśliwy... z kim? jak? *'est indigne!*

W sercu pięknej pani zrodziła się zazdrość gorąca; książę patrzył na salon z obojętnością człowieka starego, którego by lalkami bawić chciano...

Piękna Anna odsunęła się powoli.

— Czekaj! szepnęła w duszy: nie ukryjesz się przed nami, musimy wiedzieć twą tajemnicę; a wówczas *nous ariserons!*

— Mości książę! rzekł zbliżając się do niego Branicki, na którym znać było nieco hulankę obiadową i świeżo opuszczonego stół biesiadniczy. Stoisz jak marmurowy Apollo belwederski wśród tego rajn, zimny, obojętny... Jeśli tych oczu blaski nie potrafią cię ożywić, to cóż u licha życie w tobie obudzi?

— Co? rzekł książę: wiesz co? oto trąbka bojowa, koń rżący z niecierpliwości, kurzawa bitwy i pogoni, i gorączka walki zajadłej... A! gdyby znowu wojna, jakbym poleciał skąpać się w tym ukropie!... odżyłbym może jeszcze!! Tak gnuśnie patrzeć w czarne oczy... raj Mahometa... ale śmierć sercu mężkiemu.

— A! a! czarne oczy! piękna Anna! szepnął Brannicki: widzę co się święci... i toż przecie walka... Życzę szczęścia i usuwam się z drogi...

To mówiąc wszedł między mężczyzn, a książę Józef po chwili wysunął się z salonu.

Staroście Zabielski, odprawivszy swój powóz, czatował już na księcia Józefa, i gdy ten powracał do domu, znalazł go na ganku, trochę ostudzonego chłodem wieczornym i rozmyślaniem dnia całego.

— A! słowny jesteś, rzekł książę: to dobrze; chodź ze mną, zdaje się, że nie pożałujesz zachodu.

Weszli do saloniku, w którym gospodarz zostawił gości, dając mu jakieś wielkie *in folio* do przeglądania, a sam poszedł się przebrać. W kwadrans potem powrócił po cywilnemu i zawołał do starościea po francuzku:

— Jeszcze mamy jedną formalność do spełnienia. Czy ci zawiążę; ale gdybyś przypadkiem jakim odkrył okolicę i poznał miejscowość, wymagam słowa honoru, że o niej Annie słowa nie powiesz.

— M. książę, rzekł staroście: ponieważ mnie sam wiesz, nie masz się o co obawiać.

— Więc idziemy... Służę ci.

Nie wyszli z pałacyku przez główne drzwi, ale bocznemi wschodami. Książę przeprowadził Zabiels-

skiego po ciemku; ścieżką, która szła do ogrodu, spuścili się na dół, wyszli förtką ukrytą w zaroślach, a na ulicy zastali stojący powóz zamknięty, bombę w rodzaju tych, jakie wówczas były w modzie. Książę wpuścił najprzód starościca, czarną chustką silnie zawiązując mu oczy, siadł potem sam i szepnął coś furmanowi. Powóz mimo ciemności potoczył się szybko... Staroście spodziewał się zorientować, wkrótce jednak poplątało mu się w głowie; czuł bruk pod kołami, potem ziemię ubitą, potem znów twarde kamienie, i znowu miękkie błoto-wiosenne, i znów nierówny bruk miejski... Powóz po dobrej półgodzinie szalonego biegu wstrzymał się, a książę wyciągnął starościca, zakazując mu oczy odsłaniać; ujął go za rękę i poprowadził z sobą po eichu. Zabielski słyszał otwieranie förtek i drzwi kluczem, który przybyły miał z sobą... Raz czy dwa woń zielonych drzew i gałęzie wilgotne rosą wieczorną dały się uczuć starościcowi; potem weszli do mieszkania.

— Stój tu, rzekł książę: naprzeciw ciebie są drzwi szklane przysłonione franką. Możesz ją ostrożnie poruszyć i patrzeć... ale siedź cicho... bo się pogniwamy. Jeśli masz kaszel, staraj się go stłumić w sobie.

Zabielski, usłyszawszy instrukcję, żywo oderwał z oczu zasłonę i obejrzał się. Księcia już nie było... Stał w pokoiku ciasnym, ciemnym, ale trochę światła wpadało do niego przez zasłonę we drzwiach, u których go postawiono. Z ciekawością niezmierną Staś zbliżył się do nich, poruszył frankę, i wzrok chciwy zatopił w przyległym pokoiku, w którym panowała cisza.

Pokoik był bardzo skromny, cały ukwiecony, świeżuchny, w okienkach białe firanki upięte wdzięcznie, sprzęt przyzwoity, jakkolwiek niewytworny wcale... Stolik, kanapka, mały klawikordzik w kątku, na którym leżały nóty otwarte, na stoliku trochę książek i papierów; świeca woskowa paliła się, niebardzo strzeżona widać, bo długi knot jój świadczył, że o niej zapomniano.

Tuż w fotelu drzemała staruszką, której pończocha spadła na kolana, a głowę pochyliła aż na piersi; sen widocznie ją zmógł mimowoli, bo palce trzymały jeszcze dróty i poruszały się nieco, jakby do pracy powrócić chciały... Naprzeciw zamysłone, z rączkami skrzyżowanymi na kolanach, z główką pochyłą, siedziało dziewczę dziwnie piękne, drobne, kształtne, z czystym czołem dziewczęcym, które koronowały gładko nezesane włoski, z różową buzią aniolka i wyrazem niewinności na twarzy, prawie dziecięcej. Stał uderzony był tą pięknnością, niepodobną do hulaśliwych, narzucających się wdzięków pań stołecznych; była sobie cicho piękna jak obrazek jakiś, jak mazurek niebieskie, i tak beznamiętnie, spokojnie szczęśliwa, jak gdyby dla niej zakres pragnień nie przechodził progu izdebki. Kiedy niekiedy spoglądała na staruszkę i uśmiechała się nieznacznie z wyrazem przywiązania i czułości.

Gdy się tak staroście przypatrnie ciekawie. chwytając wszystkie szczegóły obrazka, drzwi się otworzyły i wszedł powoli na palcach książę... ale nim jeszcze ukazał się w progu, już przeczenie zwróciło ku niemu główkę dziewczęcia, które zadrżało, zerwało się z krzeselka i na palcach pobiegło ku niemu, wskazując uśpioną staruszkę...

Zdumiał się bardzo staroście, widząc, że książę przywitał podbiegającą pocałowaniem jej ręki, nie okazując wcale spoufalenia zbytniego... ale natomiast w oczach jego i Julii promienista świeciła radość.

— *Mais c'est un idylle!* rzekł w duchu staroście, któremu żywo bilo serce.

W tej samej chwili starszka się przebudziła; żywo najprzód zaczęła robić pończochę, nie spostrzegłszy księcia, otarła kuot u świecy, i zobaczywszy go dopiero, zerwała się zmieszana...

— A! mości książę! odezwała się po francuzku stara. Mogłoby się wydać komu, że zasnęła, chociaż doprawdy nie spałam. Julka siedziała zamyślona, i mnie także przyszły wspomnienia do głowy... sama nie wiem...

— Ale moja Lagrange... grzech to niewielki... gdybyś nawet zdrzemnęła...

— Doprawdy m. książę, nie spałam...

Julce pusty śmieszek przelatywał po ustach, ale usiłowała go ukryć i przytłumić... Patrzała na księcia, a książę na nią z uczuciem spokojnego przywiązania ..

Staroście stal osłupiały.

— Cożś robiła, moja pauno Julio? zapytał po chwili.

— O! dzień nam przeszedł jak zawsze w pracy...

— Ona się istotnie zmęczyła, podchwyciła p. Lagrange. Z rana przychodził Folino do rysunku... pokazuje album moje dziecię... potem de Santis do śpiewu i do fortepianu... potem czytaliśmy razem...

— A! tego nudnego Rollina... przerwała Julia... aleś książę kazał uczyć się...

I spojrzała na niego...

— I chodziliśmy na przechadzkę, dodała staruszka.. wieczór był prześliczny...

— A więcój co, moja mila? zagadnął książę.

— No cóż, tęsknilam po księciu... odparło dziewczę: jak zawsze...

— O! czyż po mnie?

— Alboż jest kto dla mnie więcój na świecicie nad mojego księcia, mojego pana?

— Opiekuna, dodał książę Józef wesolo—starego, nudnego opiekuna, który przychodzi dawać nauki moralne, bez względu na wiek, na młodość trzpiotowała.

— Książę się obgadujesz, rzekła Julka; a mnie się na łyzy zbiera, gdy na ciebie patrzę...

— O! już jak ona kocha księcia, to doprawdy aż do niedorzeczności, odparła p. Lagrange. Cały dzień żeby pomyślała o czém inném: rysuje, mówi o księciu; chodzimy, patrzy tylko czy go gdzie nie zobaczy.

— I nie nudno ci tak, moja Julko? spytał książę...

— A! możeż być nudno w takim szezęściu?

Staroście dojrzał łyzy w jej oczach... Spuściła główkę i zarumieniła się milcząc.

— Ale książęby co może zjadł? przerwała p. Lagrange; mamy poziomki... śmietankę..

Julka nie mówiąc podniosła oczy na niego powoli, a Francuzka zaczęła się krzątać około podwieczorka... Zostali sam na sam; coś szeptali z sobą, ale staroście z podziwieniem przekonał się, że ta pogardliwie pomywaczką przezywana dziewczeczka, była dla księcia jakby dzieckiem ukochaném; że miłość jego dla niej

była pełna poszanowania i tkliwości, czémś na ów wiek zepsucia niepojęcie czystém, idealném.

Z obu stron widać było przywiązanie namiętne, ale umyślnie ze strony księcia ntrzymujące się w granicach szczęścia czystego i niezakłóconego.

Gdy w niebytności pani Lagrange pocałował ją w czoło ze wzruszeniem, Julia oblala się rumieńcem, jak krwią cała, pochyliła się na jego ramię i znowu parę łez brylantowych zaświciło na jój powiekach.

— O mój panie! jakże mi dobrze żyć tём życiem, które otwarłeś przedemną, coraz szczerzém sercem, coraz silniejszą myślą, coraz większym spokojem ducha! Cóż gdy ezuję, że te kwiaty dla mnie rozwijają się nad brzegiem przepaści. Ciebie inny świat, inne przeznaczenie czeka... każda chwila może mi ciebie odebrać... a potém... cóż? samotna śmierć...

Po czołe księcia przeleciała chmurka i westchnął...

— Nie Julko, póki ty mnie kochać będziesz i ja ciebie, nie nas nie rozdzieli... Tyle mojego szczęścia, co przy tobie i z tobą... Może przyjsć chwila, gdy mnie obowiązek honoru powoła z orężem w ręku na pole walki, wówczas rozstać się będziemy musieli.. Może umrę... mam przecucie wezesnej śmierci, ale się jój nie boję, wierzę w przeznaczenie zagrobowe... dziwne sny mi przelatują głowę... Wiesz, zdaje mi się często, że pamiętam jakieś życie przed tём życiem i spodziewam się żyć po śmierci... Jakiego? nie wiem. Czuję, że ciebie gdzieś wprzód widziałem... spotkałem, żeśmy się już kochali dawniej... Byliśmy dwojgiem ptaków... lataliśmy razem nad szerokimi płaszczyznami, mieliśmy gniazdko u brzegu w sitowiaach... Mnie dziki strzelec zranił, padłem w wodę i tonąłem... czułem krzyk twój... latającej nademną...

muskałaś skrzydłem fale, które mnie pochłonać miały; jam się pasował z niemi... naostatku i głosu ja z twego nie słyszałem... Głucha, straszna otoczyła mnie ciemność, jakby sen długi bez marzeń...

— Co też to książę sobie roisz! zawołała Julka, której usta uśmiechały się, a oczy zachodziły łzami. Ja doprawdy niedobrze nawet rozumiem... Gdzieżby człowiek mógł się stać ptaszkiem, albo ptak człowiekiem?

Książę zadumał się chwilę...

— Ty możesz być kwiatkiem na łące, różanym, nie prawdaż? rzekł uśmiechając się.

— Książę sobie żartuje...

Wtém pani Lagrange wniosła poziomki i śmietankę. Książę zasiadł z Julką przy stoliku i zaczęła się ich rozmowa...

Staroście patrzył, i ta scena sielankowa, te rozmowy urywane, to obejście się braterskie księcia Józefa, niezrozumiałemi mu się zdawały, jakby komedya dziwna i prawie śmieszna.

Już ten świat Warszawy trochę go był zepsuł; ale Zabielski był młody i uczucie wkrótce przemogło... Z uwielbieniem, z zazdrością począł się wpatrywać w ten obrazek eichego, spokojnego szczęścia.

— A teraz do egzaminu! zawołał po chwili książę: pokaż mi robotę... zagraj mi co, zaśpiewaj...

— De Santis z nić nadzwyczaj kontent, rzekła szybko pani Lagrange; mówi, że świeższego, piękniejszego głosu nie słyszał od dawna... Rokuje Julce świetne powodzenie, gdyby kiedy w operze wystąpić chciała.

Książę się rzucił i zmarszczył.

— Co za myśl! zakrzyknął. Teatr! nigdy na to

nie pozwolę... Czyż głos Bóg dal na to, aby koniecznie z niego szukać chluby, oklasków i zysku? Dośćby było nogą stąpić na te deski, aby stracić spokój i niewinność duszy!

Julka pobiegła do fortepianu i nie słysząc protesta księcia, zaczęła świeżym, pełnym głosem aryę Mozarta; ale po pierwszych taktach książę jęj przerwał.

— Dość! dość! rzekł; ta myśl teatru truje mi wrażenie jęj śpiewu... Zdaje mi się, że ją widzę zmienioną, wystrojoną, śmiejącą się stu na raz czcicielom... wietrznicą, pustą i bez sereca...

Julka skoczyła od fortepianu i żywo przybiegła do księcia, patrząc mu w oczy wzrokiem, w którym oburzenie błyskało.

— Książę, rzekła, niewszystkie kobiety rodzą się bez sereca, lub tracą je w młodości... Ja czulam je w piersi, nim nazwać jego bicie umiałam; ja go już nie stracę. To życie, o którym mówi stary de Santis, nie nśmiecha mi się wcale, wystrasza mnie jak groźba. Ja koeham ciszę, spokój, ten mój los, nad który szczęśliwszego nie pojmuję, ja czuję, że oklaski nie nasycają, że burzą i niepokoją... Chciałabym śpiewać dla mego opiekuna, grać, uczyć się, wyrozumnieć, wypięknąć, aby mnie uznał kiedy za godną tego przywiązania braterskiego, którym mnie biedną obdarował niezasłużenie... Chciałabym być czémś dla niego, dla niego jednego... a potem, gdy mu się znudzę, gdy mnie odepchnie, zapomni, resztę życia spędzić we wspomnieniach, na marzeniu o chwili szczęścia, na rozpamiętywaniu dni jasnych...

Julka rozplakala się, książę ją uspakajał czule, ale znać było po nim, że się powstrzymywał i ha-

mował, że więcej czuł niż okazywał, że umyślnie nawet wesołość, której w duszy nie miał, udał dla jęj rozweselenia. Powrócono do poziomek.

Staroście patrzył przejęty, a ile razy wzrok księcia skierował się ku niemu i fiances, za którą stał, prawie się gniewał na niego za to obojętne postawienie go za drzwiami szczęścia, jakby nie nie znaczącą jakąś istotę.

Pokutnicze wyczekiwanie za drzwiami i przypatrywanie się scenie, która coraz zjadlejszą zazdrość budziła w Zabielskim, trwało dosyć długo. Naostatkiem książę po rozmowie ciebiej z Julką, którą potrafił rozweselić i ożywić znowu, pożegnał ją i panią Lagrange, co zjadłszy niemal wszystkie poziomki, już drzemać znowu poczynala. Po chwili staroście ucałował rękę, która go ujęła i wywiodła na powietrze. Książę zawiązał mu oczy, wsiedli do powozu. Jakiś czas milczeli oba, nareszcie książę się odezwał poważnie:

— Widzisz teraz tę rozpustę sybarytę, szukającego upojenia w poczwarnych jakichś zachceniach. Nadto jesteś młody, abym potrzebował ci dowodzić, że ten stosunek zrodziła pustka serca, brak uczucia, a nie szal jakiś zwierzęcy. Nasz świat, starościcu, jest światem drewnianych lalek, po których towarzysztwa żywego człowieka, serca prawdziwego pragnie się jeszcze goręcej. Te lalki łudzą cię pozorem, drażnią, do rozpacz przywodzą. Któż mi może wzbronić tego pół-braterskiego, pół-ojcowskiego szczęścia, którego kosztuję przy tém dziecku?.. Można mię spotwarzyć, o to nie dbam... Lecz okrucieństwem by-

łoby stawać mi na drodze... i śmiałek, coby to przedsięwziął, życiemby przyplacił pewnie. Po atmosferze salonów tu świeżem oddycham powietrzem, tu naturalnego widzę człowieka, tu czuję serce, tu kocham i zapominam o wszystkim. Możesz opisać Annie coś widział,—dodał książę—ale nie podawaj tego w sztyderstwo, bobyś popełnił występki...

Staś milczał, dziwnie przejęty i pomieszany...

— Gdzie cię mam wysadzić? spytał książę Józef.

— Gdzie się księciu podoba.

— Może naprzeciw mieszkania Anny? Zdasz ję sprawę z posłannictwa pod pierwszém wrażeniem, to lepićj. Nie ma więcćj nad północ, wpnszczą cię jeszcze... Zaspokój to gorączkowe pragnienie ciekawości.

Po chwili powóz na dany znak wstrzymał się, i staroście zamysłony znalazł się przed pałacem zajmowanym przez Annę. Książę odjechał ku zamkowi, a Zabielski ogłuszony zastukał do bramy, po za którą świeciło się jeszcze.

— Pani wróciła? spytał szwajcara.

— Nie ma ję, ale jest spodziewaną co chwila; a przykazano mi, gdybyś jw. pan przybył, prosić, byś na nią raczył poczekać.

Staś wszedł na wschody, układając w głowie co ję rozpowie.

W sali palił się ogień na kominku, w żyrandolacli światło; u drzwi Louis drzemał oczekując, a Dzidzi na aksamitnej poduszce zawarczał z daleka, mniej będadąc zuchwałym w niebytności pani. Staroście rzucił

się na krzesło; głowę miał pełną obrazu, który tylko co widział, serce jakieś rozkołatanę, niespokojne. Szczęście sielankowe księcia Józefa w tym salonie zdawało mu się prawie śmieszném, tak jak ów salon z izdebki Julki wydobyłby mu się nieprawdopodobnym. Porównywał w myśli Annę z tą prostą dziewczeczką, i namiętność tylko ciągnęła go do pierwszej, gdy do drugiej wiodła siła nieznana spokojnego współżycia.

— Jestem śmieszny przez swoją wrażliwość, rzekł do siebie. Jak to być może, żeby to dziewczę taką w mych pojęciach czyniło zmianę? Dla czego Anna zdaje mi się mniej powabną? Dla czego te wspaniałości i zbytki rażą mnie jak teatralne łańcuchy?...

Domawiał tyli wyrazów, gdy szmer się zrobił w domu, i piękna Anna w szalu indyjskim, który się za nią włókł puszczone z ramion, w toku z piórami, wśliznęła się do salonu.. Dzidzi wybiegł naprzeciw niej szeczekając.

— A! staroście! zawolala, szukając oczyma nie jego, ale zwierciadła: — z raportem! nie prawdaż?...

Staś zdziwił się, mino blasku stroju obrachowanego na podniesienie jęj wdzięków, znajdując ją mniej piękną niż zwykle, ładną sztucznie, zbyt wymuszoną pięknością. Anna rzuciła się na sofę.

— Cóż masz? spytała cicho, ze zwierciadła rzucając na niego wzrokiem omdlałym.

Staroście nie bez zgryzoty pewnej sumienia zaczął jęj opowiadać wszystkie przygody. Anna słuchała milcząca, niekiedy uśmiechając się kwaśno. Minowoli w mowie starościca czuć było zazdrość trochę i zbyt wielki zapal dla ubogiej dziewczeczki.

— Wszyseyście tacy, przerwała mu wśród opowiadania Anna. Byle co nowego, niezwykajnego,

choćby brudne dziewczę z garderoby... inaginacja się zapala... A! fe!

Pani, rzekł Staś, to wygląda wcale inaczej niż sobie wyobrażasz!

— Cóż tedy, idylla!... mów dalej.

Staroście mówił, plątał się, Anna parę razy ziewnęła.

— Wiesz przecież gdzie to jest? spytała obojętnie.

— Miałem oczy zawiązane.

— Mogłeś trochę im sfolgować...

— Dałem słowo.

— W takich rzeczach?

Staś się trochę obruszył.

Ale mi już teraz na nic niepotrzebne, dodała Anna chłodno: dziękuję ci za staranie; ale musztarda przychodzi po obiedzie, ja wiem już wszystko...

— Jak to? z kąd? spytał staroście zdziwiony.

— Myślałeś, że się na ciebie spuszcę?... Przeczynałam, żeś nadto młody do tej missyi poufniej; prosiłam kogo innego, i ten mi doszedł zaraz gdzie ona mieszka. Jutro zobaczę i osądzę własnymi oczyma...

Staś, który sądził, że mu będą bardzo wdzięczni, smutnie spuścił głowę.

— A! jak późno! zawołała Anna, patrząc w zwierciadło razem i w zegar nad kominem: idź spać! musiałeś się zmęczyć.

I podała mu białą, okrytą brylantowemi pierścieniami rączkę do pocałowania... mówiąc: „Dziękuję ci.“

W głosie tym było się można domyślić wymówki za okazany entuzjazm dla Julii, jakby: „Dziecko jesteś...“

— Nie mi pani nie masz więcej do rozkazania? spytał staroście.

— Tylko jak najściślejszą tajemnicę .. dobranoc.

Staś smętny i pomieszany, powoli wyszedł jednemi drzwiami, gdy Anna, zawsze biały swój szal wlokąc za sobą, sunęła się drugimi do sypialni, prowadząc Dzidzi, który naszczekiwał.

W ówczesnej alei Ujazdowskiej zaczynały już gdzie niegdzie wznosić się maleńkie drewniane lub w części murowane domki, wśród rozległych ogrodów. Głucho tu jeszcze było i mniej życia panowało w tej stronie niż dzisiaj, ale w locie szukano tu powietrza wiejskiego, a ogrodnicy spekulowali, zasadzając owocowe drzewa i warzywa. Wśród tych sadów gdzie niegdzie mały parterowy domek, na letnie przeznaczony mieszkanie, wznosił się niepozorny i skromny. W ogóle male te mieszkanka nie zwracały oczu wcale, nikt tam znaczniejszy jeszcze się nie osiedlił... W pośrodku prawie alei, po prawej stronie jadąc od Warszawy, dosyć obszerny grunt opasywał w części mur, a w tyle wysoki parkan drewniany... Zamknięta prawie zawsze furtka od alei nikogo nie nęciła, tak była prosta i niewykwintna. Od ulicy żadnego nawet domu widać nie było. Stał on w głębi otoczony drzewami, na końcu alei z grusz i jabłoni wyglądał jak uboga chatka ogrodnicza.

Nikt się tam nie domyślał mieszkańców, tak byli dobrze zakryci wśród zieleni, gałęzi i bujnych grząd ogródka... We dnie furtka była szczelnie zamknięta a drugie wejście od Mokotowskiej uliczki, niedostrzeżone, niepozorne, służyło do codziennych stosunków z miastem... W tym domku o kilku pokoikach od roku już mieszkała Julia. Pani Lagrange niehodziła,

za jej ciotkę, a Felino i de Santis nie wiedzieli wcale o stosunkach pięknej dziewczeczki z księciem.

Stary Włoch wygadał się niepotrzebnie z uwielbieniem dla głosu nieznajomą dziewczeczki z Ujazdowskić alei, i przez jego to paplanie o portrecie księcia Józefa, wiszącym w pokoju jej, odkryto Julki mieszkanie.

Wszakże, wiedząc nawet gdzie się ukrywała, niełatwo się tam było dostać... Pani Lagrange, surowa i podejrzliwa, obawiała się i księcia, i strzeżoną przez się dziewczeczki, i intryg miejskich, któreby spokojny jej byt zachwiać mogły. Furtka od alei odwierala się tylko na wieczorną przechadzkę, a od ulicy dla służącej i ogrodnika. Klucze zawsze prawie nosiła przy sobie sama Lagrange. Julka, której w tém zielonóm gniazdeczku było dobrze, wcale nie utyskiwała na zamknięcie i odosobnienie, ciężko ono nieco Francuzce tylko, ale powoli przywykała do niego.

Nazajutrz około południa od drzwi ulicy zadzwoniono natarczywie; trafiało się to często przez omyłkę szukających kogo innego, ale tym razem zakwestionowała wyraźnie zażądała widzieć się z panią Lagrange... Wypadek był nadzwyczajny; sługa pobiegła oznajmić, zostawiwszy przybyłą w korytarzyku...

Francuzka mocno się przełękła i wybiegła do sieni...

— Co to być może? kto to być może?

— Madame, odezwał się z pod czarnego kwefu głosik kobiecy: słówko tylko... pozwól mi wniść do środka.

— Pani... tu nikt nie wchodzi... ja nie mogę...

— Przychodzę od króla... przerwała nieznajoma. Ściągniesz na siebie panie gniew jego, opierając się na próżno... Prowadź mnie pani do pokoju.

Lagrange zmieszana nie wiedziała co począć. Tymczasem przybyła wyminęła ją i posunęła się żywo, instynktem zgadując dokąd iść należało...

W saloniku małym siedziała Julia u fortepianu i śpiewała... Czysty jój głosik rozlegał się daleko. Nieznajoma na palcach wcisnęła się, stanęła, patrzyła, a kwef jój oddechem niecierpliwym się poruszał. Nie zważając na panią Lagrange, stojącą i drżącą ze strachu, rzuciła się na krzesło...

Julka śpiewała... Po chwili głos jój umilkł, ręce zsunęły się z fortepianu, zamyśliła się, westchnęła i oczy skierowały się ku pięknemu pastelowi Marteau, wyobrażającemu księcia Józefa...

Gdyby kto był w téj chwili podniósł czarną zasłonę, okrywającą twarz Anny, dojrzałby gorejący na niej rumieniec, który przebijając bielidło, coraz krwawszym oblewał ją płomieniem zazdrości i gniewu... Ręce jój drżały, pierś podnosiła się żywo, naostatek odwinęła kwef, który ją osłaniał i podeszła wprost do klawikordu. Julia sądziła po chodzie, że pani Lagrange się zbliża, i przelekła się straszliwie, ujrawszy nagle zupełnie nieznajomą kobietę, wlepiającą w nią oczy ogniste, jakiegoś uczucia, dla Julii niewytlomaczonego, pełne... Krzyknęła porywając się z siedzenia.

Anna wciąż na nią jeszcze patrzyła, zdając się ciekawością przebijać zasłony. Wzrok ten zuchwały wielkiej pani, przyglądającej się istocie, którą miała za daleko niższą od siebie, miał w sobie coś tak przykrego i bolesnego, że Julia uczuła od niego ból wewnętrzny; instynktowo ctuła się rękami, cofnęła krok, oddech się jój wstrzymał, uczuła zbliżające się niebez-

pieczeństwo i oczyma poczęła szukać opieki pani Langrange, która stała w kątku, równie jak dziewczę przełąka.

— Czego pani chcesz odemnie? dla czego się tak we mnie wpatrujesz?

— Patrę i nasycić się nie mogę! odparła syczącym głosem piękna Anna. Jesteś prześliczna moja panienko! ale ci to nie daje prawa jeszcze tak się patrzeć na ten portret... Za wysoko sięgasz oczyma...

Julia uczuła w piersiach jakby gorące żelazo.

— Pani! cożem winna?

— A tak! tyś nie niewinna, zawołała Anna miarując się; tyś niewinna jak my wszystkie, i jak my padniesz ofiarą serca łatwowiernego... Ty go kochasz?

— Pani!.. Julii słów zabrakło; łkanie przeciśnęło się przez usta...

— Ty go kochasz? nie prawdaż?

— Jestże to grzechem? może być niebezpieczeństwem? spytała Julia, odzyskując przytomność. Cóż światu i pani, którą nie znam, do moich uczuć i mojego losu?

— Mnie! ale ja cię chcę ratować, tyś nad brzegiem przepaści.

— Zkądże to miłosierdzie?

W téj chwili dwa wzroki kobiece spotkały się z sobą, i Julia poczuła się już równą Annie... Obu rzęły się w niej uczucie godności.

— Czego pani chcesz odemnie? Co to wszystko znaczy? Dla czegoś tu pani weszła? Kto panią wprowadził?

Anna nie spodziewała się tego zagadnienia; idąc czuła się tak wyższą, tak silną, zdawało jej się, że tak z góry potrafi obejść się z wylęklą dziewcz-

czyną, iż teraz pojąć nie mogła, dla czego wstyd jej było, i jakiś ogarniał ją niepokój.

— O! nie gniewajże się moja piękna panno, dała uśmiechając się kwaśno. Jestem krewną, tak jak siostrą księcia... przyszlami cię przestrziedz i ratować. Rodzina nasza nie ścierpi takiej miłości, takiego związku; książę jest lekki i płochy, nie chcemy też, żebyś na niego i na nas narzekała.

W tém wszystkiém bardziej jeszcze w głosie niż w wyrazach, było tyle płataniny, wahania się, sprzeczności, że Julii serce samo wskazywało jakiś podstęp.

W miarę jak wielka pani traciła odwagę, ona jej nabierała.

— Jedném pani słowem odpowiem, odezwała się Julia. Pomiędzy mnie a księcia nikt nie ma prawa wchodzić. Książę jest wolny, jam swobodna; wiem, że nas dzieli przepaść, i patrzę na nią śmiało, bo to ramię, na którym wesprzeć się mogę jak na rękę ojca, przeprowadzić mnie może przez nią, ale nie wepchnię w nią nigdy. Ja mu wierzę. Czernisz go pani, zarzucając mu płochosć. Jest płochym może z ludźmi płochymi, jest poważnym i surowym ze mną i dla mnie. Cóż zresztą komu do tego, że cierpieć mogę? Skarżyć się nie będę, a jeśli chwilę spokojnego i czystego szczęścia opłacę tęsknotą długą... to mój rachunek z sumieniem i Bogiem!... Książę jest szlachetnym, książę jest dla mnie tylko opiekunem i bratem, a choć świat w przywiązaniu naszym dopatrzy płam, przez oczy splamione, ja wyjdę czysta i spokojna.. Tak jest pani, kocham go, zgine dla niego jeśli będzie potrzeba... ale siebie i jego nie skażę narzekaniem. Co wam do mnie ubogić i biednej dziewczyny? co wam do cichego mego szczęścia?

Anna stała, słuchała ze zdumieniem. Ta śmiałość, ten zapał, z jakim mówiła Julia, były dla niej rzeczą tak nową, że się czuła upokorzona i zmieszana.

— Przepraszam, odczuwała się wreszcie — bardzo panią przepraszam. Spodziewam się, że mnie przynajmniej nie oskarżysz przed księciem.

— Nie mam dla niego tajemnic.

— Moje chęci były jak najlepsze... nie myślałam, że obrażę i narażę się. przyszedłam tu... ale się cofam... Nie chcesz pani rady... nie obawiasz się przyszłości... tém lepij... ale strzeż się!... strzeż się!.. Młodość nie umie ocenić życia, rzuca się zuchwale...

Julka wcale nie przełknęła się tych wyrazów, uczucie napelniało oczy jej łzami; podniosła je z wolna na portret księcia i dodała:

— Bądź pani spokojna... Ten, którego kocham, nie jest pospolitym człowiekiem, ani powszednim egoistą, wysysającym kwiaty motylem; więcej ja mu winnam, niż poświęcić dla niego mogę... Z radością, ze szczęściem poniosę życie w ofierze... i nie zakłócę jednej jego godziny... Odepcznie mnie, pójdę w milczeniu i nie jęknę...

To mówiąc, uklonem poważnym pożegnała Annę, która postawszy jeszcze chwilę, dosyć pomieszana i prawie zawstydzona, powoli wysunęła się z pokoju.. Julia padła na kanapkę zemdlną.

Z tego wejrzenia na Julię, na domek, w którym mieszkała, na to małe a skromne gospodarstwo wiejskie, Anna wyniosła tylko jedną naukę, zdawało się jej, że książę, aby kochać, potrzebną miłość oprawić w ramki drewniane i bluszczem ją ustroić, że chce

cichego, skrytego, jakiegoś sielskiego kochania. Płocha wietrzniczka dostrzegła tylko lupinę, nie pojmowała istoty przywiązania i tego, co je rodziło.

— Ale ona wcale nie jest piękna, mówiła wracając do siebie: sądziłam ją daleko ładniejszą; ręce czerwone... choć zresztą male i kształtne... coś popospolitego w postaci... trochę młodości... nie lękam się jój... Książę chce widocznie sielanki. O! potrafimy przecięć i my ją skomponować.

Z głową rozplomienioną wpadła do domu, a przed bramą zastała właśnie *Dziobatkę*, która odjeżdżała nie zastawszy jój. Wychyliła się z karety, przywołując przyjaciółkę i obie razem weszły do salonu. Na twarzy malowało się niezwykle uczucie.

— Nie powiesz nikomu? szeptać zaczęła gospodyni, zatraskując drzwi gabinetu. Słowo?...

— Najświętsze!

— Słuchajże! widziałam ją! byłam u niej!

— U kogo?...

— U kochanki Pepi. Doszłam, dotarłam, widziałam ją własnymi oczyma... wiem wszystko.

— A! mów! mów! jakże to wygląda?

— Fantazya zdzieczalego człowieka... niby sielanka! zaczęła nieporządnie odpowiadać Anna, mieszając to co widziała, co chciała zrobić, co sądziła i co się jój zdawało.

Widzenie się z Julią, rozmowa z nią, w ustach kobiety, której głowa zawsze czynniejszą była niż serce, przybrało dziwne rozmiary i charakter; zrobiła z niego scenę dramatyczną, przekręconą, uzupełnioną i artystycznie dosztukowaną... Co szczególna, że własna Anny kompozycja, zmieszana ze wspomnieniem

świeżem jeszcze, utworzyła dla niej nieprawdziwą prawdę, w którą jak najświęciej uwierzyła.

Dziobarka słuchała trochę niedowierzająco, ale dosyć sympatycznie.

— Wiesz co uczynię? dodała w końcu Anna: natychmiast najemę domek w alejach; stroję go, przebioram się za dziewczeczkę prostą, i jestem pewna, że księcia Józefa mieć będę, że mu się oczy otworzą... *Elle est si commune!*

— Czekaj! myśl lepsza daleko, przerwała przyjaciółka. Oddalić tę panienkę, a zająć jej miejsce... zastanie ciebie w jej miejscu, to się przyczyni do wrócenia; ona mu się już też znudzić musiała...

— Pst! pst! cicho! i tajemnica jak największa! Zobaczymy!

Potem trwały jeszcze długo narady, i przyjaciółki rozeszły się w jak najszcześliwszym usposobieniu, całując się serdecznie, co dowodziło, że jedna drugiej były w tej chwili potrzebne.

Przez kilka dni nic nowego nie zaszło. Julia, przechorowawszy odwiedziły Anny i długie omdlenie, na usilne prośby pani Lagrange, która się obawiała, aby jej księżę nie oddalił i za opieszałość się nie gniewał, postanowiła zamilczeć o całej tej scenie, która na długo zostawiła w jej sercu smutek i jakieś zwątpienie. Gdy księżę przybył wieczorem i zastał chorą Julię, wytlómaczyła mu się z tego zaziębieniem, gorączką; domyślał się wprawdzie czegoś, ale Julia starała się usunąć podejrzenia. Nazajutrz rano przyjechał Lafontaine i nie znalazł prócz nerwowego podrażnienia osłabienia; szepnął księciu, że przyczy-

ną słabości nie musiało być zaziębienie, ale jakieś uczucie, jakiś wpływ moralny...

Podwoił księżę czułości, starania, wesołego humoru, aby te chmury rozproszyc, a na trzpiotowstwie i dowcipie nie zbywało mu; ale ta przymuszona wesołość zdawała się powiększać jeszcze smutek Julii.

— „Cóż się tu stało?” mówił w duchu księżę. Starzał się rozpytać Francuzki, ale wylękała staruszka zaklinała się na wszystko, że nie pojmuje co mogło być przyczyną smutku, że żadnej widocznej przyczyny nie wie i t. p.

Staroście Zabielski od owęj wieczornęj wizyty w domku przy alei Ujazdowskiej chodził także jakby opętany... Dowiedział się od Anny o mieszkaniu Julii, zdawało mu się, że się w nią kocha, i począł myśleć o środkach zapoznania się i zbliżenia. Anna bardzo tę myśl prędko odgadłszy, popierała ją, radząc, że i to na coś przydać się może... Ale starania Zabielskiego, aby się dostać do domku, który pani Lagrange strzegła teraz z podwójną czujnością, do niczego doprowadzić nie mogły. Wieczorami często godziny całe wartował staroście pod bramą, aby spotkać te panie wychodzące na przechadzkę, ale i to mu się nie udawało.

— Z jednéj strony starać się, aby Julię zbałamuć staroście, z drugiey samęj się podstawić w jej miejsce, to mój plan... Nie może się nie udać! mówiła Anna.

— Musi się udać! dodawała Dziobątka.

I spiskowały zajadlc...

Tego wszystkiego ofiarą padł tylko nieszczęśliwy Zabielski, któremu najprzód zapaliła się głowa, od głowy zajęło się serce, a od niego poszedł pożar dalej, tak, że biedny młodzieniec chodził jak zwierzony...

Ksiązę Józef łatwo się domyślił uczucia.

— Kochany staroście, rzekł mu na ucho jednego razu na wieczorze u Potockich: przestrzegam cię, żebyś mi w drogę nie wchodził... Strzelam nieźle, i ręczę ci, że do serca człowieka, któryby mi chciał wydrzeć szczęście moje, nie chybię... Spokój tej kobiety droższy mi nad wszystko! Jeżeliś nieczciwy człowiek i trochę znasz świat, nie myśl o żadnych intrygach... *à bon entendeur salut!*

Ale staroście ulać się nie mógł, a niebezpieczeństwo zwiększyło tylko namiętność.

Przez czas jakiś wszystko zdawało się w zawieszeniu; roboty były tak skryte, iż nici ich prawie na wierzch się nie pokazywały. Anna dla uspokojenia księcia Józefa, który ją podejrzewał o intrygę, udawała najzupełniejszą obojętność; zmieniła tylko nieco gustu i starała się okazywać jak najskromniejszą, głośno odzywając się z upodobaniem w prostocie. Strój jej zakrawał nieco na pasterki Boucher'a i Watteau... Kwiatek we włosach, biała sukienka, wstążka gładka, ubierały wielką panią, której z tém, wyznać potrzeba, dosyć było ładnie. Ale ksiązę zdawał się nie dostrzegać zmiany. Tymczasem niespokojny staroście pracował; głowa mu się coraz mocniej paliła... Nie mogąc dostać się do domku, w którym mieszkała Julia, przełaził przez mur o zmroku i jak złodziej wartował pod oknami, aby przez nchyłoną zasłonę choć jej twarzyczkę zobaczyć. Widział ją przy robocie, przy klawikordzie; gonił nadaremnie po przechadz-

kach; zbliżyć się nie mógł. Przypadek, który miesza się często do spraw ludzkich, zlitował się wreszcie nad niedolą starościca. W Warszawie bawiła u PP. Sakramentek zamieszkała stara guwernantka, która wychowywała siostrę Zabielskiego. Była to przyjaciółka ich domu; staroście czasami ją odwiedzał z polecenia matki. Raz w czasie tej krótkiej wizyty, stara poczęła się przed nim użalać na osamotnienie i nudy; starościna ją do Sakramentek wysłała, ale Francuzka nie godziła się z życiem klasztorńm, tęskniła do świata i życzyła wyniść z pod klauzury.

— Gdybym znalazła siostrę moją, o której dobrze wiem, że jest w Warszawie—mówiła,—mieszkałybyśmy razem... Ale gdzie się ta Lagrange podziała, nie mogę dosledzić.

Poszukując siostry starój guwernantki, Zabielski wpadł na trop i dowiedział się, że Lagrange mieszka przy Julee. Ostrożny, nie zawiadomił o tém od razu starój przyjaciółki, ale obrachował, że ten zbieg okoliczności może pomódz jego zamiarom. Podjął się sam poszukiwań, pośrednictwa, i tak dostał się do domku Julii... Wielka miłość uczyniła go zręcznym dyplomatą... Lagrange, która także od dawna szukała siostry, dała się uwieść nadzieją znalezienia jej i trochę o niebezpieczeństwie grożącym Julii zapomniała.

Jednego wieczoru wpadł Zabielski do Anny, z oznajmieniem, że wszystko było gotowe.

Co? zobaczymy zaraz...

Gdy Anna w prostój białej sukience muślinowej siadała do powozu, Zabielski puścił się w cwał ku Mokotowu...

Piękna Anna długo szukała stanowczego środka oderwania księcia Józefa od tego dziewczęcia, które uznawała pospolitą, niegodną takiego szalonego przywiązania... i sama, jak mówiła, przez czystą miłość ludzkości, chciała się poświęcić, aby wydrzeć z serca bohatera uczucie, tak szkodliwe pociągnąć mogące za sobą następstwa.

Plan, jaki ułożyła piękna pani był wcale oryginalny... Postanowiła oddać Julię jakimkolwiekby sposobem, a sama zająć jej miejsce. Nie wątpiła, że księżę ujrzawszy ją w tym domku, w stroju prostym, zniżającą się dla niego i przetwarzającą na prostą dziewczkę, gwałtownie roznamiętnić musi. Z drugiej strony staroście miał porwać Julię... Spodziewał się, że dziewczę go pokocha... Wszystko zostało ukartowane jak najlepiej. Julia wśród przechadzki miała sięść do powozu z panią Lagrange, a powóz mimo jej woli i wiedzy, uwięzić ją do domku przygotowanego przez starościca. Na nieszczęście pięknie osnute projekta, nie wiedzieć jak, zostały odkryte, choć pilnie starano się, aby w jak największej pozostały tajemnicy.

Gdy Zabielski, dawszy znać przed wieczorem Annie, sam dopadł koni i pogonił za mniemaną Julią, która uwieczoną być miała, Julia tymczasem jechała za wiedzą księcia do Jablonny... Zabielski gonił tylko powóz, w którym siedziała stara guwernantka jego siostry...

Anna pośpieszyła do tego domku, w którym marzyła już scenę z księciem, mającą być pierwszą dramatu, osnutego naprzód i pełnego wdzięku jak obrazek Bacciarellego... Dojechawszy do alei, z bijącym sercem weszła do pustego domku, który zdawał się

być przygotowanym na jej przyjęcie. Wszystko tam tętnęło ciszą, spokojem i szczęściem sielankowém, które przed chwilą z niego uleciało... Na klawikordzie leżał jeszcze otwarty zeszyt Mozarta... Bukiet pół-zwiedły stał na stoliku, książka założona wstążką białą na kominie. Anna urządziła spotkanie, obmyśliła jak miała usiąść, aby książkę od razu jej twarzy nie spostrzegł, jak miała ułożyć postawę i ręce, głowę, aby się jak najwdzięczniejszą oczom jego objawić...

Za każdym szmerem odwracała głowę i w oczach się jej ćmiło; szukała wyrazów, któremi powitać go miała... Wyobrażała sobie zdumienie, rozproniczenie, upadnienie do nóg, załamane jego ręce... piękne oczy czarne zwrócone ku niej, i... po chwili niepewności, przebaczenie, którem go po dobrej nauce moralnej obdarzyć miała.

Abyśnity następną scenę zrozumieć mogli, potrzebujemy wspomnieć o postaci, która w domu Anny najmniej była widoczna, w życiu jej bardzo podrzędną grała rolę, a przecież zwała się mężem i panem... Mąż i pan ów był w całym znaczeniu wyrazu człowiekiem swojego czasu, typem wszystkich jego wad i słabości.

Zwał się on kasztelanem, ale trudno w nim było poznać potonika hetmanów i wysokiego dostojnika Korony, tak z cudzoziemska wyglądał. Od młodu wychowany na saskim dworze, pół-cudzozienniec, nauczył się po polsku dopiero w późniejszym wieku i mówił wcale niepoprawnie, sztukając nieustannie wyrazami których w rodowitym języku mu brakło, braniami

z niemieckiego lub francuzkiego. Europa, która młode jego wykołysała lata, napoiła go największą wzgardą dla domowego żywota, obyczajów, języka i stroju. W kraju mu się wszystko wydawało szkaradnym, śmieszkiem, barbarzyńskim; prawil nieustannie o postępie, o świetle, ale zarazem dla uspokojenia sumienia uznawał, że on był, *dans les circonstances présentes*, zupełnie niepodobnym. Nim więc miała się rozpocząć praca około zupełnego przerobienia społeczeństwa na kopyto zagraniczne, kasztelan znajdował najwłaściwszém nie nic robić i bawić się.

Ożeniwszy się z Anną, równie dla jęj piękności, jak dla znacznego posagu, zaraz w intercyzie przewidywał możliwość rozwodu, ale unikając go, gdyż byłby mu zaszkodził wielce w kredycie i interesach, żył z żoną wedle ówczesnej najświeższej mody. Małżeństwo wprawdzie zamieszkiwało pod jednym dachem, ale miało dwa własne gospodarstwa, zupełnie oddzielne: pani swój dwór, pan swych przyjaciół, swe zajęcia... Często bardzo nie widywali się całemi tygodniami; spotykając się w gościnie, przemawiali kilka słów i rozbiegali się w różne strony, nie pytając wcale co robili. Oboje zostawili sobie zupełną swobodę... Pan miał konie, ekwipaż, appartamenta osobne; pani swe kółko, kuchnię, usługę, konie, pokoje, do których rząż się wcale nie mieszał. Oboje tylko spotykali się z rachunkami u Teppera i Kębrita, a w rzach zawikłań pieniężnych, odbywali konferencyę krótką, która się kończyła wdzięcznym uśmiejchem i pocałowaniem ręki... Czas gorącej namiętności przeszedł bezpowrotnie, została przyjaźń chłodna; a że przycie to nie skeni-

plikowało się potomstwem, nie było dziś innego węzła między nimi nad wspólne interesa i względność wzajemną. Kasztelan w towarzystwie był człowiekiem bardzo miłym, wykształconym, nawet rozsądnym, gdy o cudze chodziło sprawy; do swoich nie używał wcale tego chłodnego narzędzia i był posłusznym niewolnikiem chwilowych namiętności. W gruncie wyżyły i wystygły, obojętny na wszystko, prócz siebie, przez kalkulację tylko nie popełniał ani nieprzyzwoitości, ani zazdrości wielkich, które zawsze życie mąca; znajdował, że najlepszą rachubą było okazywać się o ile możności uczciwym i łagodnym człowiekiem. Lubiono go powszechnie, ale wiedzano, że na niego rachować nie można, i nie używał też wcale wziętości. W towarzystwach nieznacząca grał rolę. Życie jego zresztą upływało, po za widocznymi szrankami urzędowej jego egzystencji, przy jakiejś Włoszce śpiewaczce, przy przyjaciółce wojewodzinie, dla której miał przywiązanie niewytłomaczone i niezrozumiałe dla nikogo, jakąś potrzebę serca, a głównie przy stolach gry, gdyż kasztelan namiętnym był graczem. Ta passya pochłaniała czas, pieniądze, spokój, zdrowie, wszystko... i wprędce nawet na zdziecinnienie umysłu wpłynęła. Całe noce grano u niego, lub on grał u drugich, a często różnica w grze wynosiła tysiące dukatów. Kasztelan nie był nieszczęśliwym graczem, ale zdarzało mu się przegrywać wszystko, aż do solitera, który nosił w żabocie, i tarantowego cugu, którym jeździł.

Takim był ów mąż Anny, którego ona zwała zwykle najlepszym swym przyjacielem, ale z nim wi-

dywała się jak najmniej i jak najkrócej. Zresztą żyli z sobą w najczulszych stosunkach wygasłej miłości, zastąpionej wspomnieniami...

Kasztelan był tego wieczoru u Ponińskiego na fa-raonie i zabierał się grubo stawiać, gdy tajemniczym bilecikiem znać mu dano, że go ktoś nieznamy oczekuje na drugim końcu miasta. Wcale to było mu nie na rękę, ale bilecik zakrawał na awanturkę kobiecą, a kasztelan łakomy był na tego rodzaju coraz nowe przygody. Posadziwszy na swém miejscu stryjecznego brata, siadł do karety i poleciał do fórtki, którą mu nieznamy człowiek, oddawca listu, miał wskazać...

Napróżno go rozpytywał, posłaniec milczał jak mur... Galopem jechali w aleje...

— Ani chybi, pewnie się komuś zamarzyło ostrzedz mnie o jakiś niewierności mojej Marynety, jak gdyby ja się tego nie domyślał i nie przeczuwał... O! co to za śmieszni ludzie!.. Albo może Rozyna mnie wabi; bo ostatnim razem w teatrze rzuciła na mnie wzrokiem pełnym obietnic najśłodszych...

Kasztelan w tych domysłach dojechał do fórtki i wszedł do ogródka, przez który go przeprowadzono. Gałęzie drzew pomieły mu nieco fryzurę i podrapały suknie; wilgoć dała się czuć przez delikatne trzewiki, i z ciekawością gorącą wszedł do pokoiku...

Jedna świeca woskowa mdle po nim rozlewała światelko. W kątku odsuniona nieco ode drzwi,

w białej sukni ukazywała się siedząca postać kobieca... nikogo więcej.

Była to, jak się łatwo domyślić można piękna Anna, która w przychodzącym spodziewała się ujrzeć księcia Józefa. Serce jej biło mocno; chciała co najrychlej zwrócić głowę i wahała się jeszcze... Kasztelan wchodził na palcach, oglądając się.

— Sama! a więc *rendez vous*... Ale to nie Rozyna! Któż to być może?

I zbliżał się na palcach...

— Prześliczna figura!... co za rączki!

Piękna Anna obejrzała się w tej chwili, i kasztelan zdrętwiał ze zdziwienia, postrzegłszy... własną żonę... Przestрах i zdumienie Anny niemniejsze było; ale w téjże chwili zręczna kobieta zmierzyła myślą swe położenie, przeczuła krwawego figla, jakiego jej wyznaczono, i postanowiła wyjść z niego zwycięzko. Twarz jej na chwilę tylko uległa wrażeniu trwogi i niepewności; siłą woli wywołała na nią zaraz uśmiech, który rozległ się wesołą i doskonale odegraną radością...

— A kasztelanie! zawołała: jużś też tak o mnie zapomniał, żem musiała aż do figla się niecieć, aby cię tu zwabić... i choć chwilę sam na sam z tobą przepeścić... Nie prawdaż? doskonała sztuka!

Kasztelan jeszcze nie mógł przyjść do siebie; twarz jego z trudnością rozjaśniła się; pocałował w rękę żonę, która drżała jak on, i usiadł przy niej ocierając pot z czoła...

— *Ah! c'est parfait!* zawołał z przymuszonym grymasem.

— O! pomszczę się! pomszczę! cicho szepnęła Anna...

Cała Warszawa nazajutrz podawała sobie na ucho zabawną historję téj niespodzianki.

Równie wielkiego doznał zdziwienia staroście, gdy w urządzonym wykwinie domku zamiast Julii zastał starą guwernantkę swéj siostry, naiwnie przyjmującą cały ten zachód na swój rachunek, jako dowód wdzięczności rodziny. Z początku stał chwilę, gryząc sobie usta, blizkim był wybuchu, ale zmiarkował, że w takich razach lepiej jest i rozumiej pogodzić się z losem i z uśmiechem przyjąć jego igraszkę...

— Jest to zdrada, której nie daruję nigdy! Jutro całe miasto szydzić będzie ze mnie... Stanę się pośmiewiskiem... to szkaradnie... to ohydnie...

Rozplakana Francuzka, błogosławiąc go i okrywając epitetami najwyszukańszemi, pełna wdzięczności, której tak niespodziany odebrała dowód, wstrzymała starościca, przyjmując go jakby u siebie i nie dając mu się wyrwać przykrym oświadczeniom, na które czuł, że wcale nie zasługiwał...

Nareszcie napiwszy się herbaty, zamyślony, kwaśny, ale znacznie ostygły, Zabielski powrócił do Warszawy. Kazał pakować natychmiast i o świcie wyruszył do Paryża, nie pokazując się już nigdzie...

O Julii i o księciu wszyscy jakoś mówić przestali...

Nazajutrz, jak zwykle, książę pokazał się w swym ekwipażu w alejach, wesoly, spokojny, piękny jak

Apollo. Oddał wizytę Annie, której w domu nie zastał; był u Dziobatej, która go przyjęła, mówiąc mu o polityce, o wojnie, o przyszłym sejmie, i pożegnała ceremonialnie; odwiedził na ostatku kasztelana winszując mu zbliżenia się do żony, co ten przyjął dosyć ozięble...

Wieczorem widziano go na rednicie.

W rok potém... książę Józef zniknął na dni kilka z Warszawy, i powrócił blady, smutny, cierpiący... Domyślano się jakichś cierpień serdecznych, ale najgłębsza tajemnica okrywała jego czynności...

Na Powązkowskim cmentarzu spostrzeżono go wkrótce potém, przy poświęceniu grobowca skromnego, który nie wiadomo czyje pokrywał zwłoki. Składał się on ze złamanej kolumny, owitej bluszczem; na tablicy u spodu stało jedno imię tylko:

J U L I A.

Zmarła dnia... roku 178..

Znajdziemy się za światem!



SPIS RZECZY.

	Str.
Półdyablę Weneckie	3
Pomywaczka	231

Biblioteka Raczyńskich

JIK 1465



JIK1465